Po zjeździe historyków

Stron 16 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 30 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 3–10 października 1948 r. Nr 40–41 (169–170)

W NUMERZE

między innymi:

Natalia Gąsiorowska

KU MATERIALIZMOWI HISTORYCZNEMU
W NAUCE I W NAUCZANIU HISTORII

Powszechny VII Zjazd Historyków Polskich, który odbył się w dniu 19—23 września 1948 roku we Wrocławiu mieć będzie poważne, może przełomowe, znaczenie w dziejach nauki i nauczania historii w Polsce.

W pięćdziesięciu przeszło referatach zostało na Zjeździe przedstawione bogactwo nagromadzonego materiału historycznego przez uczonych różnego uzdolnienia, różnych pokoleń, od najstarszego, które zaczynało pracę badawczą jeszcze przed I wojną światową do najmłodszego, które jej nawet nie rozpoczęło przed II wojną światową. Poza sekcją poświęconą dziejom Wiosny Ludów 1848 roku znaczna większość referentów, i to spośród najlepszych historyków, nie docierała do XIX wieku, najczęściej zatrzymując się na progu dziejów nowożytnych. W zakresie rzeczowego doboru materiału Zjazd nie daje właściwej orientacji, ponieważ został poświęcony wybranym planowo zagadnieniom, wiadomo jednak, że przewaga ilościowa i jakościowa badań dotyczy spraw politycznych, co zresztą w pewnym stopniu dało się stwierdzić i na Zjeździe.

Sądzić wolno, że nauka historii Polski mogła lepiej zademonstrować swe osiągnięcia niż to zrobiono na Zjeździe, ale w rezultacie Zjazd przedstawił bardzo poważny dorobek dotychczasowej pracy badawczej historyków polskich, zwłaszcza w zakresie nagromadze- [illegible] wiają wrażenie jak gdyby pierwszego etapu w rozwoju nauki, jak gdyby założone zostały dopiero podstawy dla dalszej pracy.

Badania dotychczasowe zmierzają dawno utorowanymi szlakami zarówno w zakresie stosowanych metod, jak problemów budzących zainteresowanie; prowadzą do opanowywania drobnych przeważnie fragmentów, stojących luzem w dziejach polskich a zwłaszcza w całokształcie dziejów powszechnych; nie wiążą się w ewolucyjnym porządku, nie są traktowane porównawczo z rozwojem innych narodów, dlatego nie prowadzą do żadnej syntezy, do zrozumienia sensu istotnego dziejów. W takiej metodzie pracy historyków, posiadający skomplikowany aparat o subtelnym nieraz działaniu, ale ograniczających się do ułamkowego ujmowania, w dodatku izolowanych polskich dziejów, tkwi niebezpieczeństwo zastoju, tradycjonalizmu w poglądach, w ocenie przeszłości, braku rewizji w stosunku do dotychczasowych wyników badań. Rezultaty pracy historyków polskich, przedstawione na Zjeździe, sprawiają wrażenie masy materiału budowlanego, cennego, ale pozostającego w rozsypce i niedostatecznego dla budowy gmachu-syntezy dziejów polskich. Synteza taka jest niezbędnie potrzebna narodowi dla zrozumienia istoty jego minionych dziejów, wyjaśnienia teraźniejszości, jej sensu, jej konieczności i wartości, również dla wytyczenia torów przyszłego rozwoju społeczeństwa, państwa, na podstawie praw rządzących dotychczasowym rozwojem.

Takiej syntezy historycy polscy nie osiągnęli na drodze stosowanych obecnie metod pracy. Należy szukać i wypróbowywać inne, nowe, dotychczas im nieznane lub obce ich psychice metody. Minister oświaty na Zjeździe, stwierdzając, że marksizm w Polsce jest ideologią przodujących sił naszego Ludowego Państwa i naszej przyszłości — Polski Socjalistycznej — wskazał jednocześnie, że narodowi polskiemu potrzebna jest marksistowska szkoła historyczna, wskazał zatem historykom polskim metodę materializmu historycznego. Metoda ta prowadzi do rewizji wyników dotychczasowych badań w zakresie różnych problemów, daje podstawę do oparcia na niej pełnej syntezy dziejów. Na Zjeździe, głównie poza obradami przewidzianymi przez jego organizatorów, wystąpiło poważne zainteresowanie sprawą marksistowskiej metody badania dziejów. Odbyło się parę konferencji grupy historyków należących do partii robotniczych i bezpartyjnych, stojących w swej pracy na gruncie materializmu historycznego; powstał komitet w celu zorganizowania dalszej pracy, przede wszystkim wśród pracowników naukowych w ośrodkach uniwersyteckich.

Sprawa zmiany metody pracy, wprowadzenia metody marksistowskiej, została we Wrocławiu postawiona nie tylko w zakresie nauki, ale w oczywistej konsekwencji również w zakresie nauczania historii, i to na wszystkich jego poziomach. W d. 23 września bezpośrednio po Zjeździe, została zorganizowana przez Ministerstwo Oświaty konferencja nauczycieli historii. Na konferencji, która zgromadziła nauczycieli przekraczających znacznie liczbą wydelegowanych przez ministra, wygłosiła dwugodzinny referat prof. Kormanowa, która dała pełny i jasny wykład materializmu historycznego; Dr. Mrozowska przedstawiła dorobek dwudziestolecia międzywojennego w dziedzinie dydaktyki historii, Dr. Maleczyńska — stan nauczania historii w szkole obecnej. Natalia Gąsiorowska miała powierzony temat: „Założenia ideowe i struktura nowych programów historii w szkole".

Podaję streszczenie tego ostatniego referatu.

Na wiosnę roku bieżącego odbył się w Paryżu Międzynarodowy Kongres Historyków, poświęcony uczczeniu stulecia Wiosny Ludów. W Kongresie nie brali udziału historycy radzieccy, historycy marksiści innych narodowości byli nieliczni, natomiast historiografia mieszczańska była reprezentowana przeważnie przez najwybitniejszych demokratycznych i republikańskich uczonych.

Na dwu plenarnych posiedzeniach wygłosili świetne referaty dwaj historycy, zarazem socjologowie: otwierał Zjazd prof. Morazé odczytem „O metodzie historii nowożytnej" (La méthode en Histoire moderne) [illegible] przedstawił genezę rewolucji francuskiej (Comment naissent les Révolutions: 1848, 1830, 1789). Morazé twierdził: Aby poznać rzeczywistość społeczną nie wystarcza znajomość wydarzeń politycznych, ewolucji klasy kierowniczej, osiągana przez interpretację akt dyplomatycznych, pism urzędowych. (Obecny na Zjeździe we Wrocławiu prof. Morazé określił sam w swym przemówieniu historyków politycznych jako dyletantów, których prace stanowią opowieści historyczne). Należy poznać głębię życia społecznego, historię wszystkich klas narodu, demografię ujętą w ramy statystyki, siły gospodarcze, które decydują o ogólnym rozwoju. A więc podstawę historiografii powinno tworzyć zbadanie dziejów gospodarczych i społecznych, przy czym nie faktów poszczególnych lecz ujmowanych w rozwoju i nie akcji politycznej w zakresie gospodarowania lecz samego życia gospodarczego.

Prof. Labrousse mówił o rewolucjach - zjawiskach politycznych. Wielka Rewolucja 1789 roku prowadziła od absolutyzmu poprzez krótkotrwałą republikę i eskamotujące ją I Cesarstwo Napoleona I ku ustrojowi konstytucyjnemu we Francji i w Europie. Wiosna Ludów 1848 roku — od monarchii konstytucyjnej do II Republiki i poprzez hamujące jej rozwój II Cesarstwo Napoleona III do III Republiki, do ustroju republikańskiego w innych państwach. Ale te wydarzenia natury politycznej były rezultatem sił ekonomicznych i społecznych, niekiedy ruchów narodowych, zawsze akcji masowej, spontanicznej, społecznej, jako rezultatu rozwoju gospodarczego. Wszystkie rewolucje francuskie wybuchały w momencie skrzyżowania kryzysu ekonomicznego z kryzysem politycznym. Przypadek, indywidualne czynniki decydowały o ostatecznym momencie wybuchu, lecz sam ruch rewolucyjny był koniecznością wywołaną przez czynniki ekonomiczne i społeczne. Labrousse przedstawia rozwój ekonomiczny XVIII wieku w cyklach długo i krótkofalowych, podnoszenie się i opadanie życia gospodarczego, podkreśla znaczenie krytycznych lat bezpośrednio poprzedzających wstrząs polityczny, lat wielkiego nieurodzaju, wysokich cen, bezrobocia i głodu mas przy wysokim dobrobycie warstw posiadających: przedstawia występujący jednocześnie z tym kryzysem gospodarczym kryzys polityczny, głównie w zakresie finansów, a więc w istocie swej również natury ekonomicznej, kryzys wywołany przez to, że państwo nie mogło sięgnąć do wynędzniałych mas pracujących po środki dla pokrycia długu, deficytu skarbu, wydatków publicznych, a majętne klasy bezwzględnie broniły swego najistotniejszego przywileju — wolności od podatków. Labrousse stwierdza, podobnie jak Morazé, że przeszłość można poznać tylko przez badanie rzeczywistości społecznej uwarunkowanej przez rozwój gospodarczy.

W referatach innych obecnych na Kongresie historyków i w dyskusji zarysowały się dwa kierunki. Drobna mniejszość reprezentowała idealistyczną i indywidualistyczną koncepcję historii, a więc pogląd, że istotną treść dziejów stanowi życie polityczne, przedmiot ważny, interesujący dla badacza, że rozwój polityczny uzależniony jest od ruchu umysłowego, idei panujących, od działania wybitnych jednostek, polityków, dyplomatów, wodzów. Ogromna jednak większość historyków przeciwstawiała się tej koncepcji, stwierdzając, że poznanie prawdy historycznej obejmuje elementy i czynniki ekonomiczne i społeczne, jako centrum obrazu historycznego, w każdym zagadnieniu uwzględniano podłoże społeczno - gospodarcze, niewiele referatów przedstawiono na tematy w ścisłym znaczeniu polityczne.

Przy zestawieniu Kongresu Paryskiego ze Zjazdem Wrocławskim dostrzega się poważny dystans między historykami polskimi i obradującymi w Paryżu. Różnice w osiągniętych rezultatach wynikają przede wszystkim ze stosowania innych metod naukowych. Wśród polskich historyków panuje przeświadczenie o tym, że motorem dziejów jest jednostka i idea, że istotę dziejów stanowi życie polityczne. W pracy występujących w Paryżu, zwłaszcza francuskich historyków, dominuje metoda socjologiczna. Labrousse stwierdza: historyk powinien być socjologiem, socjolog — historykiem. Dzieje — to proces rozwojowy; wydarzenia polityczne są uwarunkowane przez rozwój gospodarczy i społeczny. Takie są maksymalne osiągnięcia nauki historycznej mieszczańskiej.

Jak przedstawia się sprawa historii w programach nauczania w Polsce?

„Program jest ustawą szkolną, określającą przydział, jakość i ilość wiedzy, wytyczne wychowawcze i do pewnego stopnia metodyke pracy". „Program stanowi o treści nauki szkolnej w tym samym stopniu, w jakim ustrój szkolny przesądza o strukturze szkolnictwa". Konieczność zatem przebudowy programu nauczania jest konsekwencją reformy ustroju szkolnego i zmian w rzeczywistości polskiej, nowego układu sił społecznych, nowych potrzeb gospodarczych, wreszcie nowego zasięgu terytorium państwowego. Podejmując reformę ustroju szkolnego, a zatem i programu nauczania, organizatorzy szkolnictwa w Polsce powojennej opierali się „na tradycji polskiego postępu, zmierzającego do demokratyzacji oświaty, do upowszechnienia dóbr kulturalnych".

Takie były podstawowe wytyczne przy opracowywaniu programu nauczania historii, opartego na nauce historii w jej ostatecznych najwyższych osiągnięciach.

Uwagi ogólne do programu historii określają zadania programu w sposób następujący:

Nowy program nauczania historii podejmuje na danym odcinku zadania realizacji ogólnej reformy szkolnej, która zmierza do pełnej demokratyzacji oświaty oraz do utworzenia warunków maksymalnego poziomu nauki polskiej. W przystosowaniu do nowych sił gospodarczych, do nowego układu sił społecznych, do nowego zasięgu terytorium państwowego a zarazem w oparciu o tradycje polskiego postępu i porównawcze zestawienie z szeroko rozumianymi dziejami powszechnymi, program dąży: 1. do oparcia materiału na rzetelnej najnowszej wiedzy, 2. do kształcenia historycznego myślenia oraz podstaw dla zrozumienia współczesności i perspektyw jej rozwoju, 3. do zapewnienia historii w ogólnym programie nauczania należytego miejsca oraz autonomii naukowej i metodycznej, 4 do należytego uwzględnienia w procesie nauczania elementów nowego ideału wychowawczego.

Program obejmuje trzy poziomy nauczania historii. W szkole podstawowej dla pierwszego poziomu przeznaczony został program kursu propedeutycznego dwuletniego na IV i V rok nauczania. Nie jest to właściwie historia, lecz są to raczej pogadanki, prawie wyłącznie z historii Polski. Trudno na tym poziomie umysłowym ucznia przedstawić dzieje w rozwoju, wyrobić myślenie historyczne, oprzeć na przeszłości zrozumienie współczesnego życia. Pewne wyniki w tym zakresie można jednak osiągnąć na gruncie dziejów techniki, kultury materialnej, narzędzi pracy, zwłaszcza środków komunikacji, przedmiotów z najbliższego otoczenia dziecka, codziennego jego życia, można osiągnąć zrozumienie postępu i to zarówno w zakresie kultury gospodarczej jak i więzi społecznej. Wydarzenia z dziejów politycznych stać muszą luzem, znajomość ich ma znaczenie raczej wychowawcze niż poznawcze. Elementy z życia społeczno - gospodarczego, rzeczy konkretne, łatwiej dostępne dla dzieci niż pojęcia abstrakcyjne, zostały w programie dość znacznie uwzględnione, choć niedostatecznie wyzyskane. Realizację programu ułatwia podręcznik Dłuskiej (dotychczas wyszła tylko I część) przystosowany do programu oraz „Opowiadania w zbiorowym opracowaniu przez Ho-

Stanisław Skrzeszewski

WYTYCZNE

„Mamy piękne i wielkie tradycje w historii i jej naukach pomocniczych. Mieliśmy i mamy, mimo strat, jakie zadał nam hitleryzm, całe zastępy historyków, którzy są doskonałymi wzorami pracowitości i wysokiego poziomu twórczości naukowej.

Jednakże szacunek dla tego dorobku nie może nam zasłonić oczu na błędy i niedomagania. Nasza historiografia miała charakter tendencyjny lub eklektyczny. Nie przedstawiała stosunków historycznych w sposób obiektywny, a w większości wypadków przedstawiała je tendencyjnie, zgodnie z interesem panujących grup społecznych. Nie zawsze uczyła odczuwania krzywdy społecznej, nie uczyła oddawania sprawiedliwego szacunku dla wszystkich i wszystkiego, co w danej historycznej epoce posuwało rozwój narodu i państwa ku wyższym formom. Nie uczyła potępienia dla wszystkich i wszystkiego, co temu rozwojowi przeszkadzało, nie wykazywała związku i zależności procesu historycznego od rozwoju postępowych sił w świecie.

Niektóre nasze szkoły historyczne ulegając interesowi klas posiadających usiłowały skierować dawną i słuszną nienawiść narodu polskiego do caratu — gnębiciela Polski, na lud rosyjski i na rosyjskich robotników i chłopów, którzy w wielkiej Rewolucji Listopadowej obalili carat, stwarzając tym samym przesłanki wskrzeszenia niepodległego państwa polskiego.

Ten stan rzeczy został już w nowej Polsce przełamany. Zmiany muszą być tylko pogłębione i rozszerzone. Winna powstać w Polsce przodująca marksistowska historia, obejmująca zasięgiem swych badań nie tylko dzieje ruchu robotniczego, ale również całą naszą historię narodową, nie wyłączając żadnej epoki, żadnego procesu, żadnej dziedziny. Rzszerzyć musimy również, w możliwym dla nas zakresie, badania nad ujętą w sposób marksistowski historią powszechną.

Historia marksistowska — jest nieskażonym źródłem ludowego patriotyzmu. Marksizm jest ideologią klasy robotniczej, która nie reprezentuje wyłącznie swoich ciasnych interesów, a tylko reprezentuje interesy najszerszych mas i narodu jako całości oraz dąży do budowy bezklasowego społeczeństwa".

szowską, Tropaczyńskiego i Szczechurę. (dotychczas brak w druku III, ostatniej części).

Na drugim poziomie nauczania historii w szkole podstawowej program został przygotowany w przystosowaniu do dawnego typu szkoły 8-letniej, a więc na kurs VI, VII i VIII roku nauczania w szkole podstawowej. Program obejmuje systematyczny kurs historii przede wszystkim powszechnej i na jej tle rozgrywających się wydarzeń z dziejów polskich. Obok historii politycznej została poważnie uwzględniona historia gospodarcza i społeczna, dzieje kultury umysłowej, artystycznej. Objęte zostały w rozmiarach znacznie większych niż w dotychczasowym nauczaniu dzieje nowoczesne wraz z najnowszymi, tzn. końca XVIII wieku, stuleci XIX i XX — do II wojny światowej, wszystko traktowane w porządku rozwojowym, we wzajemnym powiązaniu różnych działów historii. Do programu zostały przystosowane trzy podręczniki w opracowaniu zbiorowym historyków przeważnie Uniwersytetu Łódzkiego, pod redakcją Serejskiego, Zajączkowskiego, Gąsiorowskiej.

Dla szkoły średniej został opracowany przez historyków łódzkich i warszawskich program historii Polski, traktowanej na szerokim tle porównawczym dziejów powszechnych. Program przewiduje oddzielny kurs historii powszechnej i Polski, wskazując na potrzebę synchronizacji obu części tak, aby poszczególne punkty materiału powszechnego poprzedzały. o ile to się okaże możliwe, odpowiednie punkty z historii Polski. Położono nacisk na równomierne traktowanie poszczególnych działów historii: dziejów polityczno-ustrojowych, społeczno-gospodarczych i kulturalnych.

Program określa cele poznawcze nauczania historii w szkole średniej w sposób następujący: 1. Doprowadzenie młodzieży do znajomości ważniejszych faktów i procesów historycznych w oparciu o najnowsze wyniki badań naukowych, aby mogła ona wytworzyć sobie możliwie pełny i wierny obraz rozwoju cywilizacji. 2. Dokładne poznanie dziejów Polski w oparciu o dzieje powszechne i zrozumienie ich współzależności. 3. Kształcenie umiejętności myślenia historycznego a więc: a. wiązania faktów i zjawisk w czasie i przestrzeni, b. ewolucyjnego ich ujmowania, c. wyrabiania postawy krytycznej, d. wnioskowania i formułowania uzasadnionych sądów, e. posługiwania się właściwą terminologią historyczną. 4. Zaznajomienie ucznia (szczególniej w klasach wyższych) z procesem pracy badawczo-naukowej i źródłami historycznymi. 5. Doprowadzenie młodzieży przez analizę przebiegu procesów dziejowych do zrozumienia zjawisk życia współczesnego.

Cele wychowawcze: 1. Rozbudzenie w młodzieży: a. bezinteresownej chęci poznania prawdy o przeszłości, b. wrażliwości na fałsz i obłudę w sądach historycznych, c. uczciwości intelektualnej znamionującej kulturalnego człowieka. 2. Rozwijanie poszanowania dla pracy i osiągnięć innych narodów oraz chęci współpracy z narodami dążącymi do pokoju, a szczególniej z pokrewnymi nam — słowiańskimi, dla osiągnięcia ogólnoludzkich ideałów: demokracji i sprawiedliwości społecznej 3. Kształtowanie w wychowankach postawy człowieka uspołecznionego i twórczego przez zwrócenie uwagi na wartość zbiorowego wysiłku i pokojowej pracy ludzkiej w przeszłości oraz podkreślenie wielkości kultury ogólnoludzkiej. 4. Budzenie uczucia miłości ojczyzny, wzmocnienie poczucia przynależności do Polski Ludowej, wyrabianie poczucia odpowiedzialności za przyszłe losy narodu i państwa oraz silnej woli spełniania obowiązków obywatelskich. 5. Kształtowanie racjonalnego, realnego poglądu na świat, opartego na przemyśleniu dziejów oraz zjawisk życia współczesnego świata i Polski. Nauczanie historii w tym sensie ma przygotować młodzież do świadomego i efektywnego udziału w życiu politycznym.

Nowe programy nauczania historii w swym charakterze i tendencjach są bliższe koncepcji naukowej historyków i socjologów francuskich, niż ujmowania nauki przez przeważającą znacznie część historyków polskich. W programach występuje zrozumienie ważności czynnika ekonomicznego w życiu narodu, szczególniej w dziejach ruchów rewolucyjnych, rola walki klasowej, związek stosunków ekonomicznych z prawnymi. Jeżeli historia polityczna w nich jeszcze przeważa nad gospodarczą i społeczną, a średniowieczna nad nowoczesną, wynika to nie tyle z intencji autorów programów, ile ze stanu nauki; świetnie rozwiniętej oddawna historii politycznej, zwłaszcza średniowiecznej i pozostających raczej w stanie formowania się niż rozkwitu badań w zakresie dziejów gospodarstwa, społeczeństwa i kultury, szczególniej nowoczesnych, w historii gospodarczej raczej polityki ekonomicznej niż życia gospodarczego, którego znajomość przedstawia największe braki. Stwierdzając w programach nauczania historii tendencje ku metodzie socjologicznej należy jednak zastrzec, że nie jest to jeszcze metoda marksistowska, odpowiadająca tendencjom życia współczesnego, metoda materializmu historycznego, wysunięta przez ministra oświaty oraz grono historyków - marksistów.

Marks i Engels założyli szkołę historyczną, stworzyli naukę o rozwoju społecznym, metodę badania dziejów. Gdy powstało zagadnienie wyzwolenia klasy robotniczej w dziejach przed stu laty, Marks i Engels ogłosili Manifest Komunistyczny w r. 1848; gdy klasa ta dochodziła do władzy, zasady Manifestu państwo wprowadza w życie, jak to się stało w Związku Radzieckim.

Analiza marksistowska przedstawia dzieje nie jako szereg postępujących jedno za drugim wydarzeń lecz jako proces uporządkowany, wskazuje kierunek historycznego rozwoju, hamowanego przez konflikty między powstającymi nowymi siłami wytwórczymi i dawnymi tradycyjnymi stosunkami społecznymi — własnościowymi. W epoce współczesnej gospodarka Związku Radzieckiego dostarcza ilustracji, jak następuje rozwiązanie takiego konfliktu — przez uspołecznienie środków produkcji. Badanie metodą marksistowską ma na celu właściwą interpretację zjawisk społecznych w procesie historycznym, wykrycie praw rządzących zjawiskami historycznymi. Metoda materializmu historycznego doprowadza do zrozumienia, że struktura społeczeństwa jest uzależniona od rozwoju techniki, materialnych sił wytwórczych, gospodarczych warunków, że stosunki społeczne pozostają w funkcjonalnej zależności od sił wytwórczych. Tak np. ręczne narzędzia pracy odpowiadają stosunkom feudalnym, maszyna — kapitalistycznym. Położenie gospodarcze i społeczne tworzy podstawę, na której powstaje nadbudowa prawna i polityczna, określone formy świadomości społecznej. Nie świadomość ludzi określa byt, lecz byt określa świadomość — w tej formie krystalizuje Marks przeciwieństwo idealistycznej i materialistycznej koncepcji dziejów. Gospodarstwu kapitalistycznemu odpowiada społeczeństwo burżuazyjne, państwo o ustroju konstytucyjnym, rozkwit kultury mieszczańskiej, w okresie przejściowym przy wzmożeniu sił proletariatu — ustrój państwowy republikański, porządek parlamentarny prowadzący do demokracji parlamentarnej, w oparciu o prawo powszechnych wyborów, do obowiązku szkolnego powszechnego nauczania. W naszych dziejach Polska Ludowa, przedstawiająca ustrój przejściowy o trzech typach: gospodarowania tradycyjnego, mieszanego i nowego posiada tendencje przejścia od ustroju kapitalistycznego do socjalistycznego. Do zmian ustroju państwa przystosowuje się ustrój szkolnictwa — znajduje to wyraz w systemie szkoły 11-letniej, uwzględniającej szeroko wykształcenie zawodowe. Do struktury szkoły musi być przystosowany program nauczania, przede wszystkim nauczania historii, które oprócz znaczenia w wykształceniu umysłowym młodzieży stanowi jedną z podstaw wychowania społecznego. Stąd pochodzi tendencja stosowania metody materializmu historycznego w zakresie badania i wykładania historii, metody odpowiadającej potrzebom życia współczesnego.

Przy stosowaniu metody materializmu historycznego występują niekiedy błędy, wynikające ze zbyt gwałtownego i bezwzględnego zrywania z metodami tradycyjnymi. Tak np. w przeciwstawieniu się lekceważeniu czynników geograficznych, geopolitycznych, demograficznych w rozwoju dziejów, nadaje się im niekiedy zbyt wielkie znaczenie, w przeciwstawieniu do indywidualistycznego i idealistycznego traktowania dziejów eliminuje się ideę jako siłę motorową, lekceważy się rolę jednostki w dziejach, sprowadza się np. błędnie twórczość artystyczną do wyłącznego działania określonych warunków materialnych.

W badaniu i interpretacji dziejów metodą materializmu historycznego przyznawane jest ogromne znaczenie idei, uznaje się wzajemne oddziaływanie sił materialnych i ideowych, nie w stosunku przyczyny i skutku, lecz jako jednego nurtu ekonomiczno - ideologicznego zmian rozwojowych, z tym zastrzeżeniem, że u podstawy rozwoju pozostają warunki gospodarcze. Tak np. przy badaniu zjawisk współcześnie występujących na przełomie średniowiecza i epoki nowożytnej: kapitalizmu i reformacji — idealistyczna koncepcja historyków i socjologów, i to najwybitniejszych — prowadzi do stwierdzenia, że reformacja tworząc nową doktrynę gospodarczą, popierającą wysiłek w nowej produkcji stwarza nowe formy gospodarowania — kapitalistyczne; koncepcja materialistyczna, uznając wzajemne oddziaływanie warunków gospodarczych i nowej teorii gospodarczej, stwierdza, że u podstawy rozwoju kapitalizmu stoją nowe potrzeby życia gospodarczego, nowe siły społeczne. Materializm historyczny uznaje wielką rolę jednostki: człowieka szarego, cząstki masy społecznej i indywidualności wybitnej, która jednak odgrywa specjalną rolę w dziejach jako człowiek ukształtowany przez odpowiednie stosunki społeczne i zyskujący wpływ w określonych warunkach społeczno-gospodarczych. Tak np. rola Napoleona w dziejach Francji i Europy pozstaje w ścisłym związku z warunkami, jakie wytworzyła Wielka Rewolucja Francuska.

Metoda materializmu historycznego, oparta na założeniach naukowych — filozoficznych, ekonomicznych, socjologicznych, stwarza możliwości dla przeprowadzenia rewizji w zakresie dotychczasowych poglądów na dzieje. Takie rezultaty przedstawili historycy radzieccy na Zjeździe w dyskusji i poza Zjazdem w odczytach, jakie wygłosili w szeregu miast polskich. Stosując metodę materializmu historycznego. doszukując się w dziejach gry sił ekonomicznych i socjalnych doszli do rozstrzygnięć nowych w zakresie szeregu kapitalnych problemów spornych: zagadnienia pochodzenia państwa ruskiego, feudalizmu na ziemiach ruskich, roli carstwa Moskiewskiego oraz Iwana Groźnego, początków kapitalizmu rosyjskiego, półkolonialnego charakteru Rosji w epoce imperializmu zachodnio-europejskiego, znaczenia rewolucji dokonanej przez bolszewików, którzy wyrwali władzę z rąk bankrutów szlachecko-mieszczańskich i oddali ją w ręce milionowych mas chłopsko-robotniczych, ratujących ojczyznę przed grożącą jej katastrofą.

Szereg podobnych zagadnień w dziejach polskich stawia życie historykom polskim do rozwiązania. Ułatwi im to zadanie odpowiednia metoda badania.

Nauczanie historii musi posługiwać się tymi samymi metodami, jakie stosuje nauka historii. Tendencje w życiu gospodarczym, społecznym i politycznym muszą znaleźć odbicie w ustroju szkolnym i w programach. Nauczanie historii z tych podwójnych względów winno sięgnąć po wskazania, wzory do teorii, metod socjalistycznych. Z tych podwójnych względów metoda materializmu historycznego znajdzie stopniowo zastosowanie nie tylko w nauce ale i w nauczaniu, co prowadzi w konsekwencji do poddania rewizji już po wojnie opracowanych programów.

Natalia Gąsiorowska

Paulina Czyżowa

O recenzentach poezji

Trudno jest dzisiaj recenzentowi powiedzieć coś sensownego o poezji. Trudno nie dlatego, żeby współczesna poezja była jakoś niezwykle skomplikowana, bogata, zaskakująca nowością. A dlatego po prostu, że nie towarzyszy jej żadna dyskusja, żadna próba sformułowań teoretycznych. W zakresie prozy dokonano pewnej systematyzacji i pod względem stylów, i pod względem ich społecznego oparcia, przeprowadzono syntetyczną ocenę okresu przedwojennego XX-lecia, którego niewątpliwą kontynuacją jest twórczość współczesna, próbowano przestawić krytykę literacką z formalistycznych, psychologicznych i impresyjnych torów na pozycje określone socjologicznie. Ostatecznie w najgorszym razie mówi się wtedy o życiu, o rzeczywistości, zamiast o samym dziele literackim. A i to jest ciekawe. Natomiast w poezji nie uciekniesz od literatury. Strona językowa utworu poetyckiego narzuca się silniej niż sfera znaczeniowa; sensowność społeczna liryki jest niezupełnie zależna od bezpośrednich znaczeń zdań poetyckich. Nawoływanie do rewolucji nie tworzy przecież poezji rewolucyjnej.

Trudności nieszczęśliwego recenzenta poezji zwiększa fakt, że w powojennych pismach literackich przemawia on do niewątpliwie szerszych, a w każdym razie innych grup czytelniczych. Kameralne, zawodowe dyskusje o poezji są trochę śmieszne, gdy odbywają się wobec słuchaczy, których wykształcenie poetyckie kończy się przeważnie na „Panu Tadeuszu" i „Ojcu zadżumionych". Recenzent „masowego" pisma literackiego przymykając oczy na wiedzę lub niewiedzę czytelników stara się znaleźć jakąś średnią rozsądkową poziomu, aby mieć złudzenie, że porozumiewa się ze swymi czytelnikami i aby oni nie spostrzegli, że są oszukiwani.

Zdawało by się, że wystarczy oczyścić język krytyki literackiej z obcych terminów i zrezygnować z uczonych genetyk poetyckich, a będzie się mówiło i informowało o poezji. Czy rzeczywiście? Co, ile i komu może pokazać z poezji język tradycyjnej krytyki przystosowany mechanicznie do różnych poziomów, często tak mechanicznie, że na zasadzie ilości wierszy w szpalcie? A przecież im mniej napisać, tym — oczywiście — trudniej, tym ciemniej, tym bardziej w społeczną pustkę.

Oto przykłady krytyk poetyckich w paru numerach pism z ostatniego tygodnia. Więc nieprawdą jest, że się o poezji w ogóle nie pisze. Nie chcę twierdzić także, że pisze się głupio. Chcę tylko zapytać: dla kogo?

Wychodzi od niedawna tygodnik Powszechnej Organizacji „Służba Polsce" — „Razem", pismo dla młodzieży przeważnie chłopskiej i robotniczej, bo ta stanowi trzon organizacji.

Znajdujemy w numerze z ostatniego tygodnia recenzje z czterech wydawnictw poetyckich. Bardzo to miłe. Ale konieczna w takiej okazji zdawkowość recenzji powoduje wiele rażących błędów w interpretacji poezji. A przede wszystkim uderza fakt, że recenzja taka jest nie do użytku, ani dla omawianego poety, ani dla czytelników pisma. Recenzent stawia bowiem przed sobą tradycyjne zadanie: określić **osobowość** poety, uchwycić jego charakter. Jest w tym coś z tego typu uczonej krytyki, jaką przedstawia Stefan Lichański, pisząc w równoległym numerze „Nowin Literackich" o Tadeuszu Kubiaku. Wyłuskanie ze spostrzeżeń formalistycznych i emocjonalnych wrażeń osobowości poetyckiej — jest celem tego typu krytyki. Oczywiście ocena, ale dla dusz obcowania. W recenzji Lichańskiego znajdują się też bardzo nowe i aktualne stwierdzenia postulatywne, np. tam, gdzie określa społeczno - polityczny sens poezji Kubiaka, wyraźnie — jak pisze — anty-faszystowski „lub jeszcze ściślej — anty-hitlerowski".

Niemniej recenzent wraca pod koniec do „kośćca osobowości poetyckiej Kubiaka", która to — zdaniem jego — czyni go „prekursorem nowej poezji".

Oczywiście ten typ recenzji pięknie się mieści w „Nowinach Literackich" i przemawia do czytelników „Nowin" językiem, jakiego oczekują. Jest tu lekka analiza **formalna**, mocne słowo **o treści** i końcowa dobra „nowina".

A. B., który recenzuje „Zaczarowaną dorożkę" Gałczyńskiego, pisze o „perłach prawdziwej, osiągniętej najprostszymi środkami poezji", o „wirtuozerii formy", o tym, że „formalnie nie widać większych zmian; jego (Gałczyńskiego) technika poetycka była zawsze bardzo swobodna i bogata". Dalej recenzent wypisuje poecie cenzurkę: „Poziom utworów dziwnie nierówny, nie widać najmniejszej selekcji, czy to w układzie tomu, czy wyborze utworów". I kończy łobuzersko: „W sumie kupa śmiechu i to dobrego śmiechu wyciskającego łzy z oczu".

Ze społeczną interpretacją poezji Gałczyńskiego recenzent ma kłopoty z tego oczywistego dla nas powodu, że sam nie może się zdecydować, gdzie się społecznie ustawić, chce być **społecznie obiektywny** i z tej pozycji oceniać, co jest „zgniło - inteligenckie", co drobnomieszczańskie, a co obliczone na szczerą „kupę śmiechu" młodzieży chłopsko - robotniczej. Postawa społecznie obiektywna recenzenta sprawia, że głos jego kieruje się w pustkę. Popularność Gałczyńskiego tłumaczy np. mieszczańskim snobizmem czytelników „Przekroju", a czytelników „Razem" nabiera przy tym na „perły poezji".

Miał też trudności z recenzją z Wygodzkiego Andrzej Braun. Zrobił ją zaś z tych samych elementów plus psychologia. Słowo: „wstrząsające" powtarza się parę razy. Najtrudniejsze zadanie postawił sobie Adam Włodek: napisać o całej twórczości poetyckiej Jastruna i Ważyka razem w 64 wierszach petitu.

Niewątpliwie taka recenzja musi operować skrótami myślowymi, znakami, które są zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych, pojęciami, które powinny wywoływać całe sfery literackiego wykształcenia, a jeśli nie wywołują, są zwykłą abrakadabrą inteligencką. Muszę zacytować z recenzji Włodka o Ważyku: „Pierwszy okres, okres awangardowego eksperymentu, kiedy poeta, przeszczepiając na nasz grunt najcelniejsze osiągnięcia francuskie, daje w połączeniu z niedwuznaczną jasnością swego stylu utwory zupełnie odrębne na tle dwudziestolecia — okres ten przechodzi po latach w etap nowy: klasyczne kształtowanie poetyckiej wizji"... itd.

Proponuję ankietę na temat, czego czytelnicy „Razem" dowiedzieli się o poezji Ważyka? O Jastrunie dowiedzieli się dużo więcej — i błędnie Twierdzenie: „różni się poezja Jastruna od poezji Ważyka nasileniem temperamentu" — ujdzie Włodkowi na sucho, ponieważ nie ma na świecie sprawiedliwości. Teoria temperamentów poetyckich Włodka godna jest dłuższego cytatu: „Chłodnej obserwacji Ważyka przeciwstawia Jastrun zmysłowość podkreślaną niejednokrotnie odwoływaniem się do krwi, jako źródła i motoru poczynań ludzkich". Poza tym autor tej recenzji zdaniem naszym zbyt bezpośrednio odczytuje poezję. W pełnych inwencji i na gorąco chwytanych felietonach poetyckich „150 wierszy o poezji" w „Dzienniku Literackim" zbyt często robi Włodek podobnie: wykłada poezję jak szkolny filolog: „w pierwszej zwrotce poeta skarży się na niewdzięczność ukochanej..." itp. W ostatnim „Dzienniku Literackim" (nakład 135,000 egzemplarzy) Włodek czyta poematy o plastykach: Eluarda o Picasso i Flukowskiego o Dunikowskim. Krzywi się na „smaczki kolorystyczne" Flukowskiego, a nie przyjdzie mu na myśl, czy czasem sam nie ulega smaczkom i w wyborze tematów i ich przedstawieniu. „Dziennik Literacki" w 135,000 egzemplarzy szerzy smaczki poetyckie Włodka, jak inne pisma literackie — swoich recenzentów. Czy nie jest możliwy w zastosowaniu do poezji język krytyki sprawdzalnej, społecznie jednoznacznej, to znaczy stojącej na określonych społecznie pozycjach i określonym kręgom służącej?

W „Odrodzeniu" Marian Piechal pisze o książce poetyckiej Romana Bratnego, a Stefan Flukowski o „Siedmiu nocach" Stan. Czernika. Czy inaczej? Znowu nie wychodzimy poza prywatne ompresje. Piechal **„ma wrażenie"** przedstworzennego chaosu w wierszach Bratnego, Piechal **odczuwa „niedowład woli** kształtotwórczej" poety. Z kolei czytelnik Piechala musi **odczuwać** jego odczuwanie, bo trudno bezpośrednio rozumieć taki bodajże polityczny dezyderat: „jednoznaczność wszelkiego tworu artystycznego jest zasadniczym postulatem naszej nowej rzeczywistości powojennej, przynajmniej w zasięgu ustrojów demokracji ludowych"! (Wykrzyknik nasz, sto państwowotwórczo - demokratycznych wykrzykników naszych).

Flukowski tuż obok usiłuje nas przekonać o „wiejskości" poezji Czernika, „wiejskości" polegającej na „silnym związku z naturą". Krytyk **czuje** w omawianych wierszach „nutę wsiowości, atmosferę pejzażu wiejskiego, zapachu drzew i nieba i ziemi. Dołącza się tylko nuta patriotyczna, nuta tęsknoty".... Zauważmy: „nutę patriotyczną" przeciwstawia krytyk „nucie wsiowości". „Niewątpliwie — pisze dalej — Stanisław Czernik jest wybitnie poetą wiejskim, charakterystycznym dla swego środowiska". Dla nas jest to wątpliwe. Nowa sytuacja społeczno - polityczna, zwrot do zagadnień wewnętrznych wsi jako do spraw narodowo - ustrojowych... uczuliły nas na wszelkie fałsze literatury mówiącej o wsi. Cenimy Stanisława Czernika, ale nie uważamy go za poetę „wsiowości". Pejzaż wiejski, zapach drzew, nieba i ziemi w poezji nic nam nie mówi o wsi jako formacji społeczno-ustrojowej, nic nie mówi o życiu wsi, a jeśli te rzeczy nie mogą być przedmiotem poezji, nie nazwiemy jednak Czernika — poetą „wsiowości". Gdy krytyk operował wrażeniami, mogliśmy się tylko zżymać, ale gdy błędnie i źle ustawia społeczną interpretację poezji, trzeba by mu radzić, aby już wyszedł z saloniku i spróbował dowiedzieć się czegoś rzeczowo o przedmiocie swoich odczuwań, tym razem o wsi. Zapomnieliśmy, że nie ma to przecież nic wspólnego z poezją i z krytyką poetycką. Niech poeci piszą wiersze, niech recenzenci doszukują się w nich woni drzew, nieba i ziemi. A wieś bez ich pomocy tworzy swoją historię. Tworzy ją młodzież chłopska i robotnicza razem. Poezjo, przybywaj!

Howard Fast

Tłum. Waldemar Kiwilszo

CLARKSTON

Wreen siedział na drewnianym taborecie pod silnym, oślepiającym światłem elektrycznej lampy. Po bokach stali dwaj policjanci.

Zaczął Gelb, Lowell i Norman usunęli się w cień pod ścianę. Korzon umieścił się na granicy oświetlonego kręgu. Kiedy Gelb przemówił, Korzon trącił Wreena wierzchem dłoni pod brodę, żeby go zmusić do podniesienia głowy.

— Hallo, Wreen — rzekł Gelb niedbale. Od dawna chciałem poznać Pana.

— Chciałeś go poznać, czy chciałeś mu dać po mordzie? — spytał Korzon zaśmiawszy się.

— Dlaczego po mordzie? Wreen bardzo mi się podoba.

— To znaczy nie będziemy go bić.

— Poco go bić? Wreen mnie się podoba. Lubię takich. Ja go cenię. Od pierwszego dnia gdy przyjechałem do Clarkston, słyszę ciągle tylko Wreen i Wreen. On jest tu u was znakomitością.

— To na pewno, Gelb — rzekł Wreen i ledwie widoczny uśmiech pojawił się na jego twarzy. — Chciałbym widzieć z kim mówię.

— Chce widzieć, z kim mówi — zachichotał Korzon — On mnie też zaczyna się podobać. Chce widzieć, z kim rozmawia.

— Was na przykład widzę dobrze — powiedział Wreen. Wystarczająco wstrętny widok, tym bardziej dla znużonych oczu.

— Irlandczycy mają długie języki. Wygadaj się, wygadaj, Wreen.

Gelb wszedł w oświetlony krąg i stanął przed Wreenem patrząc mu prosto w twarz.

— Jesteście uczciwym człowiekiem Wreen?

— Będąc jeszcze malcem nie oddawałem matce reszty. Od tego i zacząłem.

— Pytam poważnie Wreen i oczekuję poważnej odpowiedzi. Jeżeli jesteście, aż tak dumni, by nie zarobić paru dolarów, to będziemy rozmawiać inaczej.

— O tak, jestem dumny. Czyż nie wiecie, że my Wreen'owie — z królewskiego rodu.

— Widzicie, żartuje z nas — rzekł Korzon.

— Spotkałem czerwonych, których nie można było przekupić — rzekł Gelb, przydając głosowi znaczenia. — Cóż, więc pan z takich?

— Gdzież nam do przekupstwa — rzekł Wreen — każdy z nas otrzymuje co tydzień tysiąc dolarów złotem prościutko z Moskwy. Czyżbyśmy chcieli zaofiarować więcej?

— Jesteście nachalnym smarkaczem — powiedział Gelb — jak i cała wasza kompania. Zresztą nie myślcie, że są nam potrzebne jakiekolwiek wasze zeznania, Wreen. Wszystko czego potrzebowaliśmy już mamy. Wszystko! Rozumiecie? Teraz dajemy wam wybór: albo wchodzicie w grę, albo pozwolimy Korzonowi pobawić się z wami.

— Jaką grę?

— Mam w kieszeni pismo, króciutkie pismo, w którym mówi się że wy i nasi przyjaciele dla politycznych interesów swojej partii podżegaliście robotników do strajku. Tu są wymienione niektóre nazwiska. Pismo to zostanie przez nas wykorzystane, jeżeli zajdzie ostateczna potrzeba tego. Ja osobiście sądzę, że takiej konieczności nie będzie. Tym bardziej, że strajk jutro się kończy. Mister Lowell postanowił pójść na rękę związkowi. Mimo to chciałbym mieć to pismo z waszym podpisem. Mister Lowell gotów jest zapłacić dwa tysiące dolarów.

— To jest niżej obiegowej taryfy. Znałem jednego dziennikarza, który kiedyś pisał do „Daily Worker" a potem sprzedał się Herstowi. Tak, Herst zabezpieczył go na całe życie. Zresztą dla zwyczajnego robotnika wystarczy prawdopodobnie i dwu tysięcy.

— Nie wygłaszajcie przemówienia — rzekł Gelb i w głosie jego zabrzmiała groźba. — Tak, czy nie, Wreen? To wszystko, co chcę usłyszeć od was — tak, czy nie?

— Cała bieda w tym, Gelb, że pan zestarzał się. Sądzi pan, że żyje w 30-tych latach, kiedy to gromiliście strajk za strajkiem. Tylko, że teraz to się nie uda. Wam ciągle się zdaje, że możecie masy pracujące zmusić do klęczenia.

Wszystko się zmienia na świecie, oprócz takiego draństwa jak wy, Gelb...

Korzon z całej siły uderzył Wreena po twarzy i ten zwalił się na podłogę wraz z taboretem. Policjanci postawili taboret na miejsce i podnieśli Wreena. Wybity ząb zwisał na kawałku dziąsła. Górna warga była rozcięta i już rozpuchła. Z ust ciekła po twarzy strużka krwi.

— No teraz to on na prawdę mi się podoba — rzekł Gelb.

— I mnie się podoba — zachichotał Korzon.

— On jest odważny. Wszyscy Irlandczycy są odważni. Im tylko by się bić.

— A wydaje się, że lubi spokój i ciszę — rzekł Gelb. On przecie jest człowiekiem rodzinnym. Pięcioro dzieci. Kocha spokój i ciszę. Człowiek mający rodzinę nie lubi się bić. On sądzi, że się zestarzałem. A wygląda na to, że to on postarzał. Za co upiększył mu pan fizjonomię? Biedny chłopak i tak nie grzeszył pięknością. Za co pan tak go upiększył, Jack?

— Dobrze, będę strzegł jego urody — uśmiechnął się Korzon.

— Słusznie — rzekł Gelb tonem zgody. A jak ty sądzisz, John? Ja osobiście nie jestem zwolennikiem rozpraw przy pomocy kułaków.

— Wstrętny sukinsynie — rzucił Wreen.

Tym razem Korzon walnął go w brzuch. Wreen i taboret z hasłem potoczyli się w cień. Policjanci znowu podnieśli Wreena. Ale kiedy posadzili go na miejsce, ten skurczył się tracąc oddech i trzymając się rękami za brzuch.

— Dobry — rzekł Gelb. — Cudny aż miło.

— Podoba mi się — uśmiechnął się Korzon. — Po prostu — podoba się.

Gelb obrócił się ku Normanowi.

— Zauważ Franc — rzekł — przed tobą siedzi człowiek z zasadami. Proponuję mu dwa tysiące dolarów, a on nie chce nawet odpowiadać. Zarozumiali są ci komuniści. Mają odpowiedzi na wszystkie problemy w świecie, a kiedy zadaję zwyczajne uprzejme pytania, on w odpowiedzi ubliża mi. Czyż nie za wiele buty jak na irlandzkiego obdartusa?

— On lubi dostawać w mordę — rzekł Korzon — lubi żeby go bili.

— Po co mu to potrzebne? Niech lepiej pomyśli o tym, że kiedy robotnicy staną do pracy, ani on ani jego przyjaciele nie zostaną na fabryce. Niech pomyśli też nad tym, że tu w Clarkston nie ma nic więcej do roboty. Niech zrozumie to i weźmie od nas, co mu się należy.

Wreen przyszedł do siebie. Podniósł rękę do ust, wybity ząb upadł mu na kolana i potem na podłogę.

— No zagraliście bohatera i wystarczy — rzekł Gelb z emfazą. — Pozwólcie, że teraz przejdziemy do sprawy, Wreen. Pogadamy o dolarach i çentach. Dobrze, co?

Westchnął.

— Macie żonę i dzieci, Wreen. Do czego doprowadzi was ta historia. Nie upierajcie się, Wreen. Ostatecznie żyjemy tylko raz i nie ma sensu psuć sobie życia na próżno. Nie upierajcie się. Dlaczego nie moglibyśmy dogadać się? Mister Lowell pragnie sprawiedliwie rozstrzygnąć tę sprawę. Ja również chcę ją rozwiązać po sprawiedliwości. Po co mamy dopuszczać sprawę do takich skrajności ? Być może słyszeliście o mnie coś niecoś złego, ale powiem po prawdzie, Wreen, nienawidzę brutalstwa i boleję, gdy jestem zmuszony uciekać się doń. I ja zachwycam się ludźmi waszego pokroju. I nie słucham tego, co o was powiadają głupcy. Ja szczerze podziwiam was. I jeżeli mówię: dwa tysiące dolarów, to wiem, że pieniądze nie pójdą na marne.

— Idźcie do diabła — wyszeptał Wreen

Amerykanie nazywają siebie „narodem wieśniaków". Taki był początek kolonizatorski. We współczesnej Ameryce farmerzy jeszcze dziś nie rozstają się z biblią, ale ustrój dawno się z nią rozstał — patrz fragment powieści Fasta.



Typ amerykańskiego farmera

Waldemar Kiwilszo

HOWARD FAST

W amerykańskim świecie wydawniczym już od dawna uobywatelnione są utwory beletrystyczne takiego typu, jak opowieści tajemne, powieść detektywistyczna, romans grozy oraz powieść pseudo-historyczna.

Rzecz jasna, że przytłaczająca większość publikowanych w Ameryce powieści i nowel nie ma żadnego, choćby najniklejszego związku z literaturą piękną sensu stricto. Ledwie nieliczne książki z wydanych w latach 40 mogą zainteresować czytelnika, który szuka w utworze literackim odbicia rzeczywistości, skomplikowanych praw życia, które rządzą społeczeństwami. Tylko nieliczne powieści mówią o tym, jak kształtowało się życie Ameryki w czasie drugiej wojny światowej. Podobnie w nielicznych tylko książkach opublikowanych w Ameryce w ostatnich latach znalazły wyraz skomplikowane warunki powojennego okresu.

Odchodzenie od realizmu cechuje ostatni okres literatury amerykańskiej. W związku z tym przeżywa ona dzisiaj wyraźny kryzys. Nawet pisarze, którzy w latach 30-tych stanowili awangardę postępowej literatury amerykańskiej, jak John Dos Passos, Richard Wright, Hemingway, Caldwell, Steinbeck w latach wojny i po wojnie zeszli na pozycje obskurantyzmu i w większości swych ostatnich utworów prezentują się nam jako „opowiadacze" erotyki i patologii ludzkiej. To właśnie, co uprawnia krytykę do szukania związków tej literatury z naturalizmem. Typowa jest tu ewolucja twórcza Johna Steinbecka. Autor „Gron gniewu", jednej z najznakomitszych powieści amerykańskich wydał ostatnio dwie nowe powieści: „Ulicę sardynkową" i „Zbłąkany autobus", które najzupełniej potwierdzają diagnozę dla średniego pokolenia pisarzy.

Ale obok tego wyrasta interesujące młodsze pokolenie literackie. Najciekawszą postacią wśród młodych pisarzy związanych ściślej z amerykańskim ruchem robotniczym jest Howard Fast. W latach wojny napisał on kilka historycznych powieści. Walkę sił postępowych z reakcją społeczną i polityczną przedstawił Fast na materiale przeszłości, na zwrotnych punktach historii amerykańskiej: rewolucji amerykańskiej i walki o niepodległość („Obywatel Tom Paine") *). („Niezwyciężeni") i wojny Północy z Południem („Drogi wolności").

W powieści „Drogi wolności" Fast ukazał walkę Murzynów o swoje prawa po wojnie domowej. W innej powieści p. t. „Ostatnia granica" zwierzęcą dyskryminację Indian przez amerykańskich kolonizatorów. Te historyczne powieści Fasta pomagają rozumieć czytelnikom współczesność amerykańską.

Fast pracuje również jako historyk i publicysta. Jego prace jak: „Realizm i powieść radziecka", „Sztuka jako broń", lub wystąpienia na dyskusji poświęconej rozważaniu problemu miejsca pisarza w społeczeństwie są ideologicznymi drogowskazami dla młodej demokratycznej literatury w USA.

Niedawno, bo w 1947 r. opublikowano w Ameryce nową powieść Fasta „Clarkston", tym razem powieść o wydarzeniach aktualnych. Pisarz odsłonił w niej zaostrzenie się walki klasowej w USA po wojnie. Podjęty przez Fasta temat — strajk robotników — był jednym z zasadniczych tematów amerykańskiej literatury „progresywizmu" w latach 30-tych. Przypomnijmy choćby Steinbecka „Grona gniewu" Ale Fast przystąpił do niej wzbogacony doświadczeniem przeszłego dziesięciolecia. Być może właśnie dlatego udało mu się przezwyciężyć to, co było słabym punktem całej poprzedniej progresywnej literatury. Fast dał kreację pozytywnego bohatera. Ostre napaści oficjalnej krytyki i prasy na te powieści mogą być najlepszym świadectwem jej znaczenia. **).

Fragment, który podajemy, wyjęty jest z tej powieści

W niewielkim mieście amerykańskim Clarkston odbywa się strajk. Właściciel fabryki, wielki kapitalista Lowell, który na wojnie dorobił się wielkich zysków sprowadza z new-yorskiej specjalnej tajnej agencji wytrawnego prowokatora Hamiltona Gelba zajmującego się zrywaniem strajków. Gelb i fabrykant sprzymierzeni z naczelnikiem policji Korzonem nie gardzą żadnymi metodami walki ze strajkującymi. Sprowokowawszy areszt członków komitetu strajku Gelb poddaje ich badaniom w urzędzie policyjnym i potem zbitych, zmaltretowanych próbuje przekupić.

W podanym fragmencie przedstawiona jest rozprawa z sekretarzem komunistycznej komórki Johnem Wreenem.

*) Obecnie new-yorski Komitet do spraw oświaty zabronił uczniom czytania tej powieści, mającej jakoby wszczepiać „złe skłonności".

**) Ostatnio Fast został aresztowany przez władze U.S.A za swoją działalność.

Roman Bratny

D O Ś Ć

To nie strach mi dyktuje.
Gdy gdzieś na zakręcie z mojego życia śmierć wyrzuci mnie jak z auta
kierownicę opuszczę — ze smutkiem,
ale wiem: trzeba wysiadać.

To nie strach sprawia, ale wolałbym
wywalić się na wyścigach,
w których, jak na wyścigu pracy,
wiem czemu ostro kręcę kierownicą.

To nie strach. Hamulca
nie używam przed czasem. Okulary
szoferskie zastąpiły mi nadzieje i wiary
— jasno widzę, chociaż wiatr mi w twarz dmucha.

Było tak: lotnik — „zapewne szalony lub poeta"
przypuszczały liczne artykuły
zrzucił nad siedzibą Oenzetu
jedno słowo, jedno słowo!

A w słowie tym
były wszystkie pamiętniki miłości.
przez które spłynęły łzy
mężczyzn i kobiet.

A oto tekst
pamiętników miłości:
„spotkali się. Kochali
Zabili go
zabili ją
zabili go
zabili go
zabili zabili zabili..."
50.000.000 razy.

Uważaj czytelniku,
rękę musiałbyś mieć muskularną
byś karty z tymi słowami, nawet drukowanymi petitem.
nadążył obracać.

To nie strach mi dyktuje pozdrowienia
dla dziwnego lotnika.
On, gdy w lustro spojrzał tego dnia przy goleniu
mógł ujrzeć miliard twarzy swoich sojuszników.

Ja — szofer tylko własnego życia,
mechanik postrzelonego motoru,
dobrze wiem, jak powstawało słowo tego miliarda — lotnika,
opowiem wam o nim.

Ranny trzykrotnie rano
otwierał do życia powieki tak mocno,
że za oknem pękały pąki kasztana
wiosną.

Szedł do fryzjera. Wśród gruzów i szkła
pod murem rozstrzeliwań ulicznik bosy
w guziki drobną monetą grał
— uderzał o mur srebrny orzeł,
a matka rozstrzelanych trafiana swym sercem
szła z trudem przez wspominane zjawiska.
Droga do piekarni prowadziła tędy
po chleb dla ostatniego synka.

Potem rząd namydlonych twarzy,
— gdyby lustra zaludnić przed nimi
wspomnieniami
oglądaliby to ciekawi turyści
z innych lądów — Amerykanie.
A tak, każdy tylko do wspomnień uśmiecha się
żłobiąc głębokie bruzdy w pianie.

Lotnik czyta gazetę. Patrzy na zegarek — odziedziczony po rozstrzelanym.
Już wie, że nosi na rękach wahadełko
i własnej śmierci — sekundnik z malutkimi podziałkami;
myśli: niechaj szczęśliwsi spadkobiercy zegarek nakręcą.

Przeczytał o groźbie trzeciej wojny — o niej.
Gdyby — pomyślał — wszystkie
zegarki, co widziały śmierć zadaną z broni
zadzwoniły dziś nagle — każdy byłby budzikiem
ludzkości.

Wstaje.
Idzie do pracy. Rzeźki na niby, naprawdę ogolony.

O tej porze na innej półkuli
budzą się ptaki.
Potem dyplomaci, fabrykanci, monopoliści.
Szelest liści,
potem szelest akcji.

Kolorowe krople potu
— to nie o Murzynach —
pot kolorowy spływa
z gardziołków.
Ptaki! Ptaki w ogrodach Kalifornii.

W gajach pomarańczowych wypoczywa w radości
amerykańska święta rodzina.
Ojciec przez cukrową trzcinę
ssie — jaka słodka! —
siły najemnych do szpiku z kości.

Córka w powietrze zaondulowane dymem z papierosa
rzuca obrączkę
— podnosi ją, oddzielony żelaznym płotem
nędzarz. Obrączkę szminki na ustniku
wypalonego papierosa.

Syn — daleko za Renem
wkłada Niemce za podwiązkę dolara z wizerunkiem prezydenta Trumana.
Za podwiązkę dolar, za podwiązką dolar,
dolar dolar dolar
— Niemka to jego siostra narzeczona.

Syn mówi o ideałach ludzkości —
i ołówkiem z reklamą amerykańskich prezerwatyw
przekreśla plany mające na celu by ludzie
kochali się jak brat z bratem.

Ojciec, syn i córka
i jeszcze ojciec święty
mówią: „z woli ludu nadejść musi..."
— a potem gazety, gazety, gazety:
„Nadejść musi trzecia wojna!"

Lotnik wyjeżdża z Warszawy.
Wakacje. Ach, żeby człowiek odpoczął od ludzkości — od siebie.
Doprawdy,
móc się zmienić np. w królika — oto marzenie.

Ale czyżby
jakiś inteligenty królik dwudekowym mózgiem
nie zdołał rozwiązać, ożywić
problemów wojny i nędzy ludzkiej?

Króle europejskie nie potrafią więcej
niż strzyc uszami
i jeździć do katedry Westminsterskiej
poszóstnymi karocami z Bevinami.
Szukajmy poradni dla ludzi u zwierząt — szukajmy!

Wakacje. Ręce w końskiej grzywie — galop przez piachy
— chwała dalekim cieniom — cześć je właśnie tym ku nim galopem.
Wysokie niebo w upałach sięga mu pod pachy
— świat toczy się jak wielka kropla potu.

Jabłka — już piękna ich forma jesienna się zbliża.
Lotnik myśli: „drąży je robak"
bo on widział całe społeczeństwa
rumiane nad grobem.

Lotnik się kąpie w jeziorze
— przeszły tędy dwie armie.
Nie ujrzysz dziś ich śladu nawet w mikroskopie
— czymże jest życie. Lotnik przepływa je crawlem.

Potem zwiedza przez wojnę zrujnowany pałac.
Tu nawet z foteli obicia zdarto na onuce
— tędy szła ostatnim oddechem zwycięska armia
Przeszłością junkerską opatrzono stopy ludzkie.

Fotele leżą na zamkowym podwórzu
w nich teraz gniazda os.
Panowie z drugiej półkuli — szefowie trustów
zasiadajcie w radach nadzorczych!

Kwitły tu sady owocowe. Kwitły
koncerty.
Obdarli z owoców i muzyki
niekulturalni zwycięzcy?

A gdy w żołądku żołnierzą zaburczy
porównania to do symfonii nie ma?
A pewnie, bo to nie muzyka a poemat
o zwycięstwie ludzkim.

Będą mówić: „barbarzyńskie zniszczenia"
— kurczątko też by chciało żyć,
a *przecież nikt nie spuści go z widelca.*
Tym kurczątkiem był w dodatku wściekły wilk.

W ogniu bojów kurczątkami ludzie, pałace
w ogniu usta — jamy
rozpaczy.
W ogniu: rozpacz — chleb, który co dzień zajadamy.

Wieczorem słyszy przez radio: organizują się podżegacze.
Lotnik
nocami potem pisze listy — płacze
taki jak miliard a samotny.

Potem wybiega przed dom — nadsłuchuje
i nagle rzuca się na ziemię,
jak bramkarz w locie gdy czuje,
że piłka się wymyka, że ucieknie.

W oczach ma ciemność
taką, jakby już oczu nie miał.
Noga stuka — jakby już z drewna...
ręką dotyka drugiej ręki — może jest już tylko jedna?

Pisze list: „Do podżegaczy z Paryża
— będzie jak wypatroszony fotel.
Śliczny, powietrzny, zbudowany na niebie,
będzie jak śmietnik."

„Do podżegaczy z Madrytu
będzie jak byk na arenie,
gdy czerwona płachta pożarów zawieje,
jak zdychające zwierzę przebite!"

„Do białego mieszkańca Waszyngtonu
— uwaga, uwaga, jeśli wojna nadchodzi...
słuchajcie zresztą wszyscy: zmiecie!
Jeżeli nie słuchacie będę wołał do kamieni, do domów,

do szos — każdy w nich kamień
motorów w słońcu lubi blask,
lubi ludzi ciągnących autami.
Do kamieni ten list. Do kamieni!"

Wybiega przed dom. Który będzie zburzony.
Już świt. Listy. Jeszcze do kogo?
Mowy ptaków. Przebudzony
nadsłuchuje: tsss.

Kwiaty — „kielichy kwiatów" pisali.
A czy wiecie,
jak smakuje woda czerpana brudną garścią z sadzawki
w marszu na pięćdziesiątym kilometrze?

Rosa. Ranne pantofle na nogach zdrowych.
Oficer demobilu.
Ranne? Oto lista ran pierwszego z drogi
polowego szpitaliku:

Rany brzucha, pleców,
rany głowy, amputacje,
rany gardła, zagazowani,
rany nosa, uszu, szyi,
ślepi, rany płuc,
postrzały nerek, żołądka,
rany goleni, urwane jądra.

„Jądra“ — napisał! śmiejcie się. Człowiek może być trafiony wszędzie
Śmiejcie! Niech grymas fałduje wam twarze.
Czy wiecie,
jak wygląda twarz pocięta granatem?

Krowy pędzą na pastwiska.
Dość histerii. Więcej dwie krowy znaczą niż dwie łzy.
A więc ryczeć: nieeeee!
zamiast łez, których nie liczy nikt.

Lotnik. Oto zwyczajny, nareszcie trochę normalny człowiek
który wyjechał na dwa tygodnie by wypocząć.
Myślał — i teraz uparł się lecieć na miejsce straceń
wielkich nadziei ludzkości.

Nad domy! Nad dachy,
gdzie urzędnicy pokoju, pokojowcy, przekupni
— nad miejsce straceń
idei ludzkości rządzącej się rozumnie!

Chciałby lecieć, ale jest
urzędnikiem firmy budowlanej.
W Warszawie wznosi piętro po piętrze.
W Warszawie.

Wrócił z urlopu budować
wtedy przeczytał: poleciał inny — ktoś
Rzucił swoją książeczkę wojskową
przekreśloną, i taki list: „Dość“.

W gazetach napisali: szalony.

Roman Bratny

Kazimierz Piwarski

W polityce europejskiej lat ostatnich

Dziesięć lat minęło od września 1938 r., kiedy to premier angielski Chamberlain i premier francuski Daladier podpisali z Hitlerem i Mussolinim w Monachium (29 września 1938 r.) układ o rozbiorze Czechosłowacji, którą oddawano na pastwę zaborcom hitlerowskim pod hasłem „ratowania pokoju“. W istocie rządy państw zachodnich pokrywały tym hasłem swą politykę „nieinterwencji“ przeciw agresorom i swe usilne starania o „rozsądne“ porozumienie z Hitlerem i Mussolinim celem odpowiedniego podziału sfer wływów czterech mocarstw: swe dążenia do odwrócenia ekspansji hitlerowskiej od bezpośredniej sfery interesów państw zachodnich, a skierowania jej przeciwko socjalistycznemu państwu ZSRR, zabezpieczenia się zarazem przed dręczącą zmorą rewolucji socjalnej i utrzymania w pełni pozycji kapitału monopolitstycznego. W Monachium podeptano zasadę zbiorowego bezpieczeństwa i starano się narzucić dyktat polityce międzynarodowej europejskich mocarstw kapitalistycznych, wyeliminować ZSRR, uzgodnić interesy imperialistów anglosaskich, francuskich oraz niemieckich, sankcjonując agresję reżimów faszystowskich i udzielając im faktycznego poparcia i zachęty, jako pożądanym bastionom, zabezpieczającym świat kapitalistyczny przed wstrząsem rewolucji socjalnej, jako bazom wypadowym agresji przeciwko ZSRR.

Monachium stanowiło konsekwentny krok na drodze polityki imperialistów zachodnich w dobie międzywojennej, którzy od chwili Rewolucji Październikowej starali się obalić formujące się państwo socjalistyczne ZSRR, a zarazem wytężali wszystkie siły, aby stłumić w zarodku ogniki rewolucji społecznej w innych krajach Europy: kiedy zaś celu głównego nie udało się zrealizować, a ZSRR krzepnął i wzmacniał się stale, wówczas starali się odgrodzić ZSRR od reszty Europy „kordonem sanitarnym“, udzielając wszędzie poparcia elementom reakcyjnym i faszystowskim. Z zasadniczego jednak celu obalenia ZSRR koła wielkokapitalistyczne nigdy nie zrezygnowały i dlatego oszczędziły podstawy imperializmu niemieckiego po pierwszej wojnie światowej, następnie zaś przyczyniły się walnie do jego odrodzenia przez użyczenie hojną ręką poparcia finansowego i gospodarczego. Rzecz jasna, że bez tego poparcia, udzielonego szczególnie obficie przez kapitał amerykański i angielski, nie było by mowy o tak szybkiej odbudowie przemysłu potencjału wojennego Niemiec, na której oparł się i rozwinął ją w gigantyczną machinę zbrojeniową — hitleryzm.

Z nastaniem hitleryzmu ożywiły się mocno nadzieje wielkokapitalistycznych kół zachodnich, które widziały w nim pożądane narzędzie dla zwalczania socjalizmu i komunizmu, dla podjęcia agresji przeciw ZSRR. Zdawały sobie sprawę z tego, że demokratyczna i postępowa opinia krajów zachodnich, że szczególnie masy ludowe we wszystkich krajach Europy odwracają się ze wstrętem od hitleryzmu i faszyzmu. Stąd też owe koła kapitalistyczne prowadziły grę dwulicową, tumaniąc opinię publiczną różnymi posunięciami pozornymi i frazesami, którymi osłaniały swe prawdziwe zamiary, zarazem z całą perfidią prowadząc akcję zohydzania ZSRR, co zwłaszcza w klasie mieszczańskiej (zasadniczo wrogo nastawionej wobec słusznych postulatów proletariatu) znajdowało grunt podatny. Rzecz prosta, że — mimo takich czy innych frazesów, rzucanych dla zbałamucenia opinii publicznej — koła wielkokapitalistyczne nie życzyły sobie bynajmniej upadku hitleryzmu, w obawie rewolucji socjalnej w Niemczech, jako spodziewanej reakcji przeciwko krwawej dyktaturze zbrodniczej kliki hitlerowskiej.

Obawiały się eksplozji kotła niemieckiego na wewnątrz, wolały jego eksplozję skierować na zewnątrz. Od początku tedy nie miały zamiaru przeciwstawiać się ekspansji hitlerowskiej. Stąd płynęła polityka ustępstw i „nieinterwencji“, której następstwem było wydanie całych państw i narodów na łup faszystowskich agresorów.

Polityk amerykański Sumner Welles napisał w swych pamiętnikach: „W toku owych lat przedwojennych koła wielkich finansistów i kapitalistów w demokracjach zachodnich i w USA były mocno przeświadczone, iż wojna między ZSRR a Niemcami hitlerowskimi może im przynieść poważne korzyści. Twierdziły one, iż ZSRR będzie niewątpliwie pokonany, a wraz z jego upadkiem zostanie zniszczony komunizm; że następnie Niemcy będą przez tę wojnę tak dalece osłabione, iż przez szereg lat nie będą mogły stanowić poważnego niebezpieczeństwa dla reszty świata“. Zdanie to oddaje wcale trafnie rachuby wspomnianych kół, nacechowane zresztą wielką naiwnością w ocenie sił działających na arenie międzynarodowej. Tenże Sumner Welles takie zamieścił uwagi na temat Monachium: „Hitler uzyskał wszystko, czego w danej chwili żądał. Spekulował na tym, że Francja wzbraniała się przyjść z pomocą Czechosłowacji i na niechęci Francji i Anglii do znalezienia się po stronie ZSRR w wojnie w Europie Środkowej. Doceniał on w pełni wpływ tych czynników w łonie państw zachodnich, które uważały za korzystniejsze panowanie niemieckie w Europie niż rozwój potęgi rosyjskiej“. Mamy tu niezłą charakterystykę istotnych intencji kapitalistów w państwach zachodnich i innych państwach europejskich tej doby, których polityka nie miała nic wspólnego z prawdziwą obroną interesów narodowych, jakkolwiek reklamowała się głośno hasłami narodowymi. Burżuazja w państwach zachodnich i w wielu inych, również i w Polsce owej doby, popełniała faktycznie zdradę narodową, gotowa była w swej nienawiści do państwa socjalistycznego ZSRR i wrogości do mas ludowych poświęcić sprawę pokoju, wolności i niepodległości narodowej — dla uratowania swych interesów klasowych. Wystarczy wskazać na tak jaskrawe przykłady, jak zbrodniczą politykę kliki sanacyjnej w Polsce, będącej wykładnikiem interesów obszarników i kapitalistów, która stanowczo przeciwstawiała się wszelkim pomysłom współpracy z ZSRR (co jedynie mogło uratować Polskę przed agresją hitlerowską) i doprowadziła państwo polskie do katastrofy wrześniowej — jak również zbrodniczą politykę różnych Daladierów, Bonnetów, Flandinów i Pétainów we Francji, którzy woleli kapitulację haniebną w r. 1940 i wasalstwo w stosunku do Niemiec hitlerowskich, niż współpracę z ZSRR, niż walkę narodową na szerokich masach ludowych opartą, gdyż nie chcieli dopuścić do głosu mas robotniczych i ich prawdziwych reprezentantów, znienawidzonych komunistów. Podobnie przedstawiała się sprawa w innych państwach europejskich, które wskutek zdradzieckiej, antyludowej i antynarodowej polityki swych rządów padły ofiarą agresji faszystowskiej.

„Monachijczycy“ przeliczyli się w swych rachubach. Dzięki ich polityce ustępstw i „nieinterwencji“ Niemcy hitlerowskie uzyskały hegemonię wśród państw kapitalistycznych i nie myślały się nią z innymi dzielić: sięgnęły po władztwo nad światem. Na tym tle doszło do starcia zbrojnego państw kapitalistycznych w drugiej wojnie światowej. Opanowawszy kontynent europejski Hitler uderzył na ZSRR. Ta jednak agresja stała się w końcu grobem hitleryzmu. Niespożyte siły państwa socjalistycznego ZSRR ujawniły się w całej pełni. Związek Radziecki zgotował straszną klęskę hitlerowskim agresorom i zdecydował o wyniku wojny, przynosząc wyzwolenie wielu narodom Europy spod ucisku faszystowskiego. Pomylili się więc zasadniczo imperialiści anglosascy, którzy sądzili, że ZSRR strawi swe siły w walce z agresją i że nie będzie zdolny do odgrywania poważnej roli w Europie powojennej. Zawód zaś spotkał ich tym cięższy, że tymczasem powaga i prestiż Związku Radzieckiego wzrosły niepomiernie, a zarazem zwycięży w wielu krajach Europy środkowej i południowo-wschodniej ruchy ludowe, które ujęły władzę w swe ręce i ugruntowały ją na przeprowadzonych reformach społecznych, przeciwstawiając się naciskowi kapitalistów zachodnich, wyzwalając się spod ich wpływów.

Pokrzyżowało to plany imperialistów amerykańskich, którzy po upadku hegemonii niemieckiej w Europie chcieli tak na tym kontynencie, jak i na całym świecie narzucić hegemonię dolara. Stąd ich nienawiść do ZSRR i do państw demokracji ludowej, które nie chcą być koloniami dolara; stąd ich wytężone wysiłki celem popierania wszelkich sił reakcyjnych w świecie przeciw wzmagającym się ruchom demokratycznym i wolnościowym; stąd ich wysiłki celem wskrzeszenia tych elementów i rządów reakcyjnych w Europie; stąd osłanianie elementów hilerowskich przed sprawiedliwą karą i formowanie w Niemczech Zachodnich na nowo baz pod odbudowę militaryzmu i imperializmu niemieckiego.

Obserwujemy dzisiaj, jak imperialiści zachodni czynią gorączkowe próby wskrzeszenia polityki monachijskiej z całym aparatem środków działania przeciwko pokojowi niepodzielnemu, przeciw rzetelnej pracy nad organizacją zbiorowego bezpieczeństwa, przeciwko ZSRR i wszystkim siłom postępu i prawdziwej demokracji. „Neomonachijczycy“ są eksponentami kapitału międzynarodowego, są wyrazicielami pobożnych życzeń burżuazji, która za wszelką cenę pragnie utrzymać swe pozycje i stosować nadal dowolnie wyzysk człowieka przez człowieka. W obozie „neomonachijczyków“ skupiają się dziś wszelkie elementy reakcyjne i antydemokratyczne (nie łudzą nas różne pseudo-demokratyczne etykietki ludzi i partii tzw. „trzeciej siły“!), które nie chcą dopuścić do wyzwolenia się mas ludowych. W myśl przesłanek kapitalistyczno-imperialistycznych jedyną swą szansę widzą w nowej awanturze wojennej i dlatego uprawiają z taką pasją podżegactwo wojenne. Na tej bowiem tylko jeszcze drodze spodziewają się przeciwstawić narastającym i potężniejącym na całym świecie siłom demokracji i postępu, których hasłem jest triumf idei pokoju i sprawiedliwości społecznej. Siły te zwyciężyć muszą, gdyż ich sprawa jest słuszna i przyszłość do nich należy. Nic już nie zdoła uratować bankructwa kapitalizmu przed zwycięskim pochodem socjalizmu, który niesie wyzwolenie i prawdziwą wolność tak jednostce jak i narodom, który wreszcie uwolni ludzkość od koszmaru imperialistycznych wojen i zapewni jej warunki trwałej pokojowej pracy.



Leonard Sobierajski

STEFAN INGLOT JAKO HISTORYK WSI

Na VII Powszechnym Zjeździe Historyków we Wrocławiu prof. Stefan Inglot wygłosił referat „Kwestia chłopska w XIX i XX wieku“, referat ten jest wydrukowany w „Pamiętniku Zjazdu“. Pragnę przypomnieć, że jest to wrzesień 1948 r., okres, w którym problem wsi staje się centralnym zagadnieniem naszej rzeczywistości ustrojowej na jej etapie ku socjalizmowi.

Trzy lata powojenne były wypełnione intensywnymi studiami dla stworzenia nowego obrazu wsi ze względu na nową jej sytuację społeczno-ekonomiczną w ustroju Polski Ludowej. Dorobek w widzeniu rzeczywistości historycznej wsi w porównaniu do tego, co przekazała nam historiografia pozytywistyczna i historiografia lat międzywojennych, jest poważny. Mamy sporo prac naukowych, traktujących o sytuacji warstwy chłopskiej na przestrzeni XIX wieku. Dość wymienić tu prace Natalii Gąsiorowskiej, Niny Asorodobráj, Witolda Kuli; prócz nich mamy obfitą publicystykę, starającą się o nową konstrukcję dziejów warstwy chłopskiej; uprawia ją przede wszystkim Jerzy Tepicht w „Nowych Drogach“ oraz zespół tygodnika „Wieś“. W założeniach tych prac leżało pokazanie warstwy chłopskiej w strukturach społeczno - gospodarczych — pozostałości feudalizmu w kształtujcym się w Polsce systemie kapitalistycznym, oraz w czystej już formacji kapitalistycznej. Warstwa chłopska była tu pokazywana w relacjach z innymi klasami społecznymi.

Żeby ocenić referat Prof. Stefana Inglota, należy przypomnieć jeszcze książkę prof. Śreniowskiego „Dzieje chłopów w Polsce“, jego artykuły drukowane we „Wsi“ (Historiografia polska a dzieje chłopów Nr 33 (112), 34 (113) oraz dyskusję, jaka się odbyła na łamach „Wsi“ między grupą historyków łódzkich a zespołem „Wsi“. W pracach prof. Śreniowskiego został naukowo rozwiązany problem klasy chłopskiej ze względu na jej rolę społeczną w państwie szlachecko-feudalnym, została dokonana krytyka tego widzenia klasy chłopskiej, jaki otrzymaliśmy w dziełach Inglota czy prof. Szczotki.

W perspektywie tych osiągnięć referat wygłoszony we wrześniu 1948 r. stanowi bezprzecznie ciekawy materiał do analizy. Pokazuje on nam raz jeszcze, jak widzenie rzeczywistości historycznej uwarunkowane jest w naszym wypadku określoną ideologią, która nie wiele ma wspólnego z poznaniem naukowym procesów dziejowych.

*

W postawie badawczej Prof. Inglota można wykryć trzy zasadnicze tezy metodologiczne. U podstaw ich leży przekonanie o jakimś samodzielnym, wyizolowanym rozwoju warstwy chłopskiej, która dąży do ewokowania swoich absolutnych wartości. Ogólne procesy dziejowe są rozważane jako momenty zahamowania tych wartości lub momenty dające szanse do ich rozwoju. Ten punkt widzenia pozwala wprowadzić autorowi bliżej nie zdefiniowany termin: „Sprawa chłopska“. Tę sprawę ma się ciągle w jakiś sposób rozwiązywać. Próbuje, tego warstwa szlachecka, z tą sprawą będą miały do czynienia i rządy zaborcze, wygrywając ją w mniemaniu Inglota dla własnych celów politycznych. Nie trudno się domyśleć, co się kryje za pojęciem sprawy chłopskiej w systemie znaków autora. Leży tu chyba wizja idealnych w jego ocenie stosunków agrarnych w epoce społeczeństwa rodowego, w której nie było panów i chłopów, byli natmiast „wolni oracze ziemi“. Nie było wówczas krzywdy społecznej, istniała równość praw i obowiązków—idealny stan, który został skażony przez wprowadzenie instytucji państwa o zachodnio-europejskiej strukturze feudalnej. Wydaje się, że to jest pierwsza przesłanka metodologiczna w koncepcji dziejów klasy chłopskiej u prof. Inglota. Wynikają z niej konsekwentnie dwie następne: chłopi muszą sobie uświadomić, jaka była ich rola w pierwotnym społeczeństwie rodowym, to raz, a po drugie, muszą nauczyć się korzystać z swoich praw w nowym systemie społeczno-gospodarczym, jakim jest kapitalizm liberalistyczny, ponieważ on daje im szansę na rozwój wartości, tkwiących w klasie chłopskiej.

Proces dziejowy z jego zmianą sił produkcyjnych a przede wszystkim ze zmianą stosunków produkcyjnych leży poza zasięgiem widzenia autora. Dzieje warstwy chłopskiej to tylko walka o odzyskanie pierwotnych praw, które gwarantowały tej warstwie pełne posiadanie ziemi. Zniesienie pańszczyzny to dla Inglota tyle, co przeobrażenie się „upośledzonego pańszczyźnianego chłopa w chłopa wolnego, u którego budzi się poczucie człowieczeństwa“. Według autora w drugiej połowie XIXwieku dokonały się „narodziny“ nowego człowieka“. Został złamany system feudalny. Chłopu wystarczy teraz „poczuć się klasą społeczną, zdolną do zabezpieczenia sobie praw odpowiadających temu samopoczuciu“. Nie dowiadujemy się ani słowem, że w Europie zapanowały nowe stosunki produkcyjne, że burżuazja przemysłowa staje się warstwą rządzącą, że to ona właśnie łamie feudalizm i wprowadza system społeczno-gospodarczy, w który zostaje schwytana popańszczyźniana wieś. Dla autora w tym momencie faktem rozstrzygającym jest to, że warstwa chłopska powinna być wówczas uznana za siłę czynną i równouprawnioną w życiu politycznym, na równi z warstwą szlachecką“.

Warstwa chłopska w oczach Prof Inglota to nadal grupa jednolita nie zróżnicowana. Problem parceli chłopskiej w strukturze kapitalistycznej wypada tu z dziejów wsi w koncepcji autora. Gdy mówi o stosunkach w Galicji w drugiej połowie XIX wieku, widzi tylko spory o serwituty między szlachtą a wsią, nie dostrzega coraz ostrzejszego zróżnicowania społecznego i ekonomicznego wsi, nie dostrzega jej pauperyzacji, rozdrobnienia gruntów i masowej emigracji pod koniec XIX wieku. Jego widzenie dziejów wsi jest tylko widzeniem ze względu na warstwę szlachecką i to tylko ze względu na jej ilościowy a nie jakościowy stan posiadania. O pozycji ekonomicznej wsi rozstrzyga już wówczas system produkcji. Przed kapitalistycznym folwarkiem istnieją inne szanse systemu produkcji i zbytu niż przed chłopską parcelą. Ilościowe zwiększanie się parcel chłopskich z wykupu obszarniczej ziemi wiąże się z problemem renty gruntowej. Chłopi w strukturze liberalno-kapitalistycznej padają ofiarą lichwy. Chwilowym kataplazmem na to jest masowy odpływ biedniackiego elementu wiejskiego na emigrację zamorską i do krajów zachodnio-europejskich, gdy istnieje tam zapotrzebowanie na siłę roboczą w związku z rozwijającym się szybko uprzemysłowieniem Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Pod koniec XIX wieku wieś otrzymuje duże sumy zza morza od chłopów emigrantów. Sumy te jednak w małym stopniu przyczyniają się do podniesienia stanu gospodarczego parceli chłopskiej, do udoskonalenia jej narzędzi produkcyjnych. Obracane są przeważnie na spłatę długów za przykupioną ziemię.

„WIEŚ POPAŃSZCZYŹNIANA“

W tradycji języka naukowego przyjęła się zasada definiowania pojęć, jakie wprowadza się do wykładu. Ta dobra tradycja naukowa ustaliła, że w wypadku rozważań nad procesami dziejowymi, gdy mowa o społeczeństwie, będziemy używali określenia: społeczeństwo w systemie feudalnym, czy społeczeństwo w systemie kapitalistycznym, na jego różnych etapach.

W konsekwencji tych norm naukowych przyjęło się mówić, że określony system społeczno - gospodarczy wyznacza ze względu na właściwe mu stosunki produkcyjne określone role społeczne poszczególnym klasom, przyjęło się mówić, że społeczeństwo w określonym systemie dzieli się na klasy; klasa przodująca, czy klasy podporządkowane w systemie feudalnym bądź kapitalistycznym — określane są faktem posiadania lub nieposiadania w swym ręku środków produkcji. Klasa posiadająca te środki produkcji, mając dzięki temu zagwarantowaną, silną pozycję ekonomiczną, ma szanse na opanowanie aparatu państwowego, dzięki niemu zmusza do służebności klasy słabe ekonomicznie, klasy wykonujące tylko pewne funkcje w stosunkach produkcyjnych feudalizmu czy kapitalizmu. Historycy dziejów gospodarczych Europy i świata przyjmują bezspornie zasadę, że każda zmiana w stosunkach produkcji jest wynikiem nowych systemów produkcyjnych, kształtują je siły społeczne, jakie wyłaniają z siebie te nowe systemy. Z tym łączy się problem klas, które w kształtowaniu procesu dziejowego dokonują zmian właśnie przez fakt, że pozostają z sobą w ciągłym starciu.

Profesor Inglot, gdy rozważa dzieje wsi, mówi ciągle o społeczeństwie w ogóle, u prof. Inglota spotykamy się na każdym kroku z sugestiami o odegraniu jakiejś roli przez warstwę chłopską w tym bliżej nieokreślonym społeczeństwie, ciągle od niego słyszymy o jakichś wartościach, które chłopi wnoszą do wszystkich dziedzin życia w ogóle.

W imię tych wartości rozpoczęli oni walkę o pełne prawa obywatelskie w okresie popańszczyźnianym, w okresie — dopowiemy ze swej strony — kapitalizmu przemysłowego.

Przy pomocy jakich przesłanek kształtuje prof. Inglot swoje widzenie dziejów wsi? Jakie elementy według niego budują świadomość historyczną warstwy chłopskiej? Postawę Inglota jako historyka ukształtowała z jednej strony cała ideologia inteligencji ziemiańskiej z Popławskim i Witkiewiczem na czele, z drugiej strony rzekomo oddolne, rzekomo samorodne ruchy samej wsi, która na skutek zmian ustrojowych (zniesienie pańszczyzny) dochodzi do samowiedzy społecznej. Charakterystyczne jest dla Inglota powołanie się na Bojkę. Nie odczytuje on go w kontekście historycznym, nie ustala, że samowiedza Bojki jest samowiedzą na określonym etapie historii wsi. Powołując się na jego książkę, prof. Inglot stwierdza: „Powoli dopiero chłop polski z upośledzonego pańszczyźnianego chłopa przeobraża się w całej swej masie w chłopa wolnego, u którego budzi się poczucie człowieczeństwa“. Ten noworodzący się — według określenia Inglota — chłop uświadamia sobie, że ma obecnie szansę do odegrania „właściwej roli w społeczeństwie“.

Prof. Inglot nie zakłada, że nasze zmiany społeczno - gospodarcze w drugiej połowie XIX wieku dokonują się w ramach utwierdzającego się u nas liberalizmu, że dokonują się poprzez wiązanie się z systemem, jaki na Zachodzie wprowadziła burżuazja przemysłowa.

Gdy chłop francuski dzięki Wielkiej Rewolucji Francuskiej stał się posiadaczem parceli, dla niego z tym faktem kojarzyły się pojęcia wolności, równości, pojęcia pełnych praw politycznych W tym kontekście tylko zrozumiała jest postawa Bojki. Inglot tę postawę rozciąga na historię chłopów w przeszłości i w przyszłość, nie specyfikuje momentu historycznego, nie określa wyraźnie roli, jaką nowy porządek wyznacza naszej warstwie chłopskiej w drugiej połowie XIX w. Nie stwierdza, że wolność, jaką chłop obecnie otrzymuje, jest tylko wolnością w systemie liberalno-kapitalistycznym.

Analiza sytuacji francuskiej warstwy chłopskiej, jaką przeprowadził w „18 Brumaira“ Karol Marks pokazała nam jak toczyły się dzieje chłopów — posiadaczy własnych parcel — w systemie liberalistycznym. To, że analogiczne procesy przebiegały w drugiej połowie ubiegłego stulecia i na odcinku naszej wsi — prof. Inglota wcale widocznie w jego rozważaniach nie obowiązuje.

Profesor Inglot w rozpatrywaniu dziejów wsi nie tyle jest badaczem ile ideologiem. Charakterystyczne jest dla niego skrzętne omijanie terminu — „walka klas“. W ramach wsi popańszczyźnianej, nie chce on dostrzec daleko postępującego procesu zróżnicowania wsi — społecznego i gospodarczego. Start chłopów popańszczyźnianych nie był równy. Wyszli oni z mniejszymi lub większymi parcelami. W nowym układzie stosunków otrzymali oni prawo wolnej konkurencji. To prawo w ramach gromady wiejskiej zastosowali chłopi o silniejszej pozycji ekonomicznej, im ono przede wszystkim służyło. Chłopi na większych parcelach stali się siłą społeczną wsi, która podjęła walkę o swoją emancypację gospodarczą i społeczną, ale była to chyba walka kosztem wsi biedniackiej. Według Inglota chłop (Inglot nigdy nie dopowiada, o jakiego chłopa chodzi), „stał się rzeczywistym czynnikiem polityki narodowej i świadomym obrońcą swoich interesów w najrealniejszych, bieżących potrzebach życia zbiorowego“. Formy podnoszenia się gospodarczego, jakie bogaci chłopi wytworzyli na przełomie XIX i XX wieku, Inglot rozciąga na całą wieś. Spółdzielczość, mleczarnie, kasy pożyczkowe to były osiągnięcia grupy wiejskiej, która miała szanse na utrwalenie swojej parceli. Analiza wsi galicyjskiej J. A. Króla *), pokazuje jak małorolni i bezrolni chłopi wyrywali się z pęt parceli, jak byli zmuszani do masowej emigracji zarobkowej i jak to oni swoimi zarobkami w przemyśle zaoceanicznym ratowali wieś galicyjską w systemie liberalno-kapitalistycznym.

Prof. Inglot nie chce widzieć, że dzieje wsi toczą się właśnie w tym systemie, nie chce widzieć, że na wsi narasta ostra walka klasowa, że są wyzyskujący i wyzyskiwani. Mówi on *o wyemancypowaniu się wsi, mówi o* jej osiągnięciach ekonomicznych i kulturalnych, mówi o rzekomym wyemancypowaniu się wsi — spod wływu szlachty. Jest to wyraźne zamazywanie procesów, jakie się dokonywały w łonie warstwy chłopskiej. Podziały przebiegały już zupełnie inaczej. Ziemiaństwo swoich sprzymierzeńców widziało już wówczas wśród bogatych gospodarzy. Dla pierwszych i dla drugich drobnorolni i bezrolni stanowili „rezerwową armię pracy“. I pierwszych i drugich cieszyła chłopska emigracja zarobkowa, ponieważ podbijała cenę ziemi.

Inteligencja ziemiańska wypracowała dla tego czasu właściwą — ze względu na swoje interesy — ideologię. Określamy ją skrótową nazwą — „ludomanii“. Bogaci chłopi, oczarowani tą ideologią, oddają się w dobrym zrozumieniu własnych interesów pod patronat dworu. To oni pierwsi przejmują „szlachecką tradycję świadomości narodowej“, to oni ciągną zyski z organizowanych przy pomocy dworu kas pożyczkowych, kółek rolniczych, to oni doprowadzą do rozłamu w 1913 roku w małopolskim P.S.L.-u.

Z referatu prof. Inglota nie dowiadujemy się również, że drobnorolna wieś też wypracowała swoją ideologię, że to właśnie ona widziała swojego wroga w tych siłach społecznych, które utrwalały system kapitalistyczny i w niego wciągnęły popańszczyźnianą wieś.

Dość przytoczyć tu kilka cytat z pism ludowych („Przyjaciel Ludu“), dość przytoczyć słowa Stapińskiego na Radzie Naczelnej 13 grudnia 1913 roku.

Radykalny ruch ludowy, wyrażający interesy biednych chłopów nie da się wciągnąć w ideologię, przyjmowaną przez kułaków wiejskich, nie idzie na pakty z ziemiaństwem, stawia wyraźnie zagadnienie walki o władzę polityczną. Mówi on: **„naszym celem są rządy ludowe i każde inne rządy musimy tak długo zwalczać, aż nastaną rządy ludowe“.** *

To samo Stapiński: **„...dopóki chłopi nie są potęgą polityczną, dopóty nawet stworzone przez nich instytucje zwracają się przeciw ludowi. Do póki nie złamie się przewagi klasy konserwatywnej, dopóty nie ma mowy o prawdziwej w kraju i dla ludu pracy ekonomicznej“** **

Prof. Inglot operuje ciągle w swoich rozważaniach kategorią „stanu chłopskiego“, kategorią „chłopa“. Chłop ten podejmuje ciągle — w ujęciu autora — swoją kwestię chłopską, ale w jakim układzie społecznym, ale w jakich stosunkach produkcji — o tym trudno od prof. Inglota choćby czegośkolwiek się dowiedzieć. Mowa jest tu ciągle o godności chłopskiej, o wolności, o narodzeniu się nowego człowieka. Dla ocen prof. Inglota nie trudno znaleźć system odniesienia. Wypracował go „Głos“ Popławskiego. System ten otrzymał i swój literacki wyraz w twórczości Orzeszkowej, Witkiewicza, Tetmajera, Reymonta. Jego naczelną ideą jest idea solidaryzmu społecznego między tymi, którzy posiadają ziemię. Nosicielem tej idei będzie chłop — Średniawski, będzie również przywódca konserwatywnych chłopów — Wincenty Witos.

Chęć utrzymania się przy dotychczasowym stanie posiadania ziemi łączy ziemiaństwo i bogatych chłopów. Naturalnym wrogiem pierwszych i drugich są ruchy robotnicze, zakładające obalenie systemu liberalno-kapitalistycznego, który gwarantuje posiadanie dotychczasowym właścicielom, ale tym naturalnym wrogiem staje się i drobnorolna i bezrolna wieś.

WIEŚ W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

Prof. Inglot rozpatrując sytuację wsi do pierwszej wojny światowej jest skłonny przyznać, że klasa chłopska osiągnęła poważne zdobycze socjalne i ekonomiczne. Według jego oświadczenia chłop wówczas „stał się rzeczywistym czynnikiem polityki narodowej i świadomym obrońcą swoich interesów w najrealniejszych bieżących potrzebach życia zbiorowego“. Stwierdza później sam, że w okresie międzywojennym te rzekome zdobycze nic nie znaczą. Nie dowiadujemy się od niego, dlaczego tak się dzieje. Według autora naczelnym postulatem, jaki wówczas wysuwa warstwa chłopska jest: „więcej ziemi“. Mają ją jeszcze obszarnicy, można ją poza tym zdobyć (takie miały być rzekomo nadzieje chłopów) kosztem ludności krajów podbitych. Co do pierwszego rozwiązania sprawa się wikła. Dowiadujemy się od autora, że w „jednolitej — jak z poprzednich oświadczeń wynikało — warstwie dokonuje się proces „daleko posuniętego rozbicia partyj chłopskich“. Jakie są motywy tego rozbicia, prof. Inglot nas nie informuje. Tu właśnie pod naporem oczywistych faktów historycznych koncepcja jednolitej warstwy chłopskiej, jaka służyła historycznej konstrukcji Inglota rozsypuje się. Mści się również na autorze założenie o jakimś samoistnym rozwoju wsi bez odniesienia go do określonego układu stosunków społecznych. Prof. Inglot nie daje jednak za wygraną. Katastrofę ekonomiczną klasy chłopskiej tłumaczy na swój sposób. Z toku swoich rozważań wyłącza on te ogólne przemiany, jakie wówczas zachodzą w życiu gospodarczym Europy i świata. Nadal nie chce widzieć, że nasze stosunki produkcyjne rozgrywają się w *kapitaliźmie, który przechodzi teraz w fazę im*perialną. Problem koncentracji kapitału finansowego z jego praktycznymi wykładnikami trustów i monopoli dla prof. Inglota nie istnieje. Znajduje on wytłumaczenie złej sytuacji ekonomicznej chłopa gdzie indziej. Państwo nasze nie jest złe, (tak należy interpretować jego wykład), dlatego, że panuje w nim półfaszystowski porządek społeczny, ale jest złe dlatego, że chłop stał się w nim „obywatelem II klasy“, że państwo odmówiło mu pełni „praw obywatelskich“.

Według twierdzenia prof. Inglota ostatnie lata przedwojenne „przyniosły pełne przebudzenie wsi“. Chłopi „z biernej dotąd postawy wobec szeregu spraw przeszli w ogromnej swej masie do postawy czynnej, stali się podmiotem, źródłem działania we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego“.

Oświadczenie prof. Inglota nabrałoby sensu tylko w tym wypadku, gdyby poprzedzała je przesłanka, że ruchy agrarystyczne podpisały się na imperialną politykę obozu sanacyjnego.

Grupy społeczne wsi w okresie międzywojennym złożyły dwie różne propozycje przeobrażeń ustrojowych. Radykalny ruch chłopski potrzymywał konsekwentnie tezę Stapińskiego o konieczności obalenia porządku kapitalistycznego, wiązał on się z warstwą robotniczą. Agraryzm — ideologia wsi kułackiej — godził się na liberalizm, w którym chłop odegrałby „odpowiednią rolę“. Za którą koncepcją opowiada się prof. Inglot? Referat jego kończy się zdaniem: „Powoli zaczęło się ustalać przekonanie, że dopiero przez wejście chłopów w całej masie w skład współczesnego społeczeństwa i państwa na podstawie równych praw i obowiązków poprawić się może zarówno wewnętrzna jak i zewnętrzna sytuacja Polski“. To oświadczenie daje nam odpowiedź na postawione pytanie. Autor myśli nadal kategoriami liberalizmu politycznego. Nadal mierzy w ewolucję w ramach takiego ustroju ewolucję samoczynną niejako, która zachowując **grę sił społecznych** da im równe szanse i utrzyma „wieczny pokój“ klas **o sprzecznych interesach.**

Ten typ widzenia dziejów wsi przedstawił nam historyk chłopski na VII Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich we wrześniu 1948 roku. Święte są słowa Jerzego Tepichta, że „rozgrywka z agraryzmem jeszcze nie zakończona!“ — i to właśnie na polu badań historycznych nad dziejami wsi.

---

* Patrz „Wieś“ Nr 17 (96), Nr 18 (97), Nr 19 (98) r. 1947.

** Cytuję za Tepichtem: „Postęp i wstecznictwo w ideologicznej walce o wieś. Nowe Drogi“ Nr 9.

*** Patrz „Wieś“ Nr 36-37, artykuł Jerzego Tepichta: „Rozgrywka z agraryzmem jeszcze nie zakończona“.

Marian Henryk Serejski

HISTORIA A TERAŹNIEJSZOŚĆ

Zjazd Wrocławski historyków polskich był jeszcze jedną ilustracją oczywistej prawdy głoszącej, że nauka w ogóle a historia w szczególności jest funkcją, czy też „integralną częścią" życia. Chociaż przedmiotem jej badań jest rzeczywistość, której zmienić już nie możemy, nie przestaje ona nigdy być czymś żywym: przeszłość wciąż inaczej widziana i rozumiana zmienia się, przekształca wraz z nami. Niemal każde pokolenie, każda epoka inaczej widzi i inaczej interpretuje postać Napoleona, upadek Rzymu, genezę i istotę feudalizmu, rolę dziejową szlachty polskiej itd. Rozwój techniki badawczej i posługiwanie się coraz szerszą i pewniejszą bazą źródłową, coraz rzetelniejszy wysiłek intelektualny historyków tylko częściowo tłumaczy nam zmianę aspektów przeszłości. Wiemy bowiem, że tak samo kompetentni badacze posługujący się równie precyzyjnymi narzędziami pracy i metodami, operujący tymi samymi faktami źródłowymi, mogą je w odmienny sposób ugrupować w „serie wydarzeń", w związki przyczynowo-skutkowe i inaczej je zinterpretować. Wbrew pozorom i złudzeniom, jakoby historyk ograniczał się tylko do rejestrowania „faktów" ustalonych drogą badań źródłowych, musi on posługiwać się jakimiś kryteriami selekcji i porządkowania, musi posługiwać się jakimiś „punktami widzenia", hipotezami, teoriami. Teorie te tworzą się częściowo poza nauką historyczną na gruncie doświadczeń życia bieżącego, w warunkach określonej struktury społeczeństwa, jego potrzeb i prądów ideologicznych. Naukowym ich zadaniem jest zbliżenie nas do badanej rzeczywistości minionej; muszą wprawdzie podlegać ciągłej konfrontacji z faktami źródłowymi (co chroni przed aprioryzmem i anachronizowaniem dziejów), opierają się jednak także na bogatym i różnorodnym źródle wiedzy o życiu społecznym człowieka, z którego czerpiemy jako jego bezpośredni uczestnicy, obserwatorzy. I tylko przekładając na język nam dostępny, tj. interpretując przeszłość w duchu współczesnych nam poglądów na życie społeczne, możemy przedstawić i wyjaśnić tę przeszłość. Na przełomie świata antycznego dzieje ludzkości interpretowano jako ścieranie się państwa bożego z państwem ziemskim i tak je rozumiano w ciągu długich wieków teocentrycznego poglądu na świat. W epoce oświecenia i heroicznej walki burżuazji z feudalizmem sformułowano idee postępu, realizującego się w miarę zwycięstwa mieszczaństwa i racjonalizmu nad szlachtą i Kościołem. W okresie nowoczesnej walki klas powstała teoria rozwoju dziejowego, wyjaśniająca genezę, wzrost, nieuchronny upadek kapitalizmu i przyszłe zwycięstwo proletariatu. Każda z tych teorii oddziaływała na ukształtowanie określonych aspektów przeszłości, określonych interpretacji dziejów. Każda z nich wyjaśniała minioną rzeczywisość zgodnie z panującym poglądem na świat, zgodnie z rozumieniem w danej epoce procesu dziejowego, zgodnie z określonym stopniem rozwoju myśli społecznej.

Jeśli nauka w ogóle, a historia w szczególności w swych badaniach formułuje przede wszystkim pytania, problemy, to jasnym jest, że w miarę nowych potrzeb i nurtów społecznych historyk zwraca swe zainteresowania ku wciąż innym stronom, czy zagadnieniom rzeczywistości minionej. A zatem wciąż inne fakty i procesy uważa za ważne, mające zasadnicze znaczenie i te akcentuje, usuwając nieraz w cień te, które dawniej podkreślano. Tą drogą z biegiem czasu musi się zmienić nie tylko interpretacja, ale sam obraz przeszłości.

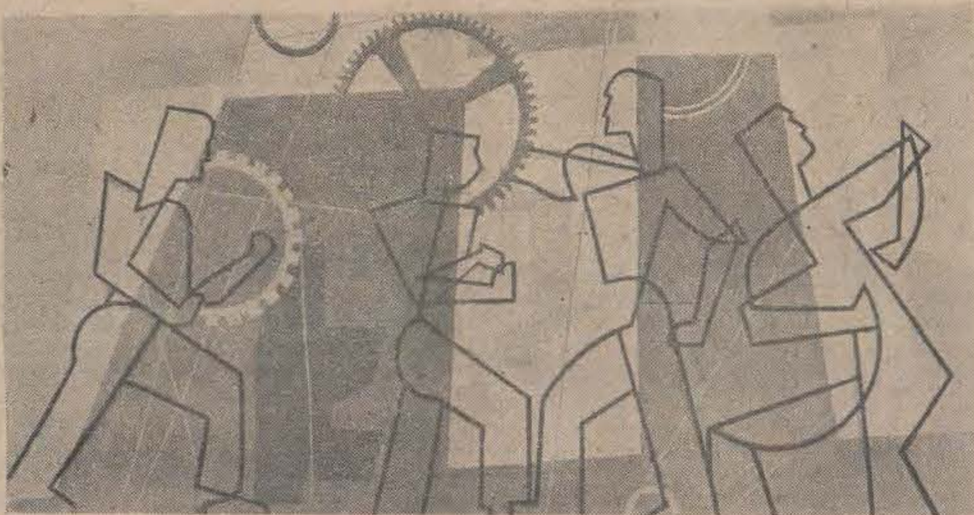
Poglądów historyków na przeszłość nie można zatem rozumieć ahistorycznie, jako modele pozaczasowe, ani też jako dowolne, osobiste twory oderwane od życia społecznego. Niezależnie od stopnia erudycji i od indywidualnego daru „wczuwania się" w przeszłość są one przede wszystkim wytworem kulturowym czasu i miejsca, epoki i środowiska społecznego, w których się zrodziły.

Właśnie głębokie przemiany społeczno-gospodarcze, polityczne i kulturalne, które wstrząsnęły światem w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, pozwalają lepiej uprzytomnić sobie słuszność twierdzenia już przedtem głoszonego, zwłaszcza przez marksistów, że poglądy historyków są uwarunkowane społecznie, że pomiędzy nauką historyczną a układem stosunków, interesami i prądami danej epoki zachodzi stosunek ścisłej zależności.

Przedstawiając przeszłość historyk głęboko tkwi w teraźniejszości, świadomie lub nieświadomie ulega jej zainteresowaniom, potrzebom, prądom i widzi minioną rzeczywistość z punktu widzenia tej teraźniejszości. Dlatego też im lepiej ją rozumie, tym szerszy snop światła przyświeca jego poglądowi na przeszłość. Im bardziej dynamicznie rozwija się życie współczesne, tym żywiej przekształca się jego aspekt przeszłości. Im bardziej głęboko i wszechstronnie rozumiemy procesy życia społecznego, tym lepiej dostrzegamy je w minionej rzeczywistości.

Dlatego też prawdziwy historyk jest zawsze wykładnikiem całokształtu kultury swojej epoki. Jego koncepcje przeszłości nie dadzą się wyjaśnić jako wyraz subiektywno - indywidualnej pomysłowości ani wyłącznie jako ogniwo tradycji naukowej, rzekomo rozwijającej się autonomicznie, samoczynnie, w zupełnym oderwaniu od życia. Nawet wówczas, gdy odżegnuje się od „teraźniejszości" w imię „neutralności" nauki historycznej, albo gdy odrzuca wszelkie teorie, ograniczając się rzekomo tylko do przedstawienia „jak to rzeczywiście było" — historyk podlega wpływom środowiska, posługuje się nieświadomie jakimiś kryteriami, hipotezami, pojęciami, kompilacjami filozoficznymi, które często przesłaniają jego postawę ideologiczną, ale jej nie eliminują. Ta spontaniczna zależność historyka od życia nie podważa „naukowości" historii, dopóki stosuje się on do uznanych za poprawne metod, pod warunkiem weryfikowania swych hipotez i ich sprawdzalności oraz kierowania się rzetelnym dążeniem intelektualnym do poznania rzeczywistości historycznej.

W świetle tych wywodów formuła wypowiedziana 2.000 lat temu przez Cycerona: „historia mistrzynią życia" podlega odwróceniu: „życie — mistrzynią historii". Ale teza o społecznym uwarunkowaniu nauki historycznej zakłada istnienie obopólnej zależności między historią i życiem. Poglądy na przeszłość mają wpływ na teraźniejszość. Nie w sensie pragmatyzmu renesansowo - oświeceniowego, gdy historia stać się miała służebnicą polityki, sędzią moralności, przewodnikiem dostarczającym gotowych recept postępowania. Taki „utylitaryzm" prowadziłby do wypaczenia rzeczywistości minionej, przesłaniał poznawcze cele nauki i zamiast naukowego aspektu przeszłości rodziłby „mity historyczne", oddziałujące zazwyczaj we wręcz przeciwnym kierunku, niż go wskazuje racjonalny, realistyczny pogląd na rzeczywistość społeczną. Ale najbardziej obiektywna nauka historyczna, kierująca się wyłącznie celami poznawczymi, jak wiemy, wyrasta z życia, i spełnia funkcje społeczne. Dostarcza materiału empirycznego, tłumaczy teraźniejszość, uczy analizować fakty, procesy dziejowe, wskazuje na kierunek rozwojowy dziejów, wpływa na nasz aspekt rzeczywistości współczesnej i tym samym na naszą wobec niej postawę, staje się podbudową poglądu na świat i tą drogą oddziałuje na nasze postępowanie. Wszelka interpretacja dziejów stwarza jakieś perspektywy rozwojowe, które pozwalają ocenić siły postępu i siły wsteczne, orientuje nas w tendencjach rozwojowych teraźniejszości. Dlatego też inaczej dziś ocenia się rolę społeczną historii, niż wówczas gdy akcentowano jej rzekomą niezależność od życia, gdy uprawiano ją jak „sztukę dla sztuki", gdy zamykała się przed szerszą opinią w niedostępnej wieży. Poglądy na przeszłość przestały być wyłącznie przedmiotem zainteresowań „cechu historyków". Interesują się nią coraz żywiej szerokie kręgi społeczeństwa, świadomie wykuwającego swą przyszłość. Chcą one wiedzieć nie tylko o gotowych rozwiązaniach nauki, ale o problemach i drogach ich rozwiązań, jako współtwórcy nowej kultury, opierającej się o czynny w niej udział szerokich mas.



Halina Olszewska. Wyścig pracy. 1948 (projekt fresku).

Stanisław Arnold

ZADANIA HISTORYCZNEJ NAUKI POLSKIEJ

VII Powszechny Zjazd Historyków Polskich był pierwszym zjazdem po wojnie, pierwszym zjazdem w Polsce Ludowej. Nic więc dziwnego, że na plan pierwszy musiały się wysunąć zagadnienia, związane z nowymi zadaniami, jakie wystąpiły dziś przed nauką historyczną polską. Wielki przełom społeczny, jaki się dokonał w naszym państwie, przełom, obejmujący wszystkie dziedziny życia — otworzył nowe perspektywy przed nauką polską w ogóle, a przed nauką historyczną w szczególności. Badania historyczne wkraczają na nowe drogi rozwoju. Historiografia polska ma swe bardzo piękne karty w dziejach naszej nauki, osiągnęła szereg pozytywnych i cennych rezultatów, zajmowała poczesne stanowisko w międzynarodowym świecie historyków. Te osiągnięcia mają i nadal swe wielkie znaczenie, stanowić będą podstawę dla dalszych badań. Ale badania dawniejsze nie obejmowały szeregu problemów, które dziś stały się szczególnie aktualne, a powtóre — w zakresie systematyzacji faktów i zjawisk historycznych, analizy przyczyn lub warunków ich powstawania, nie wykraczały poza subiektywne ujęcia poszczególnych badaczy, ujęcia, będące wyrazem ich klasowego światopoglądu.

I w tym właśnie zakresie występują z całą wyrazistością postulaty dotyczące dalszego rozwoju historii jako nauki. Wystąpiły też one w całej pełni na zjeździe.

Nie ulega żadnej wątpliwości fakt, że jedynym prawdziwie naukowym podejściem do zagadnień historycznych jest teoria materializmu historycznego i wypływające z niej metody naukowego postępowania. Tezę tę wysunął niżej podpisany w swym referacie na temat zadań historiografii polskiej po II wojnie światowej (wygłoszonym w drugim dniu obrad na zebraniu plenarnym), była też ona tematem szeregu referatów i dyskusji w specjalnej sekcji, zajmującej się problemami metodologicznymi polskiej nauki historycznej. W toku obrad stwierdzono z całą stanowczością wielkie wartości, jakie materializm historyczny wniósł do metodologii badań historycznych. Zwrócono słusznie uwagę na kryzys, jaki przeżywała i przeżywa historiografia świata kapitalistycznego, nie mogąca znaleźć żadnej naukowej podstawy dla swych badań, błąkająca się po manowcach spekulacji idealistycznych neokantowskich czy też neopozytywistycznych i zatracająca w gruncie rzeczy cechy naukowe historii. Podniesiono konieczność poddania gruntownej analizie z marksistowskiego punktu widzenia całokształtu naszych dziejów, poczynając od najwcześniejszych ich okresów do naszych dni. Analiza winna objąć kapitalne zagadnienia, jak feudalizm w Polsce, pojawienie się i rozwój kapitalizmu, przekształcenie społeczne i gospodarcze w poszczególnych epokach, wprowadzając i dla tych ostatnich nowe zasady periodyzacji. Jako warunek zasadniczy mający umożliwić realizację wysuniętych postulatów postawiono żądanie wprowadzenia planowania w zakresie badań historycznych oraz nowej organizacji tych badań, które by się oparły — przy zachowaniu indywidualnej działalności twórczej poszczególnych badaczy — na pracy zespołowej, gwarantującej i wyższy poziom naukowy osiąganych rezultatów i szybsze uzyskanie tych ostatnich.

Dyskusje, toczące się nad wyżej wymienionymi problemami w ciągu kilku dni, wykazały bardzo daleko idącą zgodność poglądów w zasadniczych sprawach. Wypowiedzi cechował poważny poziom naukowy. Wśród powziętych rezolucji mających charakter postulatów lub dezyderatów pod adresem właściwego organizatora Zjazdu, tj. Polskiego Towarzystwa Historycznego, wymienić należy najważniejsze z nich, przyjęte jednomyślnie przez liczne grono uczestników Sekcji V. Rezolucja ta żąda utworzenia w ramach Polsk. Tow. Hist. Sekcji Metodologicznej, która by prowadziła prace i dyskusje nad problemami, związanymi z metodologią badań historycznych ze szczególnym uwzględnieniem materializmu historycznego. Rezolucja ta świadczy o dwóch rzeczach: po pierwsze o powszechnym niemal uznaniu wartości materializmu historycznego dla badań historycznych i po wtóre o poważnym ustosunkowaniu się uczestników Zjazdu do podjęcia i prowadzenia badań z zastosowaniem założeń materializmu dziejowego poprzez gruntowne zaznajomienie się z jego metodami i ich należytym przyswojeniem.

W toku Zjazdu wyodrębniła się grupa historyków - marksistów, która odbyła posiedzenie, gdzie przedyskutowano wyniki Zjazdu oraz wyłoniono Komitet Organizacyjny, mający za zadanie prowadzenie dalszych prac organizacyjnych. Komitet ten skupi historyków, stojących na gruncie marksizmu, celem podjęcia zespołowych badań historycznych opartych metodycznie na założeniach materializmu historycznego. W ten sposób przystąpiono już do zastosowania form praktycznych, mających realizować postulaty, wysunięte w czasie Zjazdu.

Obok zagadnień związanych z metodologią nauk historycznych, nowych podstaw dla historii jako nauki i nowych dróg jej dalszego rozwoju, omawiano problemy, dotyczące szerzenia kultury historycznej. Tutaj szczególnie silnie podniesiono rolę kultury historycznej w dobie przebudowy ustroju społecznego, wysunięto niebezpieczeństwa, jakie wiążą się z momentami tradycjonalizmu szerzonego przez przeciwników nowego ustroju oraz oznaczono środki, którymi należy się temu przeciwstawić. Zanalizowano stosunek wzajemnej „kooperacji" między badaczem naukowym a jego odbiorcą — szerokimi masami społecznymi i określono drogi i sposoby, które umożliwiają wejście wiedzy historycznej w zakres działania energii twórczej mas, a więc tym samym — pozwolą na uwielokrotnienie sił badaczy naukowych.

Wysunięte w czasie obrad Zjazdu Wrocławskiego postulaty i wnioski są dopiero pierwszym etapem w ustaleniu nowych dróg, na jakie ma wkroczyć historia w Polsce — jako nauka, ale etapem bardzo ważnym. Etapem następnym — jeszcze ważniejszym będzie wprowadzenie w życie nowych postulatów, ich realizacja w postaci badań i prac naukowych, opartych o teorię i metodę materializmu historycznego. Pragniemy, aby następny zjazd historyków polskich otrzymał taki bilans tych prac, który by zadokumentował, że nowe drogi rozwoju naszej historiografii będą drogami jej istotnie świetnego rozkwitu.

Tadeusz Orlewicz

Obnażyć zasadę prywatnej własności

(Dyskusja z prof. Stysiem)

Artykuł profesora Wincentego Stysia o mechanizacji rolnictwa był drukowany początkowo w „Ekonomiście" i tą drogą dotarł do wielu ośrodków w kraju już w czerwcu br. Powtórzenie pracy tej we „Wsi" przypada na sierpień i wrzesień. Na przestrzeni owych trzech miesięcy zagadnienie struktury i dynamiki rozwojowej rolnictwa polskiego znalazło swój wyraz nowy i konsekwentny w uchwałach sierpniowego plenum K. C. P. P. R., a dalej w rezolucjach rozszerzonego Prezydium N. K. W. S. L. i P. S. L. Tak samo praca ta pisana była niewątpliwie przed referatem min. Minca na czerwcowym plenum K. C. P. P. R., który w rozważaniach o ciężarze gatunkowym gospodarki kapitalistycznej i drobnotowarowej w naszej ekonomice stwierdził, że prawem rozwojowym systemu gospodarczego i społecznego demokracji ludowej jest jego rozwój ku systemowi socjalistycznemu. Wskazał on wtedy, że droga wyjścia ze ślepej ulicy idzie w kierunku likwidacji nędzy chłopskiej poprzez uspółdzielczenie, podkreślając, że masowy rozwój uspołecznionej produkcji rolnej poderwie bazę kapitalizmu wiejskiego i w ostatecznym rezultacie doprowadzi do jego całkowitego usunięcia. To umiejscowienie w czasie pracy profesora Stysia jest nam konieczne dą ogólnych wniosków.

Co jest przedmiotem artykułu profesora Stysia? Tytuł mówi o zagadnieniu mechanizacji rolnictwa, a więc o zagadnieniu, które jest dla wsi współczesnej podobnie czołowym zagadnieniem, jak to się działo w okresie powstawania manufaktur i industrializacji w miastach. Chociaż mechanizacja rolnictwa jest sprawą czołową, nie jest ona jednak jedyną, a jest jednym tylko z podstawowych elementów tego olbrzymiego procesu, któremu na imię: **nowoczesne rolnictwo**, a którego celem jest przekreślenie wiekowego zacofania wsi, rozbudowa jej możliwości produkcyjnych poprzez przebudowę stosunków gospodarczych, społecznych i kulturalnych na wsi.

Wie o tym doskonale profesor Styś i dlatego znakomitą część ogłoszonej pracy poświęca rozważaniom na temat właściwej struktury agrarnej. Punktem wyjścia jest tutaj sprawa siły roboczej na wsi, a w następstwie mechaniczna uprawa roli. Operując głównie tymi elementami autor dochodzi do konkretnych wniosków. Czytając proponowany przez Stysia schemat, zamknięty w 21 punktach, mimo woli nasuwa się analogia z kooperatyzmem Owena i z późniejszymi odmianami tej koncepcji z całym balastem ich dodatnich i ujemnych cech.

Autor uznaje potrzebę powołania na wsi produkcyjnych zespołów spółdzielczych i wokół tego zagadnienia gromadzi wnioski dowodowe, zapominając, że na wsi nie powinien istnieć jeden tylko typ spółdzielczości wytwórczej. Sama koncepcja uspółdzielczenia produkcji rolnej ma już swoją bogatą literaturę i tradycję w Polsce.

Przypomnieć wypada choćby rok 1906, w którym **„Życie Gromadzkie"** ogłasza program P. Z. L.; mowa tam jest o „wszechstronniejszym zrzeszaniu gospodarstw włościańskich w wielkie kooperatywne gospodarstwa", budowane na podstawie dobrowolnego, stopniowego zrzeszania się gospodarstw prywatnych w celu zorganizowania wspólnego kupna, sprzedaży i produkcji. W roku 1907 w **„Siewie"** pisze Wysłouch, że kooperatywy rolne są „doskonalszą formą gospodarstw najbliższej przyszłości". W **„Zaraniu"** i podobnie w programie P.S.L. — Lewicy z roku 1919 mówi się o zorganizowaniu pracy na roli na zasadach kooperacji, precyzuje się główne zadanie stronnictwa: popieranie uprzemysłowienia gospodarstw rolnych poprzez kooperację. Zwolennikiem takiego postawienia sprawy był i Tomasz Nocznicki i Maksymilian Malinowski, a w latach międzywojennych również zespół, grupujący się wokół „CHŁOPSKIEGO ŻYCIA GOSPODARCZEGO".

Można do tych wszystkich niemal głosów zastosować cytowane przez min. Minca twierdzenie Lenina o fantastyczności i mrzonkowatości takich projektów. Lenin mówił, że „starzy kooperatyści poczynając od Roberta Owena marzyli o pokojowym przekształceniu przez socjalizm współczesnego społeczeństwa, nie biorąc pod uwagę tak zasadniczego zagadnienia, jak zagadnienie walki klasowej", wierzyli błędnie, że można „poprzez proste uspółdzielczenie ludności przekształcić wrogów klasowych w klasowych przyjaciół, a wojnę klas w pokój klasowy".

Jak wygląda w tym kontekście projekt profesora Stysia? Przede wszystkim musimy powtórzyć, że autor pragnie przeprowadzić tylko takie modyfikacje ustrojowe na wsi, które ułatwiłyby pełną mechanizację. Tu — moim zdaniem — tkwi główny charakter całej pracy. Autor omija inne zagadnienia, które nadawać winny barwę i ton drogom rozwojowym nowego ustroju agrarnego i wychodząc tylko z problematyki mechanizacji rolnictwa stosuje konsekwentnie metodę myślenia jednostronnego, a stąd zawodną.

Autor niewątpliwie zna wieś polską, czego dowodem są jego liczne i poważne prace. Z dużym więc zdziwieniem dochodzimy do wniosku, że właśnie spod pióra profesora Stysia wyszedł projekt schematu strukturalnego daleki od liczenia się z istniejącą rzeczywistością wsi polskiej, a zwłaszcza z obecną strukturą jej warsztatów produkcyjnych. Schemat proponuje oparcie ustroju wsi na pełnorolnych gospodarstwach rodzinnych o powierzchni od 10 do 16 ha w zależności od gatunku gleby. Taki dopiero warsztat rolny ma wejść do zespołu spółdzielczego, liczącego łącznie 300—400 ha ziemi.

Czy trzeba przypomnieć, że 90% ogółu aktualnych gospodarstw chłopskich — to gospodarki drobno i śedniorolne, że mimo dokonanej reformy rolnej mamy podstawową masę wsi w chłopach biednych, że w dziedzinie wielkości gospodarstw i stanu dochodowości — istnieje niezwykle bogate zróżniczkowanie, potęgujące walkę klasową na wsi.

Mając to na uwadze, szukaliśmy w pracy profesora Stysia metod, jakie mają stanowić wskazania dla ewentualnej realizacji tego schematu. Nie udało się nam znaleźć jakichkolwiek w tym względzie informacji. A kwestia tej właśnie metody przesądza między innymi o wartości i przydatności praktycznej całej koncepcji. Jeżeli autor o tym milczy, spróbujmy rzecz po krótce omówić.

W warunkach realnej, aktualnej struktury wsi polskiej można pójść do realizacji schematu autora kilkoma drogami. Pierwsza z nich — to droga wieloletniego automatycznego dopasowywania się struktury wsi polskiej do proponowanego schematu. Ta pierwsza droga jest utopią i to — powiedzmy sobie mocno — utopią szkodliwą, bo wypierać będzie z roli poprzez wyzysk i krzywdę podstawowe masy chłopskie, a na ich krzywdzie, pauperyzacji, wywłaszczeniu budować będzie i rozbudowywać bazy gospodarki kapitalistycznej na wsi.

Druga droga — to generalne wywłaszczenie z ziemi wszystkich ludzi wsi i późniejsze nadanie jej pewnej tylko grupie, bo dla wszystkich takich gospodarstw, jakie proponuje profesor Styś — nie wystarczy. Zważmy przeciętną proponowaną w hektarach dla indywidualnego gospodarstwa, konkretną ilość ziemi w Polsce, przeciętny stan ilościowy rodziny chłopskiej, a otrzymamy, że parę milionów ludzi wsi będzie wyrzuconych poza nawias produkcji rolnej. Co ma stać się z tymi ludźmi? Czy przemysł będzie mógł ich przyjąć od razu i bez przeszkolenia zawodowego? Taka metoda jest nie do przyjęcia, ponieważ przynosi ze sobą zasadnicze zakłócenie w produkcji i w porządku społecznym o nieobliczalnych skutkach. Wadliwość konstrukcji podkreśla fakt, że nie tylko pozostanie, ale utwierdzi się na wsi — jako powszechna dominanta — ustrój kapitalistyczny, a w świetle stwierdzeń marksizmu, leninizmu — koncepcja tak budowanego zespołu spółdzielczego okaże się tylko utopią i to „utopią wulgarną".

Metoda generalnego wywłaszczenia kłóci się zresztą z przeprowadzaną przez autora obroną umiejscowionej, bo ograniczonej miedzą, własności indywidualnej gospodarstw. Autor pisze, że w jego koncepcji chodzi o „godzenie ZASADY (podkreślenie moje) prywatnej własności i indywidualnej gospodarki z wymogami nowoczesnej techniki". Niewątpliwie rzecz jest poza dyskusją, że przy dzisiejszym stanie wiedzy i techniki aktualny stan gospodarowania na roli jest anachronizmem i wymaga kardynalnej zmiany. Ale ta zasada, **właśnie zasada, a nie sama własność prywatna** wymaga gruntownego wyjaśnienia. To termin, który wymaga prześwietlenia ze wszystkich stron, aby wydał istotny dźwięk i właściwą treść nie tylko w ustroju socjalistycznym, ale przede wszystkim w ustroju kapitalistycznym. Przecież w tym ostatnim staje się on wielkim i tragicznym nieporozumieniem.

Odwołuję się do znajomości autora w zakresie stosunków wiejskich i proszę go o przypomnienie sobie, czy jest coś w podstawowej masie wiejskiej, w jej warunkach ekonomiczno - socjalnych, konkretnie materialnego w ZASADZIE prywatnej własności warsztatu produkcyjnego poza symbolem miedzy i tradycjonalnym pojęciem ojcowizny. Z literatury przypominam choćby sylwetkę Mordelaka z **„Ugorów"** Pogana. Mordelak może mówić i mówi o zasadach prywatnej własności i ma siłę materialną, aby obracać ją w wyzysk i kapitalistyczne wzbogacenie się, ale co mogą o tym powiedzieć ci, którzy muszą każdą kwartę pożyczonego zboża u niego odpracowywać z naddatkiem. Przypominam znane przykłady z rolnictwa U. S. A. czy innych krajów kapitalistycznych, ze wszystkich tych odcinków, na których walka klasowa obnaża ze wszystkich sztucznych osłon ZASADĘ prywatnej własności na wiejskim warsztacie produkcyjnym.

Byłoby błędem, gdybym pragnął całkowitej likwidacji prywatnej własności zwłaszcza na wsi, ale trzeba te „ZASADY" i „ŚWIĘTOŚCI" przewentylować i nadać im taką treść, która zaspokoi interesy klasy pracującej miast i wsi, a utrąci elementy kapitalistyczne. Osobom bardziej kompetentnym pozostawiam podjęcie dyskusji na ten temat, wydaje mi się jednak, że ta zasada prywatnej własności gospodarstwa rodzinnego w dzisiejszych warunkach wsi polskiej i w podstawowej masie chłopskiej jest do absurdu ograniczona dla proletariatu wiejskiego i jest **mitem, wykorzystywanym przez wiejską klasę wyzyskiwaczy.**

Tę długą dygresję czynię dlatego, że wyliczanie przez autora zalet prywatnej własności gospodarstwa rodzinnego ma dla mnie osobiście pewien odblysk agrarystyczny z kategorii pojęć o chłopach „synach ziemi i słońca". Autor dba o to, aby w proponowanych zespołach spółdzielczych zachować wszelkie uprawnienia, **zwyczajowo i mechanistycznie** przyznawane prywatnej własności, myśli o wyraźnych słupach na miedzach, ale nie daje nam odpowiedzi na pytanie, **jaka metoda** ma być właściwą dla wprowadzenia w życie projektowanego schematu, obydwie bowiem zasugerowane przez niego metody prowadzą do wręcz przeciwnych skutków niż to leży w interesie wsi, w interesie produkcji narodowej i całości gospodarczej Państwa.

Wyżej wspomniane skłonności autora niewątpliwie bezwiednie zakłócają później logiczny układ proponowanego schematu. Przyjmując zasadę spółdzielczych zespołów rolniczych jako powszechną, autor przekreśla całkowicie zasadę **dobrowolności** zrzeszania i przesądza negatywnie o **czynniku inicjatywy indywidualnej** w zakresie tworzenia i organizowania form uspołecznionej produkcji rolnej. Przyjmując więc zasadę powszechności, a więc przymusowości produkcyjnych zespołów spółdzielczych na wsi, profesor Styś pragnie narzucić jednolity schemat, bardzo sztywny i bardzo teoretyczny, nie widząc w formach i rodzajach uspółdzielczenia produkcji żadnego związku przyczynowego z elementami wyżej przeze mnie naszkicowanymi. Staje zatem w sprzeczności z demokratycznymi formami postępowania, wielokrotnie w toku artykułu przez siebie bronionymi. W tej mierze autor podkreśla np., że działki indywidualne (działki o powierzchni od 10 do 16 ha), włączone do zespołów spółdzielczych, mogą być przez ich właścicieli sprzedawane, wydzierżawiane i obciążane długami hipotecznymi, przy czym dodaje zastrzeżenie: „w ramach ogólnie obowiązujących przepisów". W tej właśnie klauzuli końcowej tkwi pewne niepokojące niedopowiedzenie, mogące śmiało nasuwać zasadniczą wątpliwość co do trwałości proponowanego schematu. Zamiast ucieczki od precyzji przez podstawienie ogólnika dobrze byłoby, aby autor powiedział, kto ma prawo być nowonabywcą działki, czy — zdaniem jego — wydzierżawianie i obciążanie długami hipotecznymi indywidualnym procederem nie kłóci się z zasadą zespołu spółdzielczego, czy wreszcie autor nie obawia się w takim układzie rzeczy infiltracji wpływów obcych i wrogich spółdzielczej produkcji rolnej i rozsadzania jej od wewnątrz, nawrotu poprzez wzmocnione gospodarki neutralne do odradzania się bazy kapitalistycznej na wsi.

Zachodzi wreszcie pytanie, dlaczego autor chce wprowadzać do zespołu spółdzielczego gospodarstwa o wielkościach usztywnionych w konkretnej ilości hektarów powierzchni. Autor mówi o rodzinnych gospodarkach pełnorolnych, a więc o gospodarkach rentownych o niewątpliwej dochodowości. O ile rozumiem i zgadzam się z autorem co do tego, że indywidualna gospodarka chłopska musi opierać się o pracę rodziny, bo przez to wyeliminuje się wyzysk człowieka przez człowieka, o tyle nie mogę znaleźć odpowiedzi na konieczność tezy o powszechnie obowiązującej dla gospodarki chłopskiej powierzchni zwłaszcza w obliczu proponowanego przez autora schematu i w obliczu postawionego przez partie programu o uspołecznionej produkcji rolnej. Prawdopodobnie myślał profesor Styś o problematyce rolnictwa krajów zachodnich, a może zasugerował się koncepcją równych wkładów do zespołu spółdzielczego, może wreszcie pragnął zrealizować zasadę, że wieś własnymi siłami da sobie radę z unowocześnieniem gospodarowania. To są wszystko przypuszczenia, ale tu zwłaszcza w odniesieniu do ostatniego — warto odpowiedzieć słowami Lenina, że każdy ustrój społeczny powstaje przy pomocy finansowej określonej klasy, a więc w konkretnym dla Polski przypadku można stwierdzić, że pomoc dla wsi przyjdzie od państwa w formie pomocy finansowej, a od klasy robotniczej miast w formie maszyn, narzędzi, elektryfikacji i tp.

W tym miejscu wracam do początkowego pytania, jakie sobie autor postawił. Pytanie brzmiało: „W jaki sposób zredukować ilość pracy zastosowanej w rolnictwie BEZ RÓWNOCZESNEGO OBNIŻENIA ILOŚCI I JAKOŚCI PRODUKCJI?" (podkreślenie moje). Odpowiedź profesora Stysia brzmi: najważniejszym środkiem do tego celu jest zastępowanie pracy ludzi pracą maszyn. A więc chodzi tylko o utrzymanie ilości i jakości produkcji na dotychczasowym poziomie. Zbyt pośpieszne to wnioski, bo nieco dalej autor słusznie stwierdza, że oparty na naukowych podstawach płodozmian, dobra mechaniczna uprawa, doborowe ziarno siewne spowodują wzrost produkcji roślinnej o 30%, zaoszczędzona zaś praca, skierowana do produkcji roślin przemysłowych i hodowli, może podwoić korzyści z gospodarstwa. Zestawienie obu tekstów jest może przypadkowe, niemniej jednak mogą powstać niepokojące wątpliwości, zniewalające mniemać, że dotychczasowy wolumen produkcji rolnej jest zadawalający. Tutaj trzeba mówić wyraźnie i podkreślać czynniki wzajemnej zależności i wzajemnego oddziaływania pomiędzy produkcją rolną i przemysłową.

Te bardzo pobieżne i szkicowe uwagi nie pretendują do roli uwag wyczerpujących, pozwalają nam jednak stwierdzić, że schemat profesora Stysia rodzi sam w sobie pewne sprzeczności, a budowany w teoretycznych rozważaniach bez uwzględnienia jego możliwości realizacyjnych i jego wszechstronnych konsekwencji, bez uwzględnienia zasad ustroju socjalistycznego może stanowić wyłącznie ciekawą i cenną jako praca oryginalna pozycję w literaturze naukowej. Jeżeli przypomnę, że we wstępie starałem się umiejscowić w czasie pracę autora, to tym bardziej usprawiedliwione będzie stwierdzenie, że sam fakt zapoczątkowania dyskusji na ten temat jest dużą zasługą profesora Stysia.

Zwraca uwagę fakt, że autor w porównaniu swojej koncepcji strukturalnej operuje wyłącznie elementami charakteryzującymi instytucję kołchozów. Te właśnie kołchozy są szczególnie znane polskiej wsi. Stąd autor pragnie szczególnie starannie podkreślić owe differentia specifica, jakie dzielą jego koncepcję od teorii i praktyki kolchozowej. Zdaniem moim ciekawiej wypadłyby porównania autora, gdyby rozszerzył je o koncepcje spółdzielcze duńskie, a nawet szwedzkie. Obydwa te kraje są krajami gospodarki kapitalistycznej i ich rolnictwo jest tak różne od naszego, jak — zechce mi profesor Styś wybaczyć to porównanie — koncepcje autora, dotyczące ustroju agrarnego wsi polskiej, ale mimo warunków kapitalistycznego gospodarowania, a może właśnie w intuicyjnej obronie przed nim, rodzi się tam system uspółdzielczonej produkcji i kto wie, czy stamtąd nie pochodzą choćby w szczątkach prawzory schematu autora.

Jeżeli profesor Styś podjął zagadnienie kołchozów, a więc jednej tylko z obecnie praktykowanych form uspołecznionej produkcji rolnej, to szkoda, że zapomniał o Bułgarii, gdzie i stosunki przedwojenne i obecne przypominają żywo nasze kłopoty rolnicze. W kraju tym w wielu wsiach sami rolnicy powoływali do życia instytucję wspólnego gospodarowania na swych gruntach. Rzecz ta ma swoją tradycję w Bułgarii i ten kolektywny system był materialną obroną rolnika bułgarskiego przed wyzyskiem spekulantów, pośredników, bogaczy wiejskich, był jego protestem przeciwko pauperyzacji wsi. Spółdzielcze gospodarowanie w Bułgarii dawało mimo wielu trudności i przeszkód znacznie pomyślniejsze w warunkach bułgarskich wyniki niż ściśle indywidualna gospodarka małorolnych chłopów. Dużym błędem było sumowanie w takiej spółdzielni narzędzi produkcyjnych. Ale błąd ten był usprawiedliwiony brakami na rynku nowoczesnych maszyn. Mimo tego system ten w Bułgarii zyskiwał uznanie w coraz liczniejszych okręgach, z uwagi na praktyczna przydatność takiej formy pracy. W roku 1944 takich spółdzielni gospodarczych było 42 i we wrześniu tego roku obejmowały one łącznie 1.700 zagród chłopskich o łącznej powierzchni 6.700 ha ziemi. Uczestniczyły zatem w tych kolektywach gospodarstwa o przeciętnej powierzchni 4 ha. W jesieni 1946 roku spółdzielczy system gospodarowania objął już blisko 44.000 zagród o łącznej powierzchni 193.000 ha.

Ta wybrana przez chłopów i z ich własnej inicjatywy stosowana forma znalazła uznanie i potwierdzenie w dwuletnim planie gospodarczym Bułgarii. Liczba gospodarstw spółdzielczych ma osiągnąć w roku bieżącym 800 z 400 000 ha ziemi uprawnej. W lutym br. ustalono w każdym istniejącym kolektywie plan produkcji i pracy oraz normy robotniczej. Ale jednocześnie te wszystkie robotni-

DROBNOROLNI



Salamea Matyda, wieś Czulówek, właść. 14 arów ziemi



Jan Wędzicha, właściciel 1,12 ha



Kazimierz Kromka (Czulówek) 4,60 ziemi ornej

cze spółdzielnie gospodarstw wiejskich otrzymały szeroką pomoc Państwa w zakresie unowocześnienia środków produkcji. Ruszyły traktory, siewniki, żniwo - wiązałki, podnosząc wydajność produkcyjną i dobrobyt wsi. Błąd inicjatorów z biedy i musu zostaje wyrównywany z nawiązką przez rząd demokracji ludowej.

Warto tu wreszcie przypomnieć niektóre postanowienia obowiązującej ustawy o roboczych spółdzielniach gospodarstw wiejskich. Wg. tej ustawy o roboczych spółdzielniach gospodarstw wiejskich spółdzielnia taka powstaje wówczas, jeżeli co najmniej 15 właścicieli drobnych gospodarstw rolnych zgłosi akces do wspólnej pracy. Członkostwo spółdzielni oparte jest na zasadach dobrowolności. Przyjęcie i wykluczenie jest dokonywane przez walne zgromadzenie członków. Wszyscy członkowie roboczych spółdzielni gospodarstw wiejskich obowiązani są przekazać do wspólnego użytkowania swoją ziemię oraz inwentarz żywy i martwy. Za zgodą walnego zgromadzenia każdy z członków spółdzielni może zachować na swój indywidualny użytek potrzebne minimum ziemi. Spółdzielcy ci zachowują prawo do własności na konkretnym obszarze ziemi i otrzymują na to zabezpieczenie hipoteczne.

Udział ten może być sprzedany przez członka takiej spółdzielni w całości lub w części. Osoby, występujące ze spółdzielni otrzymają ze spółdzielczego funduszu ziemi swój odpowiedni udział. Rozliczenia dokonywane są corocznie i czysty dochód spółdzielni dzielony jest pomiędzy jej członków. Nadto członkom, którzy wnieśli do spółdzielni jako udział — ziemię, wypłacana jest tenuta dzierżawna w wysokości ustalonej przez walne zgromadzenie spółdzielni. Na okres trzech najbliższych lat robocze spółdzielnie gospodarstw rolniczych są wolne od wszystkich podatków. Spółdzielnie korzystają z poważnych kredytów bankowych, udzielanych im na dogodnych warunkach przez Bułgarski Bank Rolnictwa i Spółdzielczości.

Metoda porównawcza profesora Stysia może więc być wzbogacona o nowe i ciekawe elementy, a w odniesieniu do spraw kołchozowych postaramy się zająć uwagę czytelników w numerze „Wsi", poświęconym tematyce radzieckiej, artykułem o stalinowskiej polityce agrarnej, ogłoszonym w ostatnim numerze: **„Waprosy Ekonomii".**

Ostatnia wreszcie uwaga. Autor słusznie mówi, że odwrotną stroną ustroju rolnego typu niemieckiego i skandynawskiego jest powstawanie na wsi proletariatu. Rzecz ta jest podawana w uproszczonym skrócie, ponieważ autor tak formułuje następujące zdania, że z tego można mniemać, iż proletariat wiejski i chłop — wyrobnik to jednoznaczne pojęcia. Istotnie są one jednoznaczne z tym jednak, że pierwsze pojęcie obejmuje nie tylko robotników rolnych. Zważmy bowiem, że wieś nasza była dotychczas typowym źródłem utajonego bezrobocia. Wiadomo, że kapitalizm w miastach stał się podstawową przyczyną kapitalistycznego rozwoju rolnictwa, że wraz z pojmowaniem siły roboczej jako towaru gospodarka towarowa na wsi przekształca się w gospodarowanie kapitalistyczne. „Waprosy Leninizma" wyraźnie wskazują, że jeszcze w wieku XX-ym we wszystkich państwach kapitalistycznych zachowały się formy średniowiecznej zależności chłopów od dziedziców, np. Instleute w Niemczech, métayers we Francji, dzierżawcy — użytkownicy w U. S. A., a więc problem klasy proletariackiej na wsi był i jest skomplikowany oraz szeroki.

Wg. danych przedwojennych mieliśmy w rolnictwie polskim 2.849.800 osób robotników najemnych wraz z członkami ich rodzin. Była to grupa poważna ilościowo, bo stanowiąca 15% ogółu ludności wiejskiej. Nadto trzeba sobie jednak przypomnieć, że 25 5% gospodarstw rolnych to były gospodarki karłowate, wg. określenia Lenina zwane pseudogospodarkami lub gospodarkami proletariackimi. Do tej grupy zaliczyć wypada wreszcie niemałą część drobno-chłopskich gospodarstw od 2—5 ha, których Polska międzywojenna miała 38,7%. Jeszcze Marks stwierdził w „Kapitale", że ta ludność „zawsze gotowa jest przejść do szeregów miejskiego proletariatu i oczekuje sprzyjających ku temu warunków", choć znane jest prawo nagromadzenia kapitalistycznego, iż wraz z nagromadzeniem robotników rośnie ich nędza.

Z tego rzutu wynika, że bardzo znaczna część ludności wsi jest proletariatem lub półproletariatem wiejskim choćby ten charakter proletariacki był zamaskowany przez posiadanie gruntu. Własność nie zmienia w niczym istotnego społecznego charakteru tej grupy. Prawda, że wszystko to było, że dokonana reforma rolna dała bezrolnym, karłowatym i małorolnym, a więc proletariatowi i półproletariatowi wiejskiemu, ziemię. Usunęła elementy gospodarki wielkokapitalistycznej ze wsi przez likwidację własności obszarniczej. Ale nie usunęła zasadniczo gospodarki drobno - towarowej, gospodarstw wielko-chłopskich, nie usunęła więc wyzysku, który znajduje oparcie w swoich bazach, grozi odrodzeniem się kapitalistycznej formy gospodarowania na wsi. I o tym również nie można nam zapominać przy dyskutowaniu aktualnych spraw wsi.

TADEUSZ ORLEWICZ

Jan Aleksander Król

PRZYSZŁOŚĆ RODZINY CHŁOPSKIEJ

„Jeżeli za podstawę naszych rozważań weźmiemy pod uwagę samodzielne gospodarstwo chłopskie, to w tej najniższej komórce gospodarczej możemy się dopatrzeć wielu zasadniczych elementów przyszłego ustroju społeczno-gospodarczego z punktu widzenia wsi".

„Chłopskie gospodarstwo indywidualne wyrabia wiele wyraźniej osobowość człowieka, GDY MUSI SAM SOBIE RADZIĆ, zwłaszcza na wsi rozrzuconej"...

„Moralnie i tradycyjnie należy gospodarstwo do WSPÓLNOTY RODZINNEJ. Pracę wykonuje każdy pospołu pod naturalnie uznanym przewodnictwem kogoś z ojców czy rodzeństwa"...

(St. Miłkowski — Agraryzm — 1934 r.)

GOSPODARSTWO — RODZINA

Znajdujemy się dziś u początku okresu wielostronnej walki z „mitem parceli". Z podstawowym mitem wsi z epoki kapitalistycznej *).

Przytoczone cytaty z Miłkowskiego stanowią ostatnią polityczną i filozoficzną formułę takiego ustroju wsi.

Charakterystyczne, że podstawa przyszłego ustroju — tzn. samodzielne gospodarstwo chłopskie — jak chcieli agraryści — była przez nich uzasadniana **nie ekonomicznie a moralistycznie.** Gospodarstwo, które samo sobie radzi, nie polepsza swoich warunków materialnych, polepsza rzekomo osobowość gospodarzy. Gospodarstwo jest wspólnotą rodziny. Jest zatem twórcą treści i wartości moralnych rodziny jako podstawowej „komórki" społecznej. Bez gospodarstwa ginie „rodzina". Rodzina to — samodzielne gospodarstwo.

Oczywiście, że ten rodzaj argumentacji nie należy do arsenału bojowych zawołań kapitalizmu. W epoce jego rozkwitu podawano argumenty ekonomiczne, z dumą, zapałem, z namiętnością: interes, zysk, zawrotna kariera — takie miały być szanse indywidualnego losu człowieka, indywidualnie osiąganego. Argumentacja agrarystów jest schyłkowa, broni kapitalizmu wiejskiego **idealistycznie.** Utrzymać pragnie go za wartości moralne, jakie w jego dziejach osiągnęli chłopi, ruguje z pola widzenia potworności i rozkład moralny, jaki on musiał na wsi wytworzyć.

Agraryści broniąc indywidualnego gospodarstwa przez utożsamienie go z rodziną tworzyli z kolei „mit rodziny chłopskiej" nie odpowiadający rzeczywistości. Rzeczywistość bowiem lat międzywojennych polegała na tym, że były to, że musiały to być **straszne rodziny** — straszne rodziny wyzyskiwaczy, kapitalistów wiejskich, straszne rodziny wyzyskiwanych małorolnych, straszne rodziny biedoty wiejskiej. Ta straszność jest historyczna, jest związana z ustrojem. I ona jest treścią współczesnej rodziny chłopskiej z wczoraj na dziś.

O tym trzeba powiedzieć dziś, kiedy we wzmagającej się i uświadamiającej walce klasowej na wsi wypadnie rozjaśnić splątane zagadnienie przeszłości: **„gospodarstwo — rodzina".**

SYMPATYCZNE WILKOWYJE

W r. 1931 wydał prof. Mysłakowski książkę o „Rodzinie wiejskiej jako środowisku wychowawczym". Poza jego rozdziałem wstępnym książkę wypełniają socjograficzne prace uczniów, często nauczycieli szkół wiejskich. Jedną z tych prac biorę za podstawę rozważań. Napisał ją A. Michna, nauczyciel wsi Wilkowyje w powiecie pszczyńskim. Zawiera ona „obserwacje nad kilku rodzinami chłopskimi" z tej wsi. Autor zapewnia, że wszystkie przygotowane przez niego przykłady „okażą raczej, że życie rodzinne w naszej wiosce odbywa się na tle sympatycznym, chociaż nie zawsze dopisują warunki materialne". O sympatycznym tle życia rodzinnego pomówimy: było, czy nie było? Sympatyczne wydają się raczej i stosunkowo ówczesne regionalne warunki społeczne, w jakich poznamy się z rodzinami, opisanymi przez nauczyciela wilkowyjskiego. Jest to Górny Śląsk. Region kopalń, i fabryk, gęstej komunikacji drogowej i kolejowej, wielu miasteczek i miast. Kraj dużego zapotrzebowania na produkty rolne i siły robocze do przemysłu, do miast. Kraj w którym do świadomości chłopskiej dociera wiedza o kwalifikowanych zawodach technicznych, niższych i wyższych oraz o ich opłacalności. Jest to wreszcie rok 1928, kiedy Michna portretuje sąsiedzkie rodziny chłopskie. Szczyt nasilenia koniunktury gospodarczej. Sytuacja zatem społeczno - ekonomiczna Wilkowyji najpomyślniejsza z pomyślnych dla ukazania sympatycznych portretów rodzin wiejskich, a mimo to zabieram się do rozwiania zbożnych złudzeń autora. Pal go zresztą licho! Nie o niego idzie. Ważniejsze, że za jego plecami wystercza ta sama tradycja wiedzy i oceny i w agrarystycznym nurcie ruchu ludowego i w świadomości drobnomieszczaństwa i u inteligencji i u niemałej części naukowców - socjologów, którzy lubią bawić się w znieruchomiałe historycznie modele. Dlatego zamiast widzieć w okresie kapitalizmu dialektyczny proces narastającego i zaostrzającego się konfliktu wewnątrz rodziny chłopskiej nadal restaurują martwy poznawczo model: „prymat grupy rodzinnej nad jednostką, to podstawowy rys tej struktury". Ale też dlatego operują w odniesieniu do wsi ryczałtowym pojęciem „warstwy chłopskiej".

Wymijają w praktyce wpływ okresu kapitalizmu na wieś. Zostaje im w rezultacie jako „zasadniczy zrąb struktury społecznej Polski — dwuwarstwowość: chłopi — panowie". Nawet, gdyby prymat rodziny nad jednostką nadal występował, od badacza oczekujemy wyjaśnienia, z jakich powodów utrzymuje się on w okresie tzw. „młodego pokolenia chłopów", bo przecież nie z tych samych, co w czasach Słomki. A jeśli nie, to pytanie: która z dwóch tendencji jest historycznie postępowa? Czy siła więzów rodziny zamyka i podporządkowuje jednostkę, czy przy słabości więzów te same czynniki, jakie wpływały na jej rozkruszenie, są chwilowo, do czasu, sojusznikami prymatu rodziny? Czy zatem nie mamy dramatu rodzinnego — sytuacji, w której jest tak źle, że wydobyć się z niej nie można. I dlatego ten tradycyjny prymat trwa.

Warto zdać sobie sprawę, że od 1928 r. upłynęło 20 lat. Najstarsze dzieci w rodzinie miały wówczas (przeciętnie) 24 lata, dziś mają ponad 40. Dzieci 12-letnie (5-te, 6-te z kolei) mają dziś ponad 30. Są to więc ludzie dorośli, społecznie i ekonomicznie odpowiedzialni za siebie i za rodzinę. Jakież były ich dzieje rodzinne przed dwudziestu laty? W jakich wzrastali **koniecznościach** i dążeniach i w jakich oporach i przeciwieństwach? Jakiego u nich można oczekiwać stosunku do walki z podstawą kapitalistycznego ustroju ekonomicznego na wsi? Prymat rodziny, co się równa „indywidualnemu gospodarstwu", czymże był w ich doświadczeniu — podległych członków? Co łączy, co różni ich doświadczenia, rozklasyfikowane według rodzin: robotników rolnych, małorolnych, średnio i wielkorolnych?

PROFIL EKONOMICZNY

Przejrzyjmy portrety nauczyciela z Wilkowyj. Pięć rodzin: dwie robotników na półhektarze, jedna drobnorolna na 4 hektarach, jedna średniorolna na 15 ha i jedna „bakaciorza" (kułaka) na 25 ha.

Robotnicy pochodzą z chłopskich rodzin. Bracia ich zostali na ojcowiźnie, oni w zawodzie musieli szukać drogi wyjścia. Mimo bliskości fabryk i kopalń zaczynali w rzemiośle wiejskim. Jeden jako zdun-murarz, drugi u kowala. Nie opłacała się ta robota. Obaj dobili do kopalni węgla (w promieniu kilku km). Starszy uczynił to wcześniej. Był rosły i silny, wyszedł na „rębacza" w kopalni i utrzymał się. Ten drugi (1.55 m. wzrostu) mały, fizycznie słaby, majstrował na „wierchu". I nie utrzymał się. Od trzech lat był już bezrobotnym. Pobierał zasiłek — 80 złotych, w letniej porze dorabiał u gospodarzy (50 zł na miesiąc), najstarsza córka (24 lat) w służbie u rolnika — 25 zł, najstarszy syn (19 lat) też w służbie — 30 zł. Za dwadzieścia dni odrobku w roku dzierżawił pół ha. ziemi niedrenowanej. Jedna licha krowa. Z ziemi 7 m żyta, 60 m kartofli. Dzieci 10. Poniżej 16 lat — 7. Jedna brudna izba. Nędza, brak sił do pracy i nauki. Brak warunków materialnych do kształcenia w zawodzie. Dzieci, ledwie podrosłe, wypychał na służbę.

Drugi robotnik, rębacz w kopalni — 200 zł pensji. Trzech synów oddaje do domu za utrzymanie, jeden, na kolei — 150 zł, dwóch górników po 120 zł. Pół ha ziemi. Wybudowali dom murowany na miejscu starej chaty. Dzieci — 7.

Małorolny ma w jednym kawałku 4 ha. Mimo dziewięciu osób w rodzinie (7 dzieci) sprzedał 20 m pszenicy i 150 m kartofli. Ma konia i 3 krowy, mleko przerabia na masło, rocznie sprzedaje 4 świnie (ponad 3 m), sporo kaczek i gęsi. Z furmanek wyciąga 1000 zł. razem dochód pieniężny wynosi na rok 3.500 zł. Miesięcznie około 300 zł. W domu kuchnia i dwa pokoje bez pieców. Czystość wzorowa. Odżywienie dostateczne.

Średniorolny — 15 ha (w tym 1,5 ha łąki). Ziemię zdrenował (2-gi gat. gleby). Używa sztucznych nawozów, jeszcze w niedostatecznej ilości „z powodu braku pieniędzy", jak wyjaśnia nauczyciel wilkowyjski. koni chowa 2. krów 6, karmików sprzedaje 4 i dużo drobiu. Jego roczny plon — pszenicy i żyta 100 m. owsa i jęczmienia 200 m, kartofli 1100 m, mleka — 6.000 litrów

Czystego dochodu po odtrąceniu kosztów na gospodarkę i potrzeby domowe (10 dzieci) — 2000 zł rocznie, które lokuje w banku.

Wielkomorgowiec — 25 ha. Koni 3. krów 10. świń-karmików 10. Gospodarstwo nastawione na mleczarstwo. Rocznie żyta 400 m, pszenicy 100, jęczmienia 100, owsa 120, kartofli 2000 m. Sprzedaje tylko około 100 m żyta, owsa i jęczmienia około 50 m, i tyleż pszenicy, resztę przerabia na pokarm dla bydła. Paszy treściwej dokupił w tym roku za 2.600 zł. Na polu używa maszyn rolniczych. Za samo mleko wziął 9.600 zł. Konie wynajmuje do obróbki pola. Trzyma służbę. Córki wianuje po 6.000 zł. Bije dla domu wieprze i drób. Mięso cztery razy na tydzień. Dzieci siedmioro.

RODZINY ROBOTNIKÓW

Wróćmy do rodzin robotników. Jaki będzie los tej, której ojciec jest bezrobotny? Matka była kiedyś dziewką do bydła, niczego się nie nauczyła, co mogłoby być pożyteczne w domu. Dzieci dziesięcioro. Kilkoro chorowało, jedna z córek głuchoniema, najstarszy syn głuchawy. Najmłodsze, które chowają się w domu, odbiegają na wadze od normy o 7 kg. Te, które są na cudzym chlebie mniej, ale na cudzym znajdują się w roli własnej matki za jej panieńskich czasów. Są wyzyskiwane i nauczyć się nie mają czego wiele. Ojciec trzyma się zdala od sąsiadów i od niego stronią, lekceważą go i boją się odpowiedzialności, jaka by spadła na nich przy większej zażyłości. Tak, zamiast pomocy biednej rodzinie, dają za stałą pracę 24-letniej córce — 25 zł miesięcznie. A ojciec, mały i słaby fizycznie, ma „pomysły". Wynalazki chodzą mu po głowie. Zna się „na wszystkim". Ale jest dziadem. Polityką się interesuje. Kiedy pracował na kopalni należał do Z.Z.P. i N.P.R. Teraz nie opłaca składek, na zebrania jednak uczęszcza, podobnie na zebrania gminne, ale stanowiska żadnego nie zajmował i... nie zajmie!

Dzieci mimo niedożywienia, okazują w szkole uzdolnienia. Co im z tego przyjdzie? Nauczyciel wilkowyjski powiada, że „wszystkie dzieci muszą dopiero przejść przez twardą szkołę służby **u obcych ludzi** zanim się staną **pożądanymi przez pracodawcę pracownikami"**. Twardą szkołę przejdą. Ale ich służba nie sięgnie takiego kręgu najemnictwa, gdzie się mówi szumnie o „pracodawcy". Ci obcy ludzie to nawet nie wielko-morgowiec, nie młynarz, nie dwór. Już tu trzeba protekcji i kwalifikacji. Żaden fabrykant nie kiwnie na nich palcem, nie wsadzi do szkół, nie wypromuje na inżynierów, aby we wdzięcznej służbie odrabiali mu stokrotnie. Fabrykanci wybierają spośród gotowych, zdolnych inżynierów. A to są dopiero zdolne dzieci bezrobotnego na pół ha. Starsze dzieci są bez przyjaciół. Na poletko pół-hektarowe rodzina posiada nadmiar rąk. W wyniku — zła robota i niedbała. Ani gospodarczego, ani wychowawczego planu nie można ułożyć dla dzieci w tych warunkach. Dzieci „nygują", zagroda to kraj ich dzieciństwa, ale nie cel życia. Dla najstarszych córek jedno wyjście — za mąż. Będą powtarzać historię matki. Jedna z nich prowadzi się nieco lekko. Wypłata przyszłego męża potrzebna jej, aby „sobie użyć". Wypłata nie będzie wielką, użycie dlatego druzgocące dla nowej rodziny. Córka dziewki od krów i niewydarzonego syna kowala nie będzie harować wzorem matki. Rodzina, której ona da początek zaiste ani tła, ani perspektyw nie będzie miała „sympatycznych". Cóż o takiej przyszłości rozstrzygnęło? Czy mógł jej przeszkodzić fakt, że „rodzice bardzo przychylnie odnoszą się do — dzieci?" Nauczyciel wilkowyjski z zachwytem notuje, że ojciec dzieli się najmniejszą rzeczą z całą rodziną, że nie bije i że dzieci mu „parzą" (sprzyjają). Wszystkie te ewangieliczne cnoty kwitną niestety na dnie upadku rodziny. Nie tylko zdobią, ale zatwierdzają ten upadek. Głuchonieme i głuche dzieci nie są i nie będą leczone. Wszystkie inne nie będą uczone; nawet nie oddane w zawód. Nie ma na to pieniędzy, nie ma na to społecznej opieki i odpowiedzialności gromady. Nie pójdą nawet na „lepszą służbę". Kogóż to bowem łatwiej wyzyskać, czy dzieci tego bezrobotnego półhektarowca, czy dzieci małorolnego? Jest hierarchia, hierarchia społeczna dla losu rodziny! I ona decyduje o treści życia rodziny. Czy Agnieszka i Jadwiga czekają na miłość? Będą wybierać? Mogą w tych warunkach wybierać? Będzie szczęśliwie, jeśli je ktokolwiek weźmie. A ów „ktokolwiek" to nie los klasowy rodziny półhektarowca? Nauczyciel wilkowyjski zadowolony, że dzieci nie klną rodziców. Nie klną, ale zdają sobie sprawę, że rodzicom nic zawdzięczać nie będą, postawili ich w położeniu najgorszym i same muszą myśleć o swej przyszłości. Franek chciałby słuch odzyskać i wyrobić się na mechanika. Głuchoniema Maria pragnęłaby zostać szwaczką. Szesnastoletnia Łucja kupcową, „bo ta dużo zarabia i fajnie sobie żyje". Czternastoletni Paweł — ślusarzem, „bo taki umie wszystko zrobić i ma dużo pieniędzy". 12-letnia Gertruda, która lubi czytać bajki, chciałaby zostać nauczycielką", aby zarabiać pieniądze i odpłacić rodzicom". W jakim stopniu są to plany, w jakim **tylko marzenia** dzieci, którym wszy łażą po głowie, a na ciało wyskakują krosty? Jeszcze jest dwoje najmłodszych: 9—7—5 lat.

W drugiej rodzinie robotniczej inna jest sytuacja. Ojciec górnik - rębacz. Wprowadził na kopalnię dwóch synów. Jego własna pensja pozwoliła na uczenie w gimnazjum Józefa, który teraz zdaje egzamin „na coś lepszego" (asystenta kolejowego). Zarobki ojca i synów - górników pomogły Edwardowi na zaprowadzenie ogrodu handlowego, Ludwikowi na termin ślusarski, a teraz na szkołę techniczną, najmłodszego, zgodnie z jego chęcią, będą również kształcić w ślusarce. Ale i w tej rodzinie Monika, 28-letnia panna, próżno wygląda zamążpójścia. Cała rodzina jest w awansie. Dopiero jeden z synów się żeni. Inni jeszcze nie (a najstarszy ma 32 lata) i tu dobór jest klasowy. Odpada „byle kto". Siostra „takich" braci musi się szanować. Jest rok 1928. Ostatni rok złudzeń. W ciągu następnych siedmiu lat produkcja węgla spadnie o 1/6, a zatrudnienie o 1/3, w przemyśle metalowym o 1/2. Stawka robotnicza do 50 proc. Kto wie, czy stary rębacz nie zostanie zredukowany, kto wie czy nie stanie się tak z jego synami, górnikami? Co będzie z dwoma innymi na ślusarce?

Pstrowski właśnie w owym roku 1928 przybywa na Śląsk i zaczyna od roboty ładowacza. W 30 i 31 roku kopalnia będzie już pracowała na 3-dniówkę. W 32 roku tylko 2 dni na tydzień. Obniża się stawkę. Następuje fala strajków. W odpowiedzi zamykanie kopalń. Pstrowski z towarzyszami przez 11 dni broni na dnie kopalni wobec Francuskiego Towa-

*) Patrz: moje artykuły: „Mit parceli" „Wieś" nr 17 (97) 47 r. „Kapitalizm na wsi" „Wieś" nr 37 (116) 47 r.

rzystwa prawa kopalni do produkcji, prawa górników do pracy i wydajności. Rząd „okazuje się bezradny" wobec... Towarzystwa Francuskiego. Pstrowski przez 4 lata boryka się na bieda - szybach. W 37 roku przyjmuje zapotrzebowanie z Belgii i wyjeżdża tam rąbać węgiel.

MAŁOROLNY

Rodzina małorolnych daje sobie radę. 1000 zł z furmanienia — to sprawa konia, małego pola i lokalnych warunków. Gęsta sieć miast i miasteczek, fabryk i kopalni. Wyrób masła od 3 krów idzie na te same szlaki, również tuczniki i drób. 4 ha tutaj to kapitał zakładowy, to już sensowny, podniecający warsztat produkcyjny. U bezrobotnego na pół hektarze nic nie wychodziło, tu wychodzi i jest podział pracy. Ojciec ma pieczę nad koniem, jedna córka nad krowami, druga nad nierogacizną, trzecia nad drobiem. Starsi synowie w polu, najmłodszy drzewo nosi. Już od drobnej gospodarki zaczyna się ten podział pracy, specjalizujący w części gospodarki a nie w całości. Już tu widać fałsz duchologów deklamujących o osobowości chłopa, urabianej wielostronnie, o wielostronnych pracach. Fałsz! Im większa gospodarka (im zatem pełniejsza samowystarczalność), tym bardziej wyostrza się **specjalizacja samego gospodarstwa.** Ma ono charakter określonego **przedsiębiorstwa.**

Ale u naszego małorolnego jest dzieci siedmioro. Co to znaczy dla rodziny? Że sześcioro dzieci musi i zejdzie z parceli! Rodzina jest pobożna. Żona należy do 3 zakonu, a córki do Kongregacji Mariańskiej. Co zrobić z dziećmi? Hm. nabożność każe najstarszą przeznaczyć do klasztoru. Anielę! Ma już 21 lat, ze światem rozstać się jednak nie chce. Drugą córkę pchnęli na służbę do ciotki w mieście. To jest przywilej nie półhektarowca. Ciotka zareklamuje później Aloizę jakiejś zamożnej pani i będzie awans. Trzecią córkę (11 lat) zamyślają oddać na naukę. A z synami? Jednego do gimnazjum, drugiego do seminarium. Po dwóch latach gimnazjum zemknął syn do ślusarza. Seminarzysta dubluje kurs. Trzeci, przeznaczony na dziedzica, orze, ale marzy o terminie. Najmłodszy (7 lat) ma być kołodziejem. A koniunktura gospodarcza już się kończy. Nadejdzie rychło rok 1930. Rodzina nie przeczuwa kryzysu. Dzieci małorolnego myślą inaczej niż bezrobotnego na półhektarze.

Tamte, biedniackie, pragnęły zawodu i pracy wściekle, z przejęciem, bo zawód, specjalizacja oznaczały zarobek, dobrobyt. Nad tymi małorolnego maślarza i furmana nie ciąży lęk o przyszłe życie. W zawodzie odczuwają jego **techniczny urok.** 16-letni Józef chce jako nauczyciel specjalizować się w robotach ręcznych. 15-letnia Aloiza (na służbę wysłana) pragnie zostać szwaczką „ale taką, która się wyuczy na mistrzynię". 13-letni Jan (dziedzic) marzy o kołodziejstwie, „bo już dużo umiem robić w drzewie". 11-letnia Maria o sprzedawaniu, „bo mam do tego chęć". Dzieci bezrobotnego wołały inaczej. „Czytam chętnie o królach i bogatych ludziach", „chcę być kupcową, bo ona dużo zarobi i fajnie sobie żyje" (16-letnia). „Chcę być ślusarzem, bo taki ma dużo pieniędzy" (14-letni). Podobał im się Kazimierz W., bo 1) dobrze gospodarzył, 2) po wojnach zbudował Polskę. Chcą zarobku, chcą pieniędzy, ale równocześnie chcą pracować i chcą takiego ustroju, który by zagwarantował rozrost życia gospodarczego.

U dzieci małorolnego nie ma ani słowa o materialnej ważności zawodu. Jest upodobanie w zawodach, a nie ma ram społecznych dla ich istnienia i rozwoju. Zjawia się motywacja moralna. U młodszych religijna. Święta Jadwiga, „popierająca ubogich", św. Józef, „święty i jednak robił za cieślę". U starszych ks. Robak, co zmazał grzech ofiarnością dla Ojczyzny". Zakrada się tu skłonność do stabilności drobnomieszczańskiej. Ginie samowiedza klasowa. Orędownikiem zawodów mają być święci, tradycja religijna, wypłukująca historyczne powody i cel odejścia z parceli. Ma być mglisty patriotyzm „szlachecki" (u szesnastolatka w seminarium).

Ojciec i matka nie zajmują żadnego stanowiska w gminie ani się nie interesują żadnymi związkami. Od sąsiadów trzymają się na uboczu. Wyrabiają najlepsze masło, kupcy zwracają sąsiadom gorzej wyrabiane, stąd pretensje sąsiedzkie. Dzieci również izolują od rówieśników. Jest to drugie typowe zjawisko. Podobnie było z rodzinami robotników. I temu złudzeniu należy położyć kres. Więź gromady jest mocno **nadwątlona.** Nie ma spontaniczych i rosnących kontaktów. Tylko konieczne. **Rośnie izolacja.** Interesy rodzin mnożą **konflikty.** W układzie kapitalistycznym liberalna wolność jednostki przybiera na wsi w latach międzywojennych postać **najeżonej, obronnej samotności.**

A los rodziny? Już do roku 1933 dochodowość na 1 ha spadła o 2/3, narzędzi rolniczych wieś wykupiła 20 razy mniej. A jak się kryzys odbił na furmanieniu? Jak na zapotrzebowaniu na produkty rolne? Masła nasz małorolny za granicę nie wysyłał. Czy synowie pokończyli seminarium i terminy? Anielę napewno wepchali do klasztoru. Jan został na roli. Alojza utrzymała się na służbie czy wróciła? O szwalni przestała marzyć, to pewne.

ŚREDNIOROLNY

Od niedawna odkłada do banku co rok 2 tys. zł. Przed tym dorabiał się obecnej pozycji z małego gospodarstwa. Był to dostateczny powód, aby „rodzina mało przestawała z obcymi, sąsiadami a nawet z krewnymi", z dala od wszystkich! A mimo to albo właśnie dlatego cieszy się uszanowaniem u wszystkich. Jakiego rodzaju jest to podziw? Za co? Że potrafił „trzymać rękę na kieszeni"? Że lepiej spekulował, zyskowniej pożyczał, przebieglej konkurował? Oddalenie wobec sąsiadów i krewnych cóż innego znaczy, jak nie ostrą drogę dorobku, wykluczającą zobowiązania sąsiedzkie i rodzinne. Podziw jaki go otacza (rok 1928) jest podziwem zawiedzionych osobiście i nadomiar złego upewnionych o słuszności takiej drobnokapitalistycznej metody dochodzenia do swego.

Dzieci dziesięcioro. Do nauczyciela mówi: „Wiesz rechtor, ucz mi te moje bębny.. chcę ich wysłać do szkół. Niech się pierniki nie muszą tak z robotą używać, jak jo". Najstarszy zostanie właścicielem ziemi. Chce pracować nowoczesnymi maszynami. Reszta furr z ziemi. Córka za mąż. Michał założy przedsiębiorstwo spedytorskie. Będzie handlował ze wsią, a może z kilkoma. Dwa konie są. Oszczędności też. Później wyjdzie na swoje! Jan do gimnazjum i na uniwersytet.

15-letnia Marta chce być szwaczką, „bo taka nie musi się tak mazać w gospodarstwie". 12-letni Stefan — stolarzem, „bo ten wyrabia różne piękne meble". 11-letnia Elżbieta — nauczycielką, „bo dużo pieniędzy i nie pracuje, tylko głowa". Troje najmłodszych (10—5—2 l.) dopiero w przyszłości objawi swe życzenia.

Marcie podoba się Br. Czech, „bo to jest taki sportowiec", lubi książki o bohaterach. Stefan nie chce być podobny do nikogo w wiosce, czyta o wojnach. W tej klasie zaczyna się proces odrywania się **od pracy i wysiłku.** U podstaw leży przeświadczenie, że rodzina doprowadzi na pozycje zarobkowe. Dobór zawodu odbywa się u dzieci pod kątem **wygody życiowej i wykwintności estetycznej.** Motorem są drugorzędne, uboczne motywy.

Ciekawe, że we wszystkich rodzinach: robotników, małorolnego, średniaka i wielkorolnego, najstarsze córki stały przed jednym rozwiązaniem — zamążpójściem (albo klasztorem). U młodszych objawia się wyraźnie **ambicja zawodu**, a u rodziców w stosunku do nich **ustępstwo.** Znaczy to, że poza dziedzicem, dla wszystkich pozostałych dzieci i w świadomości starszego pokolenia i samych dzieci — zawód i praca stanowią jedyną drogę zabezpieczenia życiowego. Zawód i praca — **poza rolnicze!**

KUŁAK — „BAKACIORZ".

Służba jada osobno w kuchni, rodzina w pokoju na stole nakrytym. Służba pija kawę z palonego żyta, „państwo" z domieszką prawdziwej. Wieczorem herbatę lub kakao. Cztery razy w tygodniu mięso na obiad. Kiełbasy i kiszki w dwóch kwartałach co dnia. „Ponieważ bakaciorz — jak notuje nauczyciel wilkowyjski — jest mądrym człowiekiem, od dawnych lat jest pierwszym ławnikiem w gminie i ma we wszystkich sprawach rozstrzygający głos... przede wszystkim jest główną podporą związku rolników". Jest mądry, bo kupuje na rok za 2.000 zł. nawozów sztucznych, a za 2,600 zł. paszy treściwej. Razem wkłada w inwestycje dwa razy tyle, ile za cały rok zarabia drobny rolnik. To się nazywa mądrość pana na 25 ha przy trzech koniach i 10 krowach. Do tego „mądrego człowieka" nie ośmielają się chodzić inni rolnicy, bo tam za „fajnie". Robotnicy nigdy do niego nie wstępują. „Jednakże — znów nas upewnia nauczyciel—cała rodzina cieszy się wielkim zaufaniem i szacunkiem w całej wiosce. Bo po pierwsze to — bogacz, po drugie — ojciec gminy, mądrzejszy i bardziej wykształcony po trzecie—pełno tam krewnych a to samo „lepszych". **Imponujący bogacz** — oto tytuł do powszechnego szacunku.

Dzieci trzymane są w domu zdala od rówieśników sąsiedztwa. Matka pochodzi z wielkiego gospodarstwa i nie jest skora do wytężonej pracy. Córki zaprawia do „zarządzania" gospodarstwem. Uczęszczały do szkół gospodarstwa domowego i do Sióstr, potem czekały na wydanie, „pod żadnym warunkiem za ludzi stojących na **niższym szczeblu hierarchii społecznej",** jak to ładnie określił nasz nauczyciel, który dwa razy tylko użył „języka klasowego", raz z okazji dzieci bezrobotnego, które „muszą przejść twardą szkołę służby u obcych ludzi, zanim staną się **pożądnymi przez pracodawcę pracownikami"** i teraz poraz drugi — „za nic na niższym szczeblu hierarchii społecznej". A w całej pracy chce nas przekonać, jakoby nie według „hierarchii społecznej" dobierał portrety rodzin, tzn. nie według różnic klasowych, ale ot, tak, według ludzkich, po chrześcijańsku rozumianych, różnic. Jedni mają gorsze głowy, są leniwsi, mniej im „szczęście dopisuje"(?), inni zaś mądrzejsze głowy, więcej pracowici i więcej szczęścia — stąd są bogatsi i biedniejsi, **naturalny** los człowieka! A niechże go!

Wszystko, co zebrał do charakterystyki rodziny „bakaciorza" aż krzyczy: klasa, klasa, klasa! Jest to kułactwo klejnotowe, chciało by się nazwać nowocześnie: **firmowe!** Przedsiębiorstwo mleczarskie. Nawozy, maszyny i młody dziedzic po szkole rolniczej! To dopiero stan!

Na taki stan rolniczy nie będą miasta patrzyły pobłażliwie, nie będą nazywały rolnika „dummer Bauer" jak dawniej, ani jak dziś: „pompon'em, bakciorzem lub soroniem". Nie będą? Będą ośmieszały tylko stan rolniczy poniżej naszego 25 hektarowca. Ale o tych poniżej jemu nie idzie — sam ma ich w pogardzie. Zatem stan rolniczy zaczyna się na nim i na jego klasie kończy. Znamy tę „piastowskość", od pół wieku dobrze już wyklarowaną.

Nie kieruje się każdą czynnością dzieci, w obrębie gospodarstwa mają dużo wolnej inicjatywy dla rozwinięcia samodzielności i poczucia odpowiedzialności za... „firmę". Krótko mówiąc, uczą się **władztwa** gospodarczego, tak córki, jak synowie. Jest służba stała i najmowani. Jest na kim jeździć. Wioska również patrzy na paniczów, niby na dziedziców z dworku, oni są stanowczo z „lepszych". Matka w ustawicznych rozjazdach do krewnych po różnych miastach. Księża, adwokaci, lekarze, inżynierowie. To wrastanie kułactwa w mieszczaństwo raz jeszcze mówi wyraźnie nie o chłopach, nie o stanie rolniczym, ale o sojuszu przedsiębiorstwa rolnego, kapitalizmu rolnego z wolnymi zawodami, które nie inteligenckością przyciągają, ale zyskownością, wysokim położeniem w hierarchii najemnictwa kapitalistycznego.

Drugi syn chciał na filozofię. Zmusili na medycynę, bo przecież i brat męża i brat szwagrowej, lekarze, mają samochody i jeżdżą do badów. Tamci zrobili to wcześniej, on zrobi później, ale to samo: będzie handlował ludzkim życiem i śmiercią. To też po chrześcijańsku naturalnie.

Dwie najstarsze córki wydali zamąż. Trzecia ma ten sam ideał: znaleźć **porządnego i majętnego męża.** 16-letnia Anna prosiła się do seminarium. Nie! Jak nie, „to chciałabym conajmniej poślubić męża z wykształceniem". Najchętniej czyta książki o „szczęściu ludzkim". Tu już ideałem: **rozkosz i wygoda.** 10-letni Alojzy rąbie, jak za panią matka „Chcę być księdzem, bo ksiądz nic nie robi, a ma dużo pieniędzy. Najbardziej mi się podoba Mieszko I, bo zaprowadził chrześcijaństwo w Polsce". Dobrze mówi ten mały. Jakże bez chrześcijaństwa byłby jego tata powszechnie szanowany, a on sam jakżeby zamarzył o plebanii, gdzie się nie pracuje.

I przy tym wszystkim dzieci robotników były zdolne, drobnorolnego również, a kułaka są tępe. To zaobserwował nauczyciel wilkowyjski. Ale tym się na pewno powiedzie. **Klasowo im się powiedzie.** Ot, co...

WNIOSKI

Ten klasowy przegląd rodzin wiejskich ma wymowę. Cóż wobec niego znaczy uczona formuła: „prymat grupy rodzinnej nad jednostką to podstawowy rys tej struktury"? Rodzina była przed i będzie po kapitalizmie. Nie ona, a ją formował kapitalizm i z tej formacji dziś ją dziedziczymy. W naszych portretach widać końcowe stadium organizacji rodziny na parceli. Gospodarka towarowa uczyniła, że właśnie już w łonie rodziny (chłopskiej) musiały zaistnieć **stosunki przedsiębiorstwa:** podział pracy i umiejętności, podział w hierarchii uprawnień własnościowych do dóbr parceli.

W rodzinach oglądamy klasowe specjalizacje. U biedoty i małorolnych typ pracownika rolnego niekwalifikowanego do obsługi rodzin klasowo wyżej postawionych (ekonomicznie). U mocniejszych drobno-rolnych i średniaków umiejętności produkcyjne częściowe, zakresowe. U kułaków umiejętności zarządzania przedsiębiorstwem wyspecjalizowanym.

W rodzinach hodował się i rozwijał ideał bogactwa i zysku osobistego. Na dołach wiejskich uosabiał on życie przeciwstawne nędzy. U średniaków, a bardziej jeszcze kułaków, normalne uczestniczenie w sferze drobno - kapitalistycznego posiadania i przywłaszczania.

Groźną wymowę ma potęgujące się odspołecznienie rodzin w gromadzie wiejskiej, zarówno w przekroju pionowym - klasowym, jak i poziomym wewnątrz klasowym. Stan ten potwierdza konsekwencje społeczno - ekonomiczne, jakich doczekać musiała się polska wieś w kraju nieuprzemysłowionym, z reliktami społeczno - gospodarczymi feudalizmu, w kraju półkolonialnym, poddanym penetracji kapitalizmu imperialnego. Kapitalizm nie wyprowadził chłopów ze wsi, nie dał rolnikom pomyślności. Rodzina chłopska, wiążąca się od stulecia blisko z parcelą lub jej mitem odbyła równoległe tragiczne dzieje parceli — prywatnego przedsiębiorstwa drobno - towarowego, tragiczne dzieje nadziei i zawodów na zrealizowanie „mitu parceli".

„Wolna gra sił" i indywidualne osiągnięcie lepszego losu odizolowały właścicieli parcel od siebie, odizolowały bezrolnych od gospodarzy. Rodzina miała spełnić tę funkcję **odspołeczniania** w starym pokoleniu, a wychowawczą wobec młodzieży. Spełniał się liberalny wzór życia. Rosły zasieki nieufności i zawiści sąsiedzkiej. Rosły: osamotnienie i bezradność gospodarcza od średniorolnych poczynając w dół. Rodzina, stróż i wykonawca tej polityki, zamykała się coraz **ściślej w sobie,** coraz bardziej odsłaniając wewnątrz **swą niemoc wobec potrzeb i przyszłości dzieci.**

Nasze portrety rodzin chłopskich sprzed 20 laty mówią wyraźnie o **konflikcie** jawnym, zapalnym i nieuleczalnym, jaki **wyrósł pomiędzy parcelą lub jej mitem a rodziną chłopską.**

To co ma i powinno przetrwać, to rodzina. Po zniesieniu pańszczyzny postawiła ona parcelę i drobno-towarową produkcję indywidualno-kapitalistyczną. Epoka kapitalizmu przyniosła masom chłopskim rozczarowanie, utrwaliła je w nędzy, ciemnocie i społecznej nicości.

Wchodzimy w okres, kiedy rodzina chłopska **musi dokonać rewizji** wobec swojego utrwalonego tradycją wielu dziesięcioleci związku z parcelą. Idzie bowiem o los rodziny, o jej życie i przyszłość. W praktyce oddawna musiała rodzina rezygnować z wiązania swego losu z ziemią i prywatnym jej posiadaniem. Prawie wszystkie dzieci poza przeznaczonymi na dziedzictwo stawały przed koniecznością szukania innych zawodów, w ogólności przed losem najemnictwa. Głównym problemem rodziny (nie „gospodarza") stawała się przyszłość tych 5—7 dzieci, skazanych na wywłaszczenie. Tylko średniacy, a z całą pewnością kułacy, mieli otwartą drogę na wypchnięcie swych dzieci na wyższy szczebel drabiny kapitalistycznej, na wyspecjalizowane najemnictwo wyższych zawodów.

Kułacy, jako drobni kapitaliści i jako rodzice w sferze polityki wychowawczej podtrzymywali i rozbudowywali stron kapitalistycznego ustroju poza wsią.

W walce klasowej na wsi trzeba nam odwołać się do powszechnego konfliktu między rodziną a parcelą i jej mitem. W gospodarce dziedziczno-prywatnej nie jest bowiem zainteresowana większość dzieci. Przed nią stoją dwie drogi — wielkiego przemysłu narodowego i wielkiej przebudowy w technice i organizacji pracy rolniczej na wsi, i druga droga otwiera perspektywy przed rodziną chłopską. I jedna i druga wiąże rodzinę chłopską z drogą Polski Ludowej do socjalizmu.

Dlatego **dziś sprawa szkoły na wsi i organizacji młodzieżowej** to sprawa **rozstrzygającej politycznej wagi!**

Jan Aleksander Król

Polityka w interesie mas chłopskich

„Źródłem siły stanie się dla nas krytyka i wskazania źródeł oszukańczej teorii, która głosiła, że drobny rolnik na swym drobnym kawałku gruntu jest na zawsze ubezpieczony i jest panem swojego losu".

V-premier **A. Korzycki** (Sekretarz Generalny S. L. na Radzie Naczelnej S. L.).

W dniu 2 i 3 października odbyła się Rada Naczelna Stronnictwa Ludowego. Ma ona znaczenie historyczne. Po raz pierwszy bowiem bodaj w ruchu ludowym określona została teoretycznie i politycznie droga mas chłopskich zgodnie z drogą rzeczywistych potrzeb i zmagań się tych mas w epoce kapitalizmu i dzisiaj jeszcze, w warunkach zachowujących na wsi drobno - towarową bazę produkcji kapitalistycznej. Bo jeszcze i dziś (tzn. w ciągu ubiegłych 4 lat), jak mówił na Radzie **marszałek Kowalski** „fałszywa linia, która dopiero przed kilku tygodniami obalona została deklaracjami KC PPR i NKW. SL-u w dużym stopniu sparaliżowała aktywność mało i średnio - rolnych chłopów na rzecz bogaczy... I my dopiero obecnie mówimy chłopu mało i średnio-rolnemu o jego prawach w Polsce Ludowej gdy tymczasem bogacze od dawna narzucili mu się na przewodników... I dlatego, gdy dla **wyplenienia ze wsi wyzysku,** a równocześnie dla **stworzenia rzeczywistego dobrobytu** rzuciliśmy hasło spółdzielczości produkcyjnej, wróg mówi chłopom, że rząd chce ich pozbawić kawałka ziemi, który mają i przedstawia spółdzielczość w najgorszych barwach.

Lecz nie mówi się o tym, że BĘDZIE TO FORMA DOBROWOLNA. Że chłopi sami będą tą spółdzielnią zarządzać. Że prócz ogólnego dobra, które też zresztą będzie ich własnością, będą mieć własne domy, ogrody, inwentarz. Że pola będą uprawiać maszynami co dą wyższe plony. Że uwolni się dzieci od pasania bydła, zmniejszy się ilość godzin pracy w rolnictwie. Że w tej spółdzielczości można będzie zwiększyć plon i hodowlę, a więc i dochód. Że wszystko co urośnie i co się wyhoduje, będzie własnością chłopów. Że zarząd będą wybierać sami spośród siebie i ten zarząd mogą w każdej chwili zmienić. Że wszystkim będzie lepiej i łatwiej żyć.

Tego się nie mówi. Nie mówi się też, że w takiej wsi spółdzielczej rozwinie się życie kulturalne, ani tego, że hasło spółdzielni produkcyjnych było przez samych chłopów wysuwane jeszcze w ubiegłym stuleciu, aż do Witosowego rozłamu i opanowania małopolskiego SL przez bogatych chłopów, którzy położyli temu hasłu kres".

W najbliższej przyszłości oczekiwać możemy zjednoczenia ruchu ludowego (SL-u i PSL-u). Jedność polityczna nie powstanie dziś na kompromisie i mechanicznym sumowaniu się w imię „solidaryzmu społecznego", co miało miejsce przed wojną (r. 1931), kiedy ruch ludowy zlał się oficjalnie w jedno Stronnictwo Ludowe. Marszałek Kowalski określił podstawę jedności chłopskiej jako jedności: biedoty, drobno i średniorolnych. O tym mówił szeroko v-premier Korzycki:

„Źródłem siły stanie się dla mas gruntowana KRYTYKA TEORII O RZEKOMEJ JEDNOLITOŚCI WSI, która przecież dzieli się na olbrzymią masę biednych i średniorolnych, uczciwie pracujących i z trudem zdobywających swój chleb oraz na garstkę bogaczy, mam na myśli garstkę chłopskich kapitalistów, przywykłych do wyzysku nie tylko parobka ale i mniej zamożnego sąsiada, trzymających przed wojną z plebanią i dworem, szachrujących dziś do spółki z miejskimi spekulantami, rozsiewających na wsi wszystkie plotki wrogiej zagranicznej propagandy, odbierającej chłopu spokój i chęć do pracy".

Taka jednolitość polityczna Ruchu Ludowego stanowi rzeczywistą gwarancję jednolitości wsi i ruchu ludowego z klasą robotniczą i Partią Robotniczą. Jest to podstawa dla czegoś więcej niż sojuszu, podstawa dla rzeczywistej jednolitości ustrojowej Polski Ludowej, do której wiódł i wiedzie rewolucyjny ruch proletariatu.

Na obradach Rady Naczelnej SL-u znalazło się tyle ważnych zagadnień społeczno-politycznych i praktyczno - organizacyjnych, że do szerszego ich omówienia jeszcze powrócimy.

p.ch.

Zdzisław Skwarczyński

Co się stało z „Antkiem"

„Może spotkacie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć. W jego oczach zobaczycie jakby odblask nieba, które przegląda się w powierzchni spokojnych wód: w jego myślach poznacie naiwną prostotę, a w sercu tajemną i prawie bezświadomą miłość. Wówczas podajcie rękę pomocy temu dziecku. Będzie to nasz mały brat, Antek, któremu w rodzinnej wsi stało się już ciasno, więc wyszedł w świat, oddając się w opiekę Bogu i dobrym ludziom".

Tak zakończył swą nowelę napisaną w r. 1881 autor „Antka", Bolesław Prus.

Dziś, choć solidaryzujemy się z poglądem Prusa na społeczne zadania literatury, trudno nam podzielać jego beztroskę i optymizm zdający dalszy los małego bohatera noweli w ręce „bogobojnych i dobrych ludzi".



Bolesław Prus

Zresztą, gdzież wówczas szukać owych dobrych i bogobojnych ludzi skoro nie było ich na wsi, której patronowały dwór i plebania. Czy śród ówczesnych kapitanów przemysłu potrzebującego nie prostoty i miłości, ale tanich rąk roboczych? Ciekawi nas rzeczywisty los zdolnych Antków i podobnych synów chłopskich, emigrujących wtedy z musu do miasta dla zarobku lub nauki. Ciekawi nas, **przez jakie realne siły społeczne byłby dalszy bieg ich życia kształtowany.**

Na te pytania mogłaby nam odpowiedziec z całą ścisłością historia, ale my pragniemy zostać w kręgu dzieł literackich, bo w histroii zginęłaby nam z oczu mała postać syna chłopskiego wędrującego do miasta, jego los zredukowałby się do formuł ujmujących czasy i ludzi w konieczne schematy, a zawiła ścieżka jego życia wyprostowałaby się niemal nieprawdopodobnie. Wolimy raczej — na ile się to da—odczytać historię z powieści, choć zdajemy sobie sprawę, że utwór literacki jest zawodny jako źródło historyczne. Jest to bowiem jedynie jeden z wielu dokumentów i to dokument wieloznaczny, o swoistej dialektyce, składający się conajmniej w tej samej mierze ze stwierdzeń co i propozycji.

Pewnego rodzaju usprawiedliwieniem metodycznym niechaj będzie fakt, że literatura niejednokrotnie świadomie nie stroniła od bezpośredniego wypowiadania się w sprawach społecznych, a wielekroć w ciągu rozwoju przystosowując swe sposoby wypowiadania się do owych potrzeb, robiła to dostatecznie naiwnie i prostodusznie, żeby można było łatwo rozeznać się, co jest w niej opisem rzeczywistości, a co życzeniem autora. Chodzi nam tu szczególnie o powieść, nowożytny rodzaj literacki wykazujący chyba najmniej w rozwoju dawnej literatury znamion „czystości" literackiej w tradycyjnym sensie.

„Problem Antka", będący jedynie skromnym epizodem w twórczości Prusa obszerniej został potraktowany przez innego pozytywistę, pozytywistę galicyjskiego, (autora omawianych na łamach „Wsi" **„Pańskich dziadów"**) — Michała Bałuckiego w powieści **„Byle wyżej"**. Napisał ją w r. 1874. Pierwszeństwo Bałuckiego w podjęciu tej doniosłej kwestii odpowiada wcześniej dokonującym się przemianom polityczno-społecznym w życiu Galicji. Jak powszechnie wiadomo datą przełomową w stosunkach wiejskich tej części cesarstwa Habsburgów był rok 1848, który przyniósł chłopom uwłaszczenie i uwolnienie od pańszczyzny. Data ta może właśnie posłużyć jako terminus a quo dla wydarzeń powieściowych rozgrywających się w drobnomieszczańskim środowisku krakowskim. Jedyną datą historyczną w tej powieści jest rok 1859, rok pamiętny przegraną Austrii w wojnie z Włochami i Francją, ale dla odtwarzanego środowiska drobnomieszczańskiego doniosły z całkiem innych powodów, bardziej zrozumiałych w tej sferze.

Centralną sprawą powieści Bałuckiego jest zagadnienie aktualne na tle dokonywujących się przesunięć społecznych, zagadnienie awansu społecznego. Rozłamane jest ono jakby na dwa człony, rozgraniczone w powieści losami dwu pokoleń drobnomieszczańskich. Z członem pierwszym spleciona jest właśnie „sprawa Antka". Całość można ująć w formułę **awansu syna chłopskiego do drobnomieszczaństwa i perspektyw dalszego awansu dla jego dzieci.**

Mówiąc o aktualności zagadnienia awansu społecznego na tle dokonujących się przesunięć społecznych miałem na myśli nie typowość i powszechność tych procesów, ale wyraźnie rysującą się ówcześnie ich możliwość, pierwsze jaskółki tych przesunięć.

W tym sensie powieść może raczej świadczyć o przelotności dróg, na jakich awans najruchliwszych i najzdolniejszych mógł się dokonywać w ówczesnych stosunkach społecznych, o szansach, jakie dawał ustrój społeczny chłopu.

Anonimowe społeczeństwo ludzi dobrych, do którego apelował Prus w Kongresówce, zostało przez galicyjskiego pisarza bardzo precyzyjnie zarysowane. Dlatego też w stosunkowo suchej relacji o Jędrzeju Dylu, synu dworskiego stróża, emigrującym do miasta wyczuwamy więcej pasji społecznikowskiej niż u Prusa.

Ale posłuchajmy tej relacji.

„Jako dwunastoletni chłopak, przyszedł do Krakowa boso i obdarty, bez świadectwa i metryki, i zaciągnął się najprzód do murarzy, którym cegły podawał i wapno nosił. Na zimę, gdy roboty murarskie ustały, puścił się na żebraninę, a potem wprosił się na posługacza do jakichś akademików. W kamienicy, w której panowie mieszkali, był stolarz, jeden z pierwszych stolarzy krakowskich, a że obsługiwanie ubogich studentów nie wiele zabierało czasu, więc mały Jędrek w chwilach wolnych schodził do warsztatu, przyglądał się robotom stolarskim, odnosił wraz z chłopcami z terminu robotę do domów, posłużył czasem pani majstrowej w kuchni, pomagał gotować klej, heblować deski i tak jakoś wkręcił się nieznacznie do warsztatu, ujął sobie pana majstra Tatarkiewicza, zyskał łaski pani majstrowej, że wkrótce stał się jakby domownikiem. Pozwolono mu sypiać na wiorach w warsztacie i nie żałowali łyżki strawy, a że chłopiec okazywał wiele sprytu i chęci do roboty, więc pan Tatarkiewicz zdecydował się przyjąć go na stałego terminatora i zapisać do cechu. Były w tym względzie niemałe trudności, bo chłopak był bez świadectw i metryki, po prostu jakby z kamienia wyrosły, i nic pewnego nie można się było dowiedzieć o jego rodzinie, ani o miejscu urodzenia. Mówił, że ojca nie pamięta, że z matką włóczył się po świecie o żebranym chlebie, póki nie umarła w szpitalu, że potem wałęsał się sam tu i ówdzie, aż doszedł do Krakowa. Trudno było sprawdzić wiarogodność tych niejasnych zeznań, z których niepodobna było nic pewnego się dowiedzieć o rodzinnych stosunkach i miejscu urodzenia, i to było nie małą przeszkodą w przyjęciu chłopca do cechu. Ale że pan Tatarkiewicz był podstarszym cechu stolarskiego i umiał, jak to mówią czapką i papką jednać sobie życzliwość ludzi, więc trudności te jakoś pominięto i Jędrzej Dyl, jako sierota, zapisanym został w listę terminatorów.

Trzeba było pożegnać się z panami akademikami. Ale, zrzekłszy się oficjalnej obsługi, Jędruś umiał zawsze znaleźć trochę czasu, by dawnym swoim panom czy wody przynieść, czy po tytoń lub bułki skoczyć do miasta, a za to wyprosił sobie u nich, że go wieczorami uczyli czytać i pisać. Miał on wielką ciekawość do książek i zaledwie poduczył się trochę składać litery, wnet z zapałem jął się do czytania; czytał, co mu wpadło pod rękę; lada kawałek zadrukowanego papieru, znaleziony na drodze, brał do kieszeni i wieczorami, przy łojowym ogarku lub lampce, którą co piątek palono w warsztacie przed obrazem Serca Jezusowego, męczył się nad odczytywaniem znalezionego świstka, wprawiając się w ten sposób co raz więcej w czytanie. A gdy te głośne ćwiczenia nie dawały spać jego towarzyszom i pan majster sam krzywo się parzył na te nocne ślęczenia chłopca, zakazał mu tego stanowczo; więc Jędrek w sekrecie przeniósł się dla dalszego kształcenia się do kuchni, gdzie kucharce odczytywał z sennika wyjaśnienia snów, przepowiednie z planet i numera, a następnie żywot świętej Genowefy i inne ciekawe książki, którym ona przysłuchiwała się z wielkim zajęciem i chętnie podejmowała na siebie koszta oświetlenia rurkowaną świecą tej nocnej czytelni, jako też wypożyczania coraz nowych książek, przy czym lektorowi za fatygę dostały się nieraz smaczne jakieś resztki z obiadu, a często: trojak na pierniki. Zamiast pierników, Jędruś kupował sobie papier i ołówki i kreślił z wielką pilnością litery. Z początku były to dziwolągi krzywe i niezdarne, ale powoli oko i ręka coraz więcej nabywały wprawy i z czasem wcale nieźle wyuczył sie stawiać litery, a nawet od biedy mógł i list napisać. Pierwsze próby udały sie nadspodziewanie i odtąd niepiśmienna czeladź warsztatowa używała Jędrusia do koncypowania i pisania listów do rodziny, powinszowań, a nawet oświadczyn miłosnych, za co zyskiwał nie tylko trojaki, ale i względy wielkie. Przypuszczano go do delikatniejszych robót, pokazywano chętnie, jak co robić należy, jak obchodzić się z różnymi narzędziami, dawano mu dla wprawy kawałki do samodzielnego wyrobienia, i w ten sposób, przy wrodzonych zdolnościach i pilności, nauka jego postępowała szybko. Po dwóch latach umiał już tyle prawie, ile czeladnik umieć był powinien.

Pan Tatarkiewicz jednak nie śpieszył się z wyzwolinami, raz dlatego, że Jędruś był mu bardzo przydatny w warsztacie, nie miał więc ochoty pozbywać się takiego robotnika, który bezpłatnie robił mu to, co każdy czeladnik, a powtóre, że Jędruś był jeszcze bardzo młody i nie wysłużył lat, przepisanych ustawami cechowymi. W dowód jednak łaski swojej pozwolił mu uczęszczać na wieczorne rysunki, przeznaczone dla rzemieślników, gdyż Jędruś do tego wielką zawsze okazywał ochotę. Utalentowany chłopak umiał korzystać z tego pozwolenia; z zapałem wziął się do nauk i po roku rysunki jego budziły podziw w warsztacie. Były to rysunki tyczące się fachu stolarskiego, jako to: ozdoby i narożniki, modele różnych mebli i fornierów. Rysunki te umiał Jędruś równie zgrabnie wykonywać na drzewie i prześcignął w tym najlepszych czeladników. Odtąd jemu oddawano najtrudniejsze roboty ornamentowe.

Nadszedł nareszcie czas, w którym pan Tatarkiewicz nie mógł już dłużej zwlekać wyzwolin Jędrusia bez narażenia się na obmowy i złe domysły. Egzamin ucznia nie tylko zadowolił, ale w zdumienie wprawił cechowych, toteż w liście wyzwolin, po słowach: „wzmiankowanego młodzieńca uwalniamy" dopisano mu chlubne pochwały, pomimo że to nie było w zwyczaju, a jeden z cechowych zrobił wniosek, że warto by tak zdolnego ucznia wysłać za granicę dla dalszego kształcenia się kosztem cechu, ku czemu był osobny fundusz, w ladzie cechowej odkładany. Ale wniosek ten nie utrzymał się, bo pan Tatarkiewicz starał się od kilku miesięcy o to stypendium dla krewnego swej żony i miał już słowo kilku majstrów, że go w tym będą popierać, co się też rzeczywiście stało".

Takie są granice patronatu dobrych ludzi nad zdolnymi chłopcami wiejskimi.

Stosunkowo gładki szlak awansu społecznego syna dworskiego stróża, który wzgardziwszy karjerą folwarcznego parobka uporczywie przebija się przez życie rozwijając swoje uzdolnienie, załamując się. Jędrek nie ma „w myślach naiwnej prostoty, a w sercu tajemnej i prawie bezświadomej miłości" Antka. Zna dobrze swoją wartość, wie dobrze co potrafi i odrzucenie jego kandydatury do cechowego stypendium na wyjazd za granicę uważa za policzek wymierzony słuszności i sprawiedliwości. Dufny w zdobyte kwalifikacje lekceważy ceremonie wyzwolin i porzuca warsztat p. Tatarkiewicza wbrew ustawom cechowym", które wyraźnie nakazywały, że czeladnik najmniej cztery tygodnie obowiązany jest pracować u majstra, który go wyzwolił". W ten sposób wchodzi w zatarg z cechem, a więc instytucją rozstrzygającą o losie rzemieślnika.

„Odtąd życie jego było nieustanną walką z ustawami cechowymi, do których hardy umysł zastosować się nie chciał i nie mógł. Żaden bowiem z majstrów, bez obrażania cechów i narażenia się nie mógł go przyjąć do swego warsztatu, dopóki formalności przepisanych ustawami, nie dopełnił, a że tego ustępstwa zrobić nie chciał, więc, mimo zdolności i pracy, został bez zajęcia i czeladź nie przyjęła go do swego grona".

Nie pozostawało mu tedy nic innego, jak opuścić Kraków i udać się na wędrówkę. Była to wędrówka nielegalna, odbywał ją nie jako członek cechu i gospody nie były obowiązane dawać mu przytułku ani roboty, bo wędrował bez świadectw, bez tak zwanego kundszaftu, t. j. książeczki czeladnej i przez cechy uważany był za prostego włóczęgę. Pracował więc tylko po fabrykach, które za granicą już powoli oswobadzały się od zależności cechowej i nie przestrzegały tak bardzo tych formalności. Przebył w ten sposób kilka lat za granicą i skorzystał pod względem fachowego wykształcenia daleko więcej, niż gdyby był pracował po małych warsztatach majstrów. Mimo to, za powrotem do kraju nie mógł znaleźć żadnego zatrudnienia dla siebie, cechowi go przyjąć nie chcieli, a policja zabroniła mu przebywać w mieście i podejmować roboty bez pozwolenia cechu. Był więc zmuszony wyjechać na wieś i po dworach i plebaniach, lub małych miasteczkach szukać zajęcia lub utrzymania.

Jeśli nie pozostał za granicą, gdzie miał przecie wcale nieźle utrzymanie — to jedynie ze względu na niezłomną chęć toczenia aż do zwycięstwa walki z anachroniczną istytucją. Ale, acz wielu w głębi ducha uznawało, że instytucja cechu jest spróchniała i przestarzała i że ustawy jej, ułożone ongiś dla popierania rzemiosła i przemysłu, obecnie tamują i krępują ich rozwój, nikt nie śmiał przeciw cechom wystąpić i walczącego poprzeć. Ciążyło tedy na Dylu średniowieczne przekleństwo pokątnego „partacza".

Autor, choć z sympatią przedstawia walkę Jędrzeja Dyla z cechem, jest mniej bezkompromisowy, a nawet ma za złe bohaterowi brak skrupułów w doborze środków, które mają zapewnić mu i pozycję społeczną i ostateczne zwycięstwo. W owym czasie wypróbowanym sposobem zohydzenia bohatera w powieści było uczynienie go łowcą posagowym. Wprawdzie wybrana Dyla nie bardzo nadawała się na „romansową ofiarę", a i sfera, w której rzecz się dzieje, niezbyt temu sprzyjała, ale zarzut pozostał zarzutem, by zaś go wzmocnić autor pozbawił i pożycie małżeńskie Dyla słodyczy miłości, a za to zaprawił jadem zawodu. Dziwnie co prawda wygląda, że bohater oschły, obojętny dla żony zdobywa się na bezgraniczne poświęcenie dla dzieci. Jeśli w tym jest niekonsekwencja charakterologiczna — potrzebne to będzie jak się okaże autorowi, by pogrążyć Jędrzeja Dyla ostatecznie w oczach czytelnika. To będzie źródło zguby rodziny Dylskich.

Dzieci, których Dylski miał troje, „rozbudziły w nim" nowe pragnienia, które szły o wiele wyżej niż wszystkie dotychczasowe jego marzenia i nadzieje. Powiedział sobie, że dzieci jego muszą zrobić świetny los, muszą wyjść wysoko i odtąd żył tylko dla tej myśli i pracował w pocie czoła nad jej urzeczywistnieniem. Wszystko dla dzieci i wszystko przez dzieci, to był program jego życia i oddał się temu cały z namiętnością i energią. Zapomniał o własnych potrzebach, o własnym zdrowiu, pracował prawie nad siły, byle tylko zarobić jak najwięcej pieniędzy dla dzieci, dla kształcenia się ich i wykierowania, jak mówił, na ludzi".

—...„Oni muszą być panami, muszą dobić się stanowiska wysokiego. Dlatego — powiada — pracuję jak koń i pracować będę jeszcze drugie tyle, jeżeli tego będzie potrzeba, byle tylko moje dzieci doszły tam, gdzie ja nie mogłem, bo mi brakowało nauki, brakowało mi wszystkiego".

Heroizm Dylskiego, poświęcającego wszystko byle dzieciom utorować drogę wyżej, na pewno nie jest heroizmem klasy, do której Dylski obecnie należy. Drobnomieszczaństwo nie imponuje mu i dlatego poświęca siebie, żeby dzieci mogły przedrzeć się przez nie. One wezmą pomstę za jego zmarnowany żywot.

„Zrobiłem ja majstersztyk — powiada w innym miejscu Dylski — na jaki się u was żaden nie zdobędzie, bo wychowałem moje dzieci... I tego dokazał prosty czeladnik, podczas gdy niejednego majstra dzieci biegają boso po ulicy i czytać nie umieją.

Przyjdzie jeszcze do tego, że razem z naszymi cechami skapiejecie marnie i pójdziecie na dziadów, a my pójdziemy górą".

Jak sobie Dylski wyobraża zwycięstwo — to już inna sprawa i trzeba będzie oddzielnie o tym wspomnieć.

W tej chwili uwikłany jest w walkę z cechami, walkę o egzystencję dla siebie i przede wszystkim dla dzieci. Konieczność posyłania dzieci do szkół: jednego z synów do gimnazjum, drugiego zaś na uniwersytet zmuszają go do powrotu do Krakowa, a nawet skłaniają do ukorzenia się przed cechem. Ale zgoda z cechem poza możnością uprawiania rzemiosła w mieście nie opłaca się ekonomicznie. Cechowe stawki płacy nie odpowiadają ani kwalifikacjom Dylskiego ani też potrzebom jego rodziny.

Chcąc wyzwolić się z tej niewygodnej zależności ulega mimo woli potężniejszym od cechów siłom ekonomicznym. Sam nie potrafi obejść prawa strzegącego przywilejów cechowych do uprawiania rzemiosła w obrębie miasta, nie rozporządza również kapitałem, który by mu to umożliwił. Tak więc, jak to zazwyczaj bywało, staje się niewolnikiem nakładcy dysponującego poważniejszymi kapitałami, nakładcy po lichwiarsku wyzyskującego swą przewagę finansową, usprawiedliwiając to koniecznością łapówek dla policji.



Michał Bałucki

Gdy w r. 1859 ukazuje się ustawa zezwalająca na uprawianie rzemiosła za patentem Dylski nie wątpił, że zbliża się chwila jego triumfu.

„Ale zawiódł się w oczekiwaniu: wytrwałość jego miała być jeszcze narażona na ciężkie próby, tym cięższe, że przychodziły tak niespodzianie i to stamtąd, skąd zdawało się uśmiechać mu samo szczęście. Nowa ustawa przemysłowa, którą Dylski uważał za źródło swojej pomyślności i triumfu, miała także swoje ciemne strony, które z czasem więcej się uwydatniły, otwierając bowiem szerokie pole konkurencji, zniżyła wartość produkcji, fabryki zasypały magazyny mebli swoimi wyrobami, przez co coraz mniej potrzebowano wyrobów warsztatowych lub płacono za nie nadzwyczaj mało. Do tego jeszcze czeladnicy, którzy dotąd pracowali w warsztacie Dylskiego, teraz, przy zwolniałym ry-

gorze ustaw cechowych, poczęli także pracować na własną rękę, czego im nowa ustawa wcale nie wzbraniała". „Dawid Mendel (nakładca Dylskiego) sprowadzał (teraz) wiedeńskie meble, a Dylskiemu ofiarowywał tylko same reperacje i to za lichym wynagrodzeniem".

Bałucki z podziwu godną precyzją obserwuje i chwyta zjawiska ekonomiczne wchodzące w obręb jego powieści. Jakkolwiek wyraźnie o tym nie mówi, by nie obciążać zbytnio fikcji powieściowej materiałem dyskursywnym — to przecie zupełnie niedwuznacznie otwiera perspektywy na wszystko, co stanowi sedno przemian. Obserwacja ich pod kątem poglądów zbuntowanego przeciw cechom czeladnika nie przeszkadza mu w dyskretny sposób ukazać główne siły działające.

To nie rzemieślnicy typu Dylskiego wywalczyli nową ustawę z r. 1859 i nie o nich chodziło ustawodawcy. Nie oni mieli odnieść z niej korzyści.

O cóż było walczyć? O pozycję drobnego producenta wyzwolonego z więzów cechowych normujących płace i zarobki, o pozycję drobnego kapitalisty in spe.

I to gdzie? W prowincji, której podział klasowy przewidywał tylko chłopów i hrabiów, w prowincji cierpiącej na chroniczny brak kapitałów, w prowincji przeznaczonej do roli półkolonijnego rynku zbytu dla szybko kapitalizujących się innych części monarchii Habsburgów.

W imię czego? W imię hasła wolnej konkurencji, wtedy gdy kapitały wiedeńskich fabryk mebli wypierają już z pola walki za jednym zamachem cechy średniowieczne i swych protagonistów w rozwoju produkcji kapitalistycznej, a więc drobnych producentów oraz drobnych nakładowców, choćby ich produkcja była jakościowo lepsza.

Oto szansa, jaką daje najwartościowszym spośród emigrujących ze wsi do miast chłopom ustrój społeczny zależności gospodarczej i zapóźnienia. Nie masz bowiem w kapitaliźmie innych perspektyw dla słabszych.

Zdzisław Skwarczyński

Jan Dąbrowski

OBRADY HISTORYKÓW

Nie ulega wątpliwości, że na charakterze i treści Zjazdu Wrocławskiego wycisnęło się piętno potrzeb chwili. Zdawali sobie dobrze sprawę z tego i sami organizatorowie, co więcej, świadomie zjazd o takim zwłaszcza charakterze zwołali. Przedsięwzięcie nie było łatwe. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że po pierwszej wojnie światowej, której skutków w stosunku do polskiego świata naukowego, a w szczególności historycznego, ani w przybliżeniu porównywać nie można z krwawymi rządami wroga w czasie drugiej wojny światowej, jeśli, powtarzam, po pierwszej wojnie światowej czekać trzeba było do roku 1925 ze zwołaniem zjazdu historyków polskich, to zwołanie go w roku bieżącym uznać należy za dość rychłe. A jednak wszyscy czuliśmy, że zwlekać z nim nie można, że tempo odbudowy życia nauki w Polsce nie pozwala nam czekać, aż wszystkie działy rozległego u nas — na szczęście — wachlarza badań historycznych osiągną pożądany rytm pracy.

Należało myśleć o tych, które już szły naprzód, nie czekając na ustalanie dla nich norm. Trudno było oczywiście pominąć milczeniem 100-lecie „Wiosny Ludów" i cały ruch badawczy jaki ono wywołało, a w każdym razie ożywiło. Zjazdy historyków miały zresztą od dawna tradycję wiązania się z wielkimi datami historycznymi, ostatnio na przykład zjazd w r. 1925 z koronacją Chrobrego, zjazd 1930 r. z powstaniem listopadowym. Wszelako nie o samą rocznicę tu chodziło. Szło tu o całą epokę najnowszą, w której tkwią początki społecznych, gospodarczych i kulturalnych zmian, prowadzących do rzeczywistości chwili dzisiejszej. W odniesieniu do Polski — nazwaliśmy to kwestią genezy współczesnego państwa i społeczeństwa polskiego. Rzecz prosta, że w obrębie dwudziestu kilku referatów, poświęconych ogółem temu zagadnieniu, referatów w części o bardzo specjalnym charakterze, nie można było całej tej rozległej sfery naszych badań historycznych wyczerpująco omówić. Co więcej, wielu spraw pierwszorzędnego znaczenia nie można było nawet gruntownie poruszyć. Obrady zjazdu dowiodły, że zagadnienia te nie tylko są żywe, nie tylko wywołują silne zainteresowanie w świecie historycznym, ale co więcej, że mamy do nich — nie mówiąc już o zbiorach zagranicznych — niemałe ilości niezbadanego jeszcze materiału historycznego, że należy starać się o możliwie szybkie szkolenie nowych kadr pracowników naukowych na tym polu. Wydaje mi się, że jeżeli ruch na tym polu pójdzie u nas we właściwym kierunku, dziejopisarstwo nasze w stosunku do epoki porozbiorowej wyjdzie z ciążących nad nim dawniej, zwłaszcza w niektórych okresach badań tej epoki jako epoki rozpatrywanej pod kątem nieudałych a tragicznych porywów niepodległościowych i wygrywanych przez wrogów konfliktów społecznych, a zacznie je rozpatrywać jako epokę niosącą ponad zdruzgotaną przeszłością podstawy nowego życia narodu.

W wielkim skrócie można oczywiście powiedzieć, że epoka rozbiorowa jest nie tylko jedną z najdonioślejszych, ale i najbardziej o żywotności naszego narodu świadczących epok. Naród nie zasnął wśród gruzów politycznego i społecznego porządku dawnej Rzeczypospolitej. Presja wroga potrafiła skomplikować ale nie udaremnić jego wewnętrzne przetworzenie się, otwierające mu drogę do nowej Polski. Historia jednak nie może zadawalać się skrótami ani hasłami. Trzeba to nie tylko powiedzieć, ale udowodnić, trzeba przede wszystkim wykazać jak się to i z jakich źródeł i przez jakie czynniki dokonało, trzeba całą tę epokę naukowo przepracować, jeśli chcemy zrozumieć istotę dzisiejszego stanu rzeczy. Już ten fragment rozumowania wystarcza do postawienia tych badań jako nieodzownego składnika podstawowych zadań w dzisiejszej historiografii polskiej.

Olbrzymie zadania otwarły przed historykami polskimi Ziemie Odzyskane. Nie chodzi tu już o samo badanie ich przeszłości, bo te toczyły się od dawna, zwłaszcza o ile chodzi o Śląsk. Główne centrum wielkich badań naukowych nad Śląskiem w ogóle stworzyła po pierwszej wojnie światowej Polska Akad. Umiejętności, a wśród badań tych jedno z naczelnych miejsc zajęły badania historyczne. Badania te zdystansowały zarówno co do swych metod jak i wyników naukę niemiecką. Badania te są w dalszym ciągu kontynuowane, podobnie jak i prace działającego tak pożytecznie przed wojną Instytutu Śląskiego. Mniejszy, ale również poważny dorobek mieliśmy co do dziejów Prus i Pomorza Zachodniego, gdzie już działał Instytut Bałtycki. Dziś prace te wzmogły się przez akcje innych instytucji naukowych, w szczególności zaś szeroko zakrojone wydawnictwa Instytutu Zachodniego. Ruch badawczy i wydawniczy na polu dziejów Ziem Odzyskanych wzrasta zatem pomyślnie, tak, że wydawałoby się, iż zjazdowi pozostaje co najwyżej przegląd prac dotąd dokonanych i ustalenie wytycznych na przyszłość. Tak się też istotnie stało i obrady Sekcji I. zjazdu poświęcone zagadnieniom Ziem Odzyskanych nie tylko obfitowały w liczne a niejednokrotnie wyborowe referaty, ale także cieszyły się wielkim zainteresowaniem uczestników zjazdu. Jak było do przewidzenia najsilniejsi jesteśmy w tych sprawach na terenie wieków średnich, bardzo wiele zostaje jeszcze do zrobienia, o ile idzie o czasy nowożytne. Dla charakterystyki obrad warto podkreślić, że najważniejsze z ogólnych zagadnień tej kategorii, a mianowicie dzieje stosunków polsko-niemieckich, a w szczególności dzieje ekspansji niemieckiej na ziemie słowiańskie a polskie w szczególności, doczekały się bardzo wyczerpującej dyskusji, także i w sensie metodycznym. Rezultatem jej było silne podkreślanie **konieczności sprowadzenia tych badań na podłoże gospodarcze i społeczne, w dalszej zaś mierze ogólno-kulturalne.** Podkreślano zwłaszcza konieczność powiązania procesu ekspansji niemieckiej ze zmianami ogólno europejskimi.

W pewnym związku z powyższymi kwestiami pozostawały obrazy sekcji dziejów słowiańszczyzny, na której, o ile chodzi o czasy wcześniejsze, główna uwaga skupiła się nad zagadnieniem początków państwa polskiego w oświetleniu historycznym i prehistorycznym. Konieczność powiązania metodycznie badań historycznych i prehistorycznych, jako jedynej drogi mogącej dać nam nowe dane o początkach Państwa Polskiego i czasów je poprzedzających, wystąpiła tu bardzo dobitnie i znalazła swój wyraz w rezolucjach, stwierdzających konieczność wzmożenia akcji wykopaliskowej i badań na polu archeologii historycznej. Podkreślano też konieczność zacieśnienia współpracy z historykami czeskimi, równie jak polscy zainteresowanymi w tych zagadnieniach. W stosunku do innych narodów słowiańskich wysunięto przede wszystkim konieczność badań historyczno-kulturalnych, co najdobitniej wystąpiło w referatach poświęconych sprawom badań stosunków polsko-rosyjskich.

Ten niewątpliwie żywy i postępujący ruch naukowy na polu historii Ziem Odzyskanych zadawalać może jedynie przy powierzchownej ocenie sytuacji. Musimy sobie powiedzieć, że ruch ten zawisnąć będzie musiał w niedługiej przyszłości w próżni, jeżeli do dyspozycji historyków polskich nie zostaną oddane materiały naukowe, decydujące o dalszych możliwościach prowadzenia tych badań. Tyczy to przede wszystkim badań nad czasami nowożytnymi, choć i dla wieków średnich, mimo opublikowania dużej ilości materiałów źródłowych potrzebujemy także archiwaliów. Już dla tej samej sprawy warto byłoby zwołać osobny zjazd. Żeby nie wchodzić w szczegóły trzeba stwierdzić, że Niemcy wywieźli na zachód prawie cały zasób materiałów archiwalnych Ziem Odzyskanych i to zarówno archiwalia tyczące czasów dawniejszych jak i czasów najnowszych. Weźmy dla przykładu archiwalia Prus. Wywieziono więc zarówno archiwum Zakonu Krzyżackiego jak i lennych książąt pruskich oraz wszystkie niemal archiwalia administracyjne, zarówno rządowe jak samorządowe, tak że o szerzej zakrojonych badaniach dziejów Prus i Zakonu Krzyżackiego w obecnym stanie rzeczy nie może na prawdę być mowy. Podobnie przedstawia się sprawa co do Pomorza Zachodniego i w znacznej mierze co do Śląska. Dodajmy do tego fakt, że nawet pewne części dawnego polskiego archiwum koronnego znajdują się w tej chwili jeszcze w rękach niemieckich. Wedle przyjętej powszechnie zasady, że archiwa idą za terytorium, do którego się odnoszą, mamy do tych archiwalii pełne prawo. Chodzi o to, aby je wyegzekwować. Na historykach polskich ciąży oczywisty obowiązek dostarczenia kompetentnym czynnikom państwowym odpowiedniego materiału do prowadzenia tej akcji. Jest to sprawa kardynalnego znaczenia, nie tylko z naukowego punktu widzenia, ale także z punktu widzenia ogólno kulturalnego. Jest to sprawa o wiele ważniejsza niż określenie pewnych szczegółów potrzeb badawczych. Ta właśnie sprawa, sprawa oparcia naszych badań nad dziejami Ziem Odzyskanych o trwały fundament źródłowy, sprawa odzyskania dóbr kulturalnych ziem, które dziś wróciły do Polski była jednym z najważniejszych zagadnień zjazdu i została przez ten zjazd należycie postawiona. Stanowi ona, jak widzimy, dla fachowców, główny dziś problem historycznej pracy nad Ziemiami Odzyskanymi, a jeden z najważniejszych problemów naszej historiografii w ogóle.

Trzecią kwestią zasadniczą obrad zjazdu były zagadnienia metodologiczne. Nie poruszam ich tutaj, bo omawiane są szerzej w innych artykułach. Dość znaczne miejsce zajęły sprawy nauczania historii i historii wychowania. Razem był to program aż nadto obfity na trzy dni obrad zjazdu.

A braki zjazdu? Oczywiście były, i to braki znaczne, ale z góry przez organizatorów zjazdu przewidziane. Nie mówiliśmy o agadnieniach historii powszechnej, histori prawa, kultury umysłowej i kilku innych jeszcze działów, w których niejedno mielibyśmy do powiedzenia. Nie mogliśmy się jednak rozpraszać. Przy obecnym stanie sił oznaczało to przeciążenie pewnych jednostek, a rozproszenie uwagi ogółu. — Jedno i drugie nie wyszłoby na dobre programowi zjazdu. Zjazd byłby się rozmienił na drobne, poruszanie wielkich zagadnień w formie fragmentarycznej nie dałoby realnych wyników. Musimy myśleć o wprowadzeniu tych spraw na warsztat przyszłego zjazdu.

Nie mogę tu jednak pominąć milczeniem jednej z tych spraw i to sprawy bardzo doniosłej, tj. sprawy badań nad dziejami wsi i historią chłopa. Poruszono ją niedawno i to słusznie na łamach „Wsi". Trzeba podkreślić, że jest to jedno z najważniejszych zagadnień, przed którymi stoi nasza historiografia. Bez nakreślenia tych dziejów nie ma mowy o stworzeniu nowego obrazu przeszłości Polski. Jeśli kwestia ta nie znalazła należytego miejsca w obradach zjazdu i była zaledwie urywkowo poruszana — to z tej przyczyny, że wymaga ona szerszego i głębszego przygotowania niż to w tej chwili było możliwe, a zbywanie jej uważaliśmy — chyba słusznie — za co najmniej niewłaściwe.

W czym leżą trudności? Przede wszystkim w braku ludzi i braku publikacji źródłowych. Rzeczy te wiążą się bardzo ściśle ze sobą. Jak szczupłymi siłami rozporządzamy na tym polu widzą wszyscy, którzy się interesują tym zagadnieniem. Aby zaś kształcić młode pokolenie badaczy, trzeba mu dać do rąk odpowiednie materiały. Nie jest też rzeczą łatwą, jak to wskażę poniżej, kształcić początkującego historyka, studenta uniwersytetu, na materiałach rozrzuconych w terenie. To jedno. Ażeby w nich pracować musi on mieć znajomość materiałów klasycznych, że tak powiem, do dziejów wsi, musi je przestudiować pod okiem swego kierownika naukowego. Stąd publikacje materiałów do dziejów wsi, począwszy od ksiąg wiejskich do materiałów natury gospodarczej, trzeba uznać za zasadniczy postulat, jeśli studia nad dziejami wsi i chłopa mają ruszyć z miejsca w szerszej mierze. Sprawa tych wydawnictw jest już obecnie w toku zarówno w PAU jak i innych organizacjach naukowych. Druga ważna sprawa to przekonanie czynników lokalnych o konieczności ochraniania i udostępniania istniejących jeszcze materiałów lokalnych do dziejów wsi. Jakże bowiem wygląda przykładowo badanie dziejów wsi nawet przez miejscowego młodego historyka? Mam z tym ciągle do czynienia. Zgłasza się kandydat, który pragnie napisać pracę magisterską. Doradzam mu, żeby zamiast opracowywania raz jeszcze kwestii poruszonych w wielkiej literaturze naukowej napisał monografię swej wsi lub swego miasteczka. Jakieś materiały na miejscu są — w gminie lub parafii. Zalecam przyjrzenie się im i zebranie informacji o ich stanie i zawartości. Po kilku tygodniach dostaję informacje, że istotnie te materiały się znajdują, czasem w porządku i dostępne, bardzo często jednak znajdują się w stanie pożałowania godnym, a co gorsza niepodobna się do nich dostać. Otóż, przy dobrej woli mogłoby się temu łatwo zaradzić. Trzeba nadto brać pod uwagę, że zadanie młodego początkującego historyka i przy ułatwieniach na miejscu nie jest takie proste. Badania jego poza materiałami, jakimi może dysponować gmina, parafia i księgi metrykalne, objąć muszą jeszcze materiały administracyjne, powiatowe, prawie zawsze archiwalia państwowe, konsystorskie, nieraz i zbiory prywatne. Poza tym musi on umieć zbierać materiały niepisane, musi umieć czytać nie tylko w mapach wsi, ale i w jej obrazie i krajobrazie. Musi umieć rozwiązywać nazwy ról, przysiółków, w ogóle takie czy inne nazwy miejscowe i wyzbywając się powierzchowności rozwiązań często krążących wśród ogółu, wydobywać z nich dane o przeszłości osady. To tylko przykłady, możnaby iść jeszcze dalej. Dają one jednak dostateczne pojęcia o trudnościach, jakie piętrzą się przed młodym historykiem i dowodzą, że raczej trzeba by tutaj kierować lepiej przygotowanych i bardziej doświadczonych pracowników. Trzeba będzie wreszcie stworzyć możliwość publikacji takich drobnych monografii. Mogą one być słabsze lub doskonalsze, ale dadzą one powoli coraz to więcej materiału dla opracowań syntetycznych. Jeśli w parze z tym pójdą wspomniane wyżej publikacje ogólne do badania dziejów chłopa — to postęp w tej dziedzinie będzie stały i wyraźny.

Rzuciłem tutaj tylko kilka uwag niewyczerpujących, rzecz prosta, całego tematu. Musi on być w najbliższym czasie wzięty przez nasze instytucje naukowe na warsztat, co umożliwi stworzenie jasnego i realnego programu, pozwalającego nam na należyte osiągnięcie tego wielkiego dzieła polskiej historiografii.

Jan Marcinek

Uobywatelnienie chłopa przez historię

Autor artykułu jest przedstawicielem starszego pokolenia chłopów, autorem wielkiego poematu pisanego na wzór „Pana Tadeusza": „Straszny rok" obrazującego rok 1848 na wsi. („Wieś" Nr 31 (59) r. 1946). Zamieszczamy jego wypowiedź jako ciąg dalszy chłopskich głosów o historii. Patrz „Wieś" Nr. 38—9 b. r.

Zabierając się do pisania niniejszego artykułu, cofam się myślą w czasy dawno minione, kiedy to w tutejszej okolicy książka powieściowa należała do rzadkości. Do rzadkości należeli też i chłopi umiejący płynnie czytać i jako tako napisać. I nic dziwnego, gdy się zważy, że w całej wielkiej parafii istniała jedna szkoła, w której zatrudniony był tylko jeden nauczyciel, a przymus szkolny nie był wcale przestrzegany. Kto chciał chodzić do szkoły, to chodził, a kto nie chciał chodzić, bez tego się obeszło. Toteż rzadko się zdarzało, by który z chłopów pochwalił się, że pełne 6 lat do szkoły uczęszczał.

A jednak w owych czasach ludzie byli o wiele ciekawsi i bardziej nęciła ich książka od ludzi dzisiejszego pokolenia. Ale cóż mieli czytać? Oprócz „Żywotów Świętych", „Proroctwa Królowej ze Saby", „Historii o siedmiu mędrcach", „Senników Egipskich", innych książek nie było. Tymczasem ciekawość u chłopów coraz bardziej wzrastała, i nie mogły jej już zaspokoić, wymienione książki.

W tym to czasie pojawiły się w tutejszej okolicy powieści Henryka Sienkiewicza i zrobiły piorunujące wrażenie. Mężczyźni i kobiety schodzili się wieczorami i nieraz po całych nocach słuchali tak ciekawie czytającego, że rzadko zdarzało się, by ktoś zadrzemał, a tak byli przejęci fabułą powieści, że ani jednemu nie przeszło przez myśl, by to, co słyszeli nie polegało na prawdzie. Również i „Pan Tadeusz" Adama Mickiewicza zaciekawiał i rozkoszował swoją barwą i prostotą chłopów. Nawet podówczas wielu było takich, którzy potrafili ważniejsze fragmenty z „Pana Tadeusza" recytować z pamięci.

Chociaż chłop z natury wrażliwy na piękno poezji, przenosił się myślą w owe czasy, to jednak wobec bohaterów powieści Sienkiewicza i bohaterów z „Pana Tadeusza" czuł się niejako upokorzony i rozżalony, że tym bohaterom on, chłop, dorównać i sprostać nie może. Często dało się słyszeć pod adresem, zwłaszcza Mickiewicza, zażalenie, że ten genialny poeta, chociaż życzył sobie, by „księgi jego zbłądziły pod strzechy, żeby je wzięły wieśniaczki do ręki" — to jednak o chłopach i o tych wieśniaczkach nic nie raczył napisać.

Jak z powyższego wynika, to obydwaj wielcy poeci, są drodzy sercu chłopa polskiego. Jednak ośmielam się twierdzić, iż tak jeden, jak i drugi do jego uobywatelnienia, do podniesienia go z wiekowego upokorzenia nie przyczynił się wcale. Przyznać im jednak należy rozbudzenie większego zaciekawienia wśród chłopów i zainteresowania się własnym stanem.

Dopiero Świetochowski ze swoją „Historią Chłopów" przychodzi chłopom z pomocą. Chociaż ta historia zdawała się chłopom przyzwyczajonym do czytania barwnych opisów sienkiewiczowskich zbyt jałową, to jednak dowiadują się historycznej prawdy o sobie i z dumą podnoszą czoła. Zaczynają rozumieć, że także i ich przodkowie — chłopi zasłużyli sobie na miano obywateli, ponieważ potrafili walczyć pod Wiedniem i pod rozkazami Tadeusza Kościuszki, a także i w powstaniach nie szczędzili swojej krwi i życia. Pojawienie się „Historii Chłopów" zaciekawiło nie tylko starszych, lecz także i młodzież obojga płci.

Nie bardzo też przypadli do gustu chłopom w tutejszej okolicy „Chłopi" Władysława Reymonta. Zdawały się im te opisy nienaturalne i niejako szydzące z ich stanu. O wiele większe powodzenie miały powieści Żeromskiego, a może jeszcze większe Bolesława Prusa.

Największy wpływ na uobywatelnienie chłopa wywarły czasopisma ludowe: „Wieniec „Pszczółka", „Przyjaciel Ludu" i inne artykuły zamieszczane przez publicystów chłopskich. Choćby wymienić tu Jakuba Bojkę z jego broszurą „Dwie dusze", Tomasza Nocznickiego, Wincentego Witosa i wielu innych. Chłopi czytając ich artykuły poczęli nabierać cywilnej odwagi, czuć się obywatelami i upominać się o swoje prawa.

I dzisiaj oczekują chłopi swoich pisarzy, którzy by zniżyli się do ich poziomu umysłowego i zechcieli poznać ich troski i zawody i wskazać im drogę prowadzącą do celu.

Bieńkowice, dn. 14.9. 1948 r.



Autoportret Stanisława Gabriela Worcella z czasów powstania 1831 r.



Polska odrodzi się przez lud. Symbolika.

Witold Łukaszewicz

Chłopski socjalizm utopijny*)

Polski chłopski socjalizm utopijny zrodził się przed stu trzynastu laty na ziemi angielskiej w trudnych warunkach życia tułaczego. Zasługuje on na baczną uwagę historyka jako przejaw świadomości klasowej wśród garstki chłopów-emigrantów zrzeszonych w Ludzie Polskim. Ówczesne warunki polityczne i społeczno-ekonomiczne na ziemiach polskich sprawiły, iż program Ludu Polskiego jako przedwczesny stawał się zwykłą utopią mimo całej swej genialności i bojowości.

Dziś, kiedy czołowa partia polskiej klasy pracującej podejmuje wielkie zadanie socjalizacji wsi w innych zgoła warunkach politycznych i społeczno-ekonomicznych niż przed stu trzynastu laty chciał to uczynić Lud Polski, nie od rzeczy będzie przypomnieć czytelnikowi o zamierzeniach pierwszych polskich chłopskich socjalistów utopijnych.

Lud Polski w Anglii z gromadami: „Grudziąż" w Portsmouth i „Humań" na wyspie Jersey (St. Helier) powstał za sprawą karbonarów: Tadeusza Krępowieckiego, Stanisława Worcella, Zenona Bolesława Świętosławskiego, Seweryna Dziewickiego i kilku innych, którzy opuścili Francję dobrowolnie bądź pod przymusem w latach 1833-4 i po przejściowym pobycie w Belgii (Krępowiecki, Worcell) znaleźli schronienie po drugiej stronie kanału la Manche. Wykorzystali oni przybycie do Portsmouth na początku 1834 roku 212 żołnierzy - powstańców, trzymanych przez przeszło dwa lata przez Prusaków przy ciężkich robotach fortecznych głównie w Grudziądzu. Byli to w ogromnej większości chłopi polscy, którzy bili się po bohatersku podczas powstania, a po jego upadku nie chcieli skorzystać z carskiej amnestii i przełożyli tułaczkę nad powrót pod jarzmo Mikołaja I. Rząd angielski wyznaczył im koszary na mieszkanie, parlament zaś udzielił zasiłków. Między czartoryszczykami i demokratami rozgorzała zacięta walka o pozyskanie wiarusów z Portsmouth. Arystokraci działali przez Literackie Towarzystwo Przyjaciół Polski w Londynie, które zajmowało się rozdziałem zasiłków rządowych dla emigrantów polskich, demokraci nie mając materialnego środka nacisku ograniczyli się do propagandy słownej. Z polecenia Krępowieckiego, Worcella i Świętosławskiego, którzy reprezentowali lewicowy odłam ogółu londyńskiego, karbonarzy Seweryn Dziewicki i Wincenty Wierzbicki, członkowie Towarzystwa Demokratycznego Polskiego zamieszkali w Portsmouth, nawiązali bliskie stosunki z żołnierzami i założyli dla nich szkółkę uświadomienia demokratyczno - republikańskiego. Zyskawszy sporo zwolenników utworzyli z nich sekcję Towarzystwa Demokratycznego Polskiego — „Portsmouth". Żołnierze przyjęli za swoje idee i poglądy wyrażone w pierwszym manifeście Towarzystwa („Akt Założenia") z dnia 17 marca 1832 r. Uznawał on za fundament Towarzystwa braterstwo ludów i głosił, że ziemia i jej owoce są wspólne dla wszystkich obywateli, a więc stawał na stanowisku babuwistycznym. Sekcja „Portsmouth" pozostawała w zgodnym działaniu z sekcją Jersey, której przewodził Worcell i Aleksander Gronkowski.

Tymczasem w Towarzystwie Demokratycznym Polskim zachodziły bardzo poważne przemiany strukturalne i ideologiczne. Sprawująca władzę naczelną od chwili założenia Towarzystwa sekcja paryska jako tzw. Sekcja Centralna napotykała na coraz silniejszą opozycję ze strony sekcji prowincjonalnych, które jej zarzucały zbytnie uleganie dyrektywom karbonarskim, brak prężności organizacyjnej, skłonność do kompromisów w sprawie zjednoczenia emigracji itp. Przodowała w tym ataku sekcja Poitiers, w której działali dwaj wybitni demokraci Wincenty Cyprysiński i J. N. Janowski. Wprawdzie Sekcja Centralna (Paryż) przeprowadziła rugi karbonarów, usuwając Krępowieckiego (styczeń 1833), Edmunda Korabiewicza, Juliusza Wysłoucha (1834), kierowników Namiotu Narodowego Polskiego, i innych mniej wybitnych, nie uchroniło to jej wszakże ani od prześladowań ze strony władz francuskich, ani od dalszej krytyki ze strony sekcji „Poitiers". Ta ostatnia wysunęła zasady zupełnego wyodrębnienia się od reszty emigracji i działania tylko w ramach T-wa Demokratycznego Polskiego, żądała powołania sprawnej scentralizowanej władzy wykonawczej, opracowania systemu działania i nowej gruntownej deklaracji ideowej w formie manifestu.

Dla kierowania dyskusją poszczególnych sekcji nad wysuniętymi projektami, dla sumowania jej wyników, wreszcie dla czuwania nad przebiegiem głosowania proponowała Sekcja Poitiers ustanowienie tzw. Sekcji Prac Wewnętrznych Towarzystwa. Projekt przyjęto i powołano do pełnienia obowiązków nowego organu usprawniającego Sekcję Poitiers (30.III 1834). W trzy miesiące później Sekcja Poitiers została wybrana przez większość sekcji prowincjonalnych Sekcją Centralną i zajęła kierownicze stanowisko w Towarzystwie Demokratycznym Polskim. Z tą chwilą skończyła się dominacja Paryża nad prowincjonalnymi ogniwami organizacyjnymi. Przeniesienie kierownictwa Towarzystwa z Paryża do Poitiers zapoczątkowało okres zwrotny w rozwoju organizacji. Sekcja Centralna w Poitiers zabrała się ochoczo i sprawnie do pracy: ułożyła ustawę (statut) Towarzystwa normując jego organizację wewnętrzną i zakres działania, przyjętą przez ogół członków w czerwcu 1835 r. Ustawa ustalała za cel Towarzystwa niepodległość Polski, za środek do jego osiągnięcia — demokrację. Za najwyższą władzę Towarzystwa uznawała ogół członków podzielony na sekcje co najmniej 5-osobowe pokrywające się w zasadzie z obrębem danego miasta. Naczelną władzę wykonawczą T-wa oddawała Centralizacji pochodzącej z wyborów tajnych ogółu członków, złożonej początkowo z 9, a od roku 1836, z 5 osób. Pierwsza Centralizacja została wybrana już 5 lipca 1835 r., lecz zebrała się i rozpoczęła urzędowanie dopiero na początku 1836. Wybrano do niej ludzi energicznych i ofiarnych, lecz umiarkowanych w poglądach na rewolucję społeczną: J. N. Janowskiego, Tomasza Malinowskiego, Aleksandra Molsdorfa, Wiktora Heltmana, Henryka Jakubwskiego, Roberta Chmielewskiego, Lucjana Zaczyńskiego i Adolfa Chrystowskiego; Wincenty Cyprysiński zmarł wkrótce po wyborze. Najwybitniejszymi w tym składzie byli: Malinowski jako organizator i Heltman jako ideolog — pisarz, obaj reprezentujący prawicę T-wa sprzeciwiającą się zdecydowanie zasadzie wspólnej własności rolne' i akcentom kosmopolitycznym w „Akcie Założenia" z 17 marca 1832 uznanym natomiast za podstawowe punkty programu demokratyczno-rewolucyjnego przez przesiąkniętą duchem karbonaryzmu zreformowanego Sekcję Jersey i powstałą za jej sprawą chłopsko-żołnierską Sekcję Portsmouth.

Wobec takiej różnicy poglądów nie trudno było o konflikt między naczelnictwem Towarzystwa i jego sekcjami na Jersey i w Portsmouth. Zaprotestowały one w specjalnych odezwach, inspirowanych przez Krępowieckiego i Worcella, przeciw przeniesieniu Sekcji Centralnej z Paryża do Poitiers oraz przeciw zmianie dotychczasowej linii ideologicznej Towarzystwa. Sekcja na Jersey uczyniła to wcześniej i została po dwukrotnych upomnieniach ukarana przez Sekcję Centralną w Poitiers wykreśleniem z T-wa z dniem 25 kwietnia 1835 r. Nie przestraszyło to bynajmniej przywódców Sekcji Portsmouth. Marzyli oni o zjednoczeniu całej emigracji demokratycznej w jedno ciało i dlatego uznawali wyodrębnienie się Towarzystwa od reszty wychodźstwa za utrudniające ów proces. Nadto, co najważniejszą było przyczyną rozdźwięku, nie godzili się oni na uznanie własności prywatnej, szczególnie rolnej.

Sekcja Centralna oznajmiła bowiem, że będzie dążyła do zreformowania stosunków społecznych na ziemiach polskich przez nadanie chłopom na własność tych gruntów, które uprawiali z tytułu pańszczyzny bądź czynszu. Sekcja Portsmouth stała natomiast twardo przy sformułowaniu „Aktu Założenia" — wspólnej dla wszystkich ziemi i jej owocach, uważając zamierzenie T-wa za sprzeczne z zasadą równości społecznej — „porównaniem kondycji socjalnych". W piśmie z 25 maja 1835 r., podpisanym przez 123 członków, Sekcja Portsmouth wyłożyła ogółowi Towarzystwa Demokratycznego Polskiego swój pogląd na własność. Inspirował go głównie Stanisław Worcell, który przeniósł się tymczasem wraz z Gronkowskim z Jersey do Portsmouth, by zasilić działalność Krępowieckiego i Dziewickiego wśród wiarusów.

„Każdy człowiek — głosiło pismo — przynosi ze sobą na świat prawo do życia, prawo do istnienia, więc prawo do życia jest prawem natury. A teraz spytajmy się, czy prawo własności jest prawem natury, czy też wpływem urządzeń społecznych? Natura jest macochą własności, gdyż w naturze nie ma żadnej własności. Uświęcone wiekowym rabunkiem i mordem, prawo własności sprzeciwia się prawu do życia, wypływającemu wprost z samej natury. Zabija ono prawo do życia, więc musimy je obalić, zniszczyć, jeżeli nie chcemy iść przeciw naturze. Uznając równe prawo wszystkich do życia, już przez to samo odrzucamy monstrualne prawo własności prywatnej. Jak prawo do życia, tak też i prawo własności jest dobrem wspólnym. To są niezaprzeczone, niewzruszone prawdy, z którymi nie można wchodzić w żadne kompromisy".

Sekcja Centralna skrytykowała ostro ten pogląd i odwołała się do opinii innych sekcji. Nadeszło jedenaście odpowiedzi, wszystkie przeciwne wspólnej własności. Ogłosiła je Sekcja Centralna okólnikiem 12 września 1835 r. W odpowiedzi na to ogromna większość Sekcji Portsmouth wyłamała się z Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i założyła 30 października 1835 r. Gromadę „Grudziąż" Ludu Polskiego, wydając jednocześnie słynną odezwę do ogółu emigracji polskiej (manifest), podpisaną przez 138 osób. Przystąpili do Gromady 6 listopada t. r. główni sprawcy tego aktu, najwybitniejsi karbonarzy polscy: Seweryn Dziewicki, Aleksander Gronkowski, Tadeusz Krępowiecki, Roch Rupniewski, Reces Wątróbka i Stanisław Worcell.

14 marca 1836 roku 8 karbonarów, zamieszkujących w St. Helier na wyspie Jersey uznało zasady Gromady „Grudziąż", wyłożone w manifeście październikowym roku ubiegłego i zawiązało gromadę „Humań" Ludu Polskiego. Nazwę Humania przyjęto świadomie, miała ona być nie zapowiedzią nowych mordów szlachty, ale „pokorną ekspiacją za winy ojców" i pomostem do sojuszu w przyszłości z „ludnością Ukrainy". Najwybitniejszym członkiem Gromady „Humań" był karbonar Zenon Bolesław Świętosławski, ewangeliczny komunista, mistyk i marzyciel. Gromada „Grudziąż" miała pełnić w stosunku do Gromady „Humań" i mających powstać w przyszłości Gromad obowiązki Gromady Centralnej.

Zaszedł w życiu tułactwa polskiego fakt niezwykle doniosłej wagi dla przyszłości Polski — chociaż doraźne jego następstwa nie wywołały szerszego rezonansu w masie emigracyjnej. Ze szlachecko - mieszczańskiego ruchu demokratyczno - republikańskiego, kierowanego przez reorganizujące się Towarzystwo Demokratyczne Polskie, wyodrębniała się pod tchnieniem ginącego karbonaryzmu zreformowanego myśl socjalistyczna, by iść własnym torem ku ziemi polskiej, usiłować owładnąć masy chłopskie i urzeczywistniać zasadę „porównania kondycji socjalnych". Chociaż wewnętrzne tarcia w Ludzie Polskim w latach 1837—40 osłabiły jego dynamikę przez rugi najwybitniejszych członków (Krępowickiego, Dziewickiego, Worcella, Wątróbki), przez rozłamy, gorszące kłótnie itp., to jednakże Gromady: „Grudziądź" i „Humań" głosząc do 1846 r., tj. aż do swego powrotu na łono Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, konieczność „porównania kondycji socjalnych" — spełniły ważną misję historyczną, o której nie można zapomnieć zakładając dziś w szczęśliwszych warunkach politycznych i ekonomicznych, niż sto trzynaście lat temu, zręby socjalizmu na wsi.

Lud Polski był jedyną na emigracji organizacją, która stanęła na stanowisku klasowym, dążyła do równości społecznej i przyznawała masie chłopskiej zasadniczy głos w sprawach politycznych w przyszłej Polsce.

Nie zawadzi zatem zapoznać się z najważniejszymi myślami manifestu Gromady „Grudziąż" z dn. 30 października 1835 roku. Jej autorzy oskarżali Towarzystwo Demokratyczne Polskie o to, że chciało uświęcić prawo własności z podeptaniem prawa egzystencji człowieka, „że ono nie miało nigdy od ludu polskiego mandatu", lecz działało samozwańczo; zapewniali, iż „lud nie potrzebuje przybierać brzmiącego demokracji nazwiska, ...sam lud urządzony dla siebie i przez siebie, nie określi się żadnym scholastycznym nazwaniem".

Krytykując stosunki emigracyjne, zaznaczano, że „...trzy stronnictwa w emigracji pną się do władzy: Sejm, Komitetowi i Tow. Demokratyczne. Sejm zamordował Polskę. Komitetowi (leleweliści) chcą wskrzesić Polskę ze szlachtą i ludem, Tow. Demokratyczne odstępuje szlachty, a na jej miejsce zaprowadza stan przemysłowy, kupiecki; Stronnictwo więc Komitetowe i Tow. Demokratyczne stoją na równi z Sejmem, bo zmieniają jeno nazwisko tyranów, a nie znoszą samej tyranii. Władza zatem w tak skalane oddana ręce

*) Fragment pracy: „Wpływ masonerii, karbonaryzmu i Józefa Mazziniego na polski ruch rewolucyjny w latach 1831—1848", która ukaże się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

jest zabójczą dla Polski. Władza nieprawa wywołuje powstanie ludu. My, jako lud, podnosimy przeciw niej insurekcję pojęcia. Insurekcja pojęcia uzbraja dłoń, a gdzie myśl jest zniszczona i pokonana, tam siły materialne łatwe do rozproszenia..."

„Nowe pojęcia zajęły miejsce dawnych, zużytych. Lud nie chce być płaszczącym się żebrakiem, oczekiwać od zrobaczałej mniejszości lichej praw swych jałmużny. Lud równa wszystko do siebie, sam nie myśli podrastać, bo jest najwyższym, ostatnim szczeblem ziemskiej potęgi..."

„Ojczyzna nasza, to jest Lud Polski, zawsze była odłączona od ojczyzny szlachty i jeżeli było jakie zetknięcie pomiędzy krajem szlachty a krajem Ludu Polskiego, miało ono niezaprzeczone podobieństwo styczności, jaka zachodzi pomiędzy zabójcą i ofiarą. Morze krwi na całym świecie rozgranicza szlachtę od ludu. Tylko przyszłość, naprawa, poświęcenie i miłość może tę granicę przebrnąć. Już nadszedł czas pokuty i skruchy. Po jego upływie krew kurząca się pomstą i występkami spadnie na głowy niepoprawnych, zakamieniałych grzeszników, którzy jako oddzielny naród, jako banda zbrodniarzy, przy swojej wyłączności zostają. Czas już nadszedł, mówimy, założenia jedności, lud jest jednością..."

„Obywatele! do nas — chcemy policzyć szlachtę, chcemy wiedzieć, wielu nas jest... Ci, co nie będą na naszą listę wpisani, będą na liście szlachty; a jeśli nikt z emigracji w nasze nie wejdzie łono, potrafimy sami się ostać — wytrwamy".

„Niewola, albo równość bezwzględna; Mikołaj (car), albo zupełne przywrócenie praw ludu — wybierajcie..."

(Lud Polski w Emigracji 1835—1846. Jersey 1854. str. 3—6 oraz Stanisław Szpotański: Lud Polski (z dziejów polskiej myśli socjalistycznej). We Lwowie 1907. str. 17—27).

A oto w krótkim zarysie poniżej ujęte społeczno gospodarcze zasady działania Ludu Polskiego, wyłożone w piśmie Gromady „Grudziąż", „do obywateli Sekcją Vimoutiers w tak zwanem Towarzystwie Demokratycznem składających" z dn. 10 grudnia 1835 roku.

„...Za pierwszą, za najświętszą, na prawie natury, czyli raczej na prawie boskim opartą, jedynie nietykalną własność człowieka uznajemy jego siły własne, prawo ich użycia do obioru rodzaju pracy, a zatem do spłodzonych za jej pośrednictwem owoców. Tak i tu, równie jak w używaniu wszelkich innych praw, zachodzi ograniczenie w jednakowym drugich ludzie prawie, czy to do pracy czyli do egzystencji..."

„Co do posiadania spadkowego zaś, nie widzimy, przyznajemy się, żadnego związku... z uznanymi wyżej zasadami..."

„Zarobkową więc własność uważamy za prawą lub nieprawą, stosownie do prawości lub nieprawości samego zarobku; własność zaś spadkowa, w której wszystkie cechy anarchicznego, przeciwnego wszelkiej jedności, niemoralnego indywidualizmu widzimy, która źródło swoje w przywileju urodzenia bierze, prawo świętsze nad samo wszechwładztwo stanowi, pojedyńczych ludzi niezależnymi od wszechwładzy czyniąc, odrębny w nich od stowarzyszenia interes utwarza, która jednym sposoby do utrzymywania drugich w swojej zależności nadając, nierówność, już nie imienną tylko, lecz rzeczywistą na ucisku i panowaniu opartą, a przez następujące po sobie pokolenia coraz wzrastającą zaprowadza... za nieprawą, wymagającą najprędszego zniesienia — głosimy".

„...Nie chcemy więc rozdawnictwa pomiędzy włościan prawem dziedzicznej, indywidualnej własności ziemi, z prawa do ludu całego należącej; nie chcemy mnożenia nieograniczonego drobnych ziemskich właścicieli; nie chcemy naturalnego stąd następstwa upadku industrii (przemysłu), handlu, sztuk i rzemiosł, a nade wszystko oświecenia i siły publicznej; nie chcemy rozdrabniania indywidualizmu zamiast jego zniszczenia, i przez przypuszczenie większej liczby do wyłącznego przywileju własności, powiększenia numerycznej siły panującej kasty, której tyrania nad nieobdarzonymi własnością... tymby sposobem uwieczniona została..."

„...Chcemy, ażeby własność, jako socjalna forma obracania świata zewnętrznego na korzyść człowieka, jako gwarancja przez społeczeństwo egzystencji człowieka dana, jako związek, łączący w jedno społeczeństwo pojedyńcze jego członki, należała też nie do nich, **lecz do całego ich zbioru**, do stowarzyszenia, które wykonywując odpowiedni temu prawu obowiązek, każdego nawzajem członka, w sposoby utrzymania bytu swojego, to jest, naprzód w wychowanie, a potem w narzędzia pracy, jakimi są dla jednych ziemia, dla drugich warsztaty, biura itp. opatrzyć czyli wyposażyć będzie musiało.

Chcemy, aby to wyposażenie następowało wskutek uchwał administracji lub zgromadzeń miejscowych i stanowiło niejako kapitał, dla wszystkich równy, bo zastosowany do obranej sobie przez każdego pracy..."

„Chcemy, aby niemogący pracować kosztem publicznym utrzymani byli".

„Chcemy, ażeby pod nazwiskiem banków narodowych, kas pożyczkowych, posiłkowych lub innych, zakłady rządowe, rozgałęzione po wszystkich częściach kraju, zastąpiły miejsce monopolicznych dziś banków partykularnych (prywatnych), właścicieli fabryk itd. i dopełniając prawdziwego swego przeznaczenia podawały potrzebującym środki do dokonania większych nad siłę pojedyńczych ludzi przedsięwzięć. Chcemy oprócz tego, aby wolność stowarzyszeń industryjnych, handlowych itd. łączyła pomiędzy sobą ludzi w ciało na wspólności pracy i jej owoców oparte i z natury swojej coraz się bardziej szerzące".

Chcemy zatem, ażeby sztuki, nauki, industria, ku socjalnym celom swym zwrócone, taką samą sumę, lecz moralniejszych niż dziś korzyści w kraju wydawały, i aby wszystkie do wykształcenia socjalnego i umysłowego ciała społecznego, pod zwierzchniczym wpływem kontrolowanej przez lud, lecz czynnej, silnej i jedynej centralnej administracji zmierzały".

„...Wolność w naszym dopiero wyobrażeniu będzie dla wszystkich przystępną, gdy nie będzie nikt zawisły głodem od drugiego i nikt z duszą i ciałem drugiemu na lat 25, 30 do fabryki lub w służbę lokajską, na nierząd i szpiegowanie zaprzedawać się nie będzie musiał..."

Wprowadzą to wszystko w kraju nie posiadacze, „wprowadzi Lud, a wywłaszczenie posiadaczy przy zachowaniu im dotacji, każdemu członkowi ludu przynależnej, mniej pono oporu dozna, aniżeli spolicja (częściowe wywłaszczenie) jednych indywiduów na korzyść drugich, która wbrew uchwalonej zasadzie, część jedną dzisiejszym właścicielom wydarłszy, dostateczną jednym zostawi część do oporu i walki, niedostateczną innym do życia".

(Lud Polski w Emigracji 1835—1846, str. 23—27).

Słowem Lud Polski uznawał za jedyną własność tylko siły człowieka i to, co zdobędzie on swoją pracą w sposób godziwy, odrzucał uznanie własności spadkowej, dziedzicznej, własność indywidualną uważał za źródło wszelkiego zła, za przyczynę upadku przemysłu, handlu, sztuk, rzemiosł oraz oświaty i z tych względów występował przeciw głoszonej przez lelewelistów i Towarzystwo Demokratyczne Polskie zasadzie uwłaszczenia chłopów, żądając by ziemia stanowiła własność ludu i nadawana była przez gminy w czasowe użytkowanie. Lud Polski wysuwał żądania uspołecznienia środków produkcji, wymiany i kredytu oraz utworzenia sprawiedliwego systemu opieki społecznej.

Na sformułowanie wymienionych założeń programowych Ludu Polskiego wpłynęły, jak to widać wyraźnie, przede wszystkim teorie społeczno - ekonomiczne głosicieli „loi agraire" i Babeufa z czasów Wielkiej Rewolucji w interpretacji Buonarottiego, w mniejszym stopniu doktryny Saint-Simona, oraz zaprawiony ewangelią socjalizm Bucheza. Program ten był ze względu na panujące w kraju stosunki społeczne i ekonomiczne oraz tradycję historyczną — zwykłą utopią. Nie zyskał on również szerszego uznania wśród emigracji, będącej w swym składzie społecznym emanacją rozkładającej się szlachetczyzny, która nawet do mniej klasowego i uznającego własność prywatną Manifestu Tow. Demokratycznego Polskiego z dnia 4 grudnia 1836 r. odnosiła się z wielką rezerwą, zwłaszcza w tych miejscach, które omawiały zniesienie pańszczyzny i wysuwały zapowiedź uwłaszczenia chłopów, uprawiających rolę pańską.

Witold Łukaszewicz.

Lech Budrecki

OPERACJE METODOLOGICZNE

Ukazał się w jednym z ostatnich numerów „Kuźnicy" artykuł Adama Ważyka p. t. „Kilka słów o metodzie" poświęcony szeregom zagadnień prozy i krytyki literackiej. Tezy wysunięte w nim są tak ważne, że wymagają dokładnego przemyślenia i przedyskutowania. Niestety niesłychanie „poetycki" język artykułu dopuszcza możliwości fałszywej interpretacji wypowiedzi, a co za tym idzie licznych sporów werbalnych. Konieczność ujmowania poszczególnych terminów w szerokich kontekstach dla zrozumienia ich znaczenia zawiniła niechybnie w tych kilku miejscach, których niejasności pragnąłbym rozwikłać.

„Popularna szkoła naturalistyczna", „Drobnomieszczański empiryzm", „Wulgarny realizm" oto te zjawiska, które okazały się najniebezpieczniejszymi we współczesnym polskim życiu kulturalnym. Przede wszystkim jednak naturalizm. Tu ogarnia chwilowo zdziwienie. Czyżby odżył w Warszawie Zola? Czyżby zbierali się gdzieś młodzi pisarze, czytujący jako ewangelię „Bel-ami" Maupasanta? Nic o tym nie wiadomo. A więc może walka z cieniem, z urojonymi demonami? Też nie. U podstaw nieporozumienia tkwi znak tożsamości między tym, co nazywaliśmy dotąd małym realizmem a naturalizmem. W historii literatury naturalizm znaczył zupełnie coś innego. Teraz Ważyk zmienia nagle desygnat tego pojęcia. I tu powinno paść pytanie metodologa: dla jakich celów? po co? Owszem rodzi się w ten sposób mętlik intelektualny, ale czy jest on właściwie potrzebny? Chyba nie. Na co więc redukować terminy? I co niebezpieczniejsze, czym będziemy odróżniali teraz Zolę od Gojawiczyńskiej? Ważyk nie podaje żadnej nowej nazwy dla „grupy Medanu", a więc czyżby chciał podciągnąć pod jedno i Maupasanta i Hansa Falladę i Boguszewską i Plisniera? A przecież kreślenie tak wielkich schematów nie służy wiedzy o literaturze, tak jak nie służył historii filozofii podział na materializm, idealizm i intuicjonizm, w których to kategoriach wyczerpywano wszystko, co się od czasów Talesa w danym zakresie wydarzyło. Wyczerpywano, owszem, ale jak! Tworzono nazbyt szerokie linie podziału. A to powoduje jedynie zamęt! Zbudowanie bowiem schematu, w którym istniałyby tylko główne rubryki, nie posuwa sprawy naprzód. Specyfikujmy w historii filozofii, specyfikujmy w historii literatury! W obu wypadkach jesteśmy przecież na terenie tej samej dyscypliny: historii.

Redukcja terminów w tej dziedzinie szkodzi tylko, obejmując nazbyt wiele zjawisk być może zbieżnych ze sobą, tym niemniej nie posiadających na tyle ważnych cech wspólnych, by je uważać za przynależące do jednej grupy. Niewątpliwe jest coś wspólnego między „Germinalem" a „Dziewczętami z Nowolipek" (choćby to, że w obu opowieściach istnieje fabuła), sposób widzenia świata jednak będzie w nich najzupełniej różny.

W wyniku tych operacji metodologicznych zostałem i ja zaatakowany, bezimiennie zresztą, za recenzję z „20 lat życia" Uniłowskiego. „Wulgarne pojęcie realizmu odnowiło się w krytyce literackiej i nawet w Kuźnicy któregoś dnia najczystszej wody naturalista Uniłowski zaawansował na najbardziej realistycznego pisarza lat międzywojennych". Znów nieporozumienie słowne. Ja przez naturalizm rozumiałem przede wszystkim (szedłem tu za historią literatury) biologiczną koncepcję losu ludzkiego. W „20 latach życia" jej nie znalazłem. Dla takiego więc rozumienia terminu „naturalista" Uniłowski—ze swej ostatniej książki— nie był nim i nie jest. Ale czy nieporozumienie, o którym mówię, było tylko werbalne? Nie, chodzi też i o wyznacznik terminu realizm. Podnosząc zasługi Uniłowskiego jako autora „20 lat życia" miałem hołdować „wulgarnemu pojęciu realizmu".

Co prawda jest to zwrot na terenie całego artykułu niezdefiniowany, ale spróbujmy mu przypisać jakieś znaczenie potoczne. I wówczas nie przyznam się do winy, nie przyznam się do „rozumnie myślącego drobnomieszczańskiego empiryzmu". Dla mnie wyznacznikiem dzieła realistycznego była marksistowsko-leninowska koncepcja człowieka i społeczeństwa zawarta w tymże dziele. Właśnie w imię takich zasad (a czyżby one były wulgarnym pojmowaniem słowa realizm?) podkreślałem zalety książki Uniłowskiego, o czym czytając wzmiankowaną recenzję łatwo było się przekonać. Nie mówiłem o „zgodności statystycznej", ani o „tuzinkowości postaci". Nie nazwałem powieści Uniłowskiego książką realistyczną. I jeśli wynika to z treści artykułu Ważyka, stało się tak najprawdopodobniej za sprawą słabej pamięci piszącego.

„Lądujemy znowu na drobnym, wulgarnym realizmie. Mamy jeszcze jedną odmianę miary drobnomieszczańskiej. Wraca upiorne sakramentalne pytanie: „Czy tak bywa jak autor przedstawił?" Socjolog odpowiada: „Zbadałem, tak bywa" i wszystko się zgadza. Ale my wiemy, że nic się nie zgadza. Nie bywało Vautrina, ani Juliana Sorela, nie bywało Anny Kareniny, u żadnych Artamonowych nie bywali stróże, którzyby kilkadziesiąt lat milczeli, aby wypowiedzieć swą nienawiść dopiero w dniach rewolucji. Tak nie bywa, ale za to tak jest — mówi nam paradoks realizmu wbrew statystycznej prawdzie socjologi stosowanej". Pomijając niezbyt przejrzysty tok samych formułowań, spróbujmy wyłowić z nich intencję autora. Zdaje się, że Ważykowi chodziło tym razem o wyznacznik realizmu, właśnie tego, który nazywany był tak często wielkim. Wyznacznika jednak nie definiuje. Natomiast kilkakrotnie podkreśla prawo wielkiego realisty do sytuacyjnych i statystycznych nieprawdopodobieństw. Teza niewątpliwie jest słuszna i postawienie jej raz jeszcze staje się wielkim osiągnięciem autora „Kilku słów o metodzie". W przeprowadzeniu tego trafnego twierdzenia posłużyło się jednak argumentem — moim zdaniem — niesłusznym, natomiast godnym wyświetlenia. Nie wiem czy wskazanym było tak gwałtowne odrzucenie pomocy socjologii przy konfrontacji dzieła z rzeczywistością. Atakując lewactwo w krytyce, niezbyt konsekwentnie zresztą, bo podnosząc zasługi Kotta o „Lalce", a atakując młodych krytyków, podczas gdy braki im zarzucane, znajdziemy właśnie w „Przedmowie do Lalki") Ważyk posunął się tu za daleko. Z chwilą gdy dyskredytujemy uprawnienia każdej socjologii, nie będziemy w stanie nigdy nic powiedzieć o realizmie. Nie potrafimy bowiem, bez pomocy nauk społecznych, odpowiedzieć na pytanie, które dzieło zawiera prawdę o świecie. Wówczas bylibyśmy zmuszeni do oceny utworów w ramach jakichś dowolnych, normatywnych estetyk, w ramah własnego gustu. A zagadnienie stoi inaczej. Chodzi przecież o wyjaśnienie, na ile w historii literatury pomocna nam jest socjologia i jaka socjologia?

Hugon Kowarzyk

O SPOŁECZNEJ POSTAWIE MEDYCYNY

Dzisiejszy rozwój form życia społecznego stawia zagadnienie społecznej służby lekarza w rzędzie najbardziej pilnych obowiązków państwa. Żaden demokratyczny rząd nie może zaniedbać tego zagadnienia.

„Uspołecznienie medycyny" polega na stworzeniu sieci służby zdrowia, obejmującej całe państwo i wszystkich obywateli w taki sposób, że każdy potrzebujący pomocy lekarskiej może z niej korzystać. Zdrowotność społeczeństwa można poprawić przez dążenie do podwyższenia higieny życia codziennego i pracy zawodowej, przez wprowadzenie racjonalnego sposobu odżywiania, przez opiekę nad dzieckiem i nad matką. Służba zdrowia musi dysponować wyposażeniem i wykwalifikowanym personelem w stałym pogotowiu na wypadek wybuchu epidemii lub wojny. Stan zdrowotności społeczeństwa podlega bezustannej kontroli statystycznej, która pozwoli w razie potrzeby w porę zmobilizować środki dla zwalczenia niebezpieczeństwa zanim ono przybierze groźne rozmiary.

Tak pojętych zadań służby zdrowia może się podjąć jedynie organizacja w skali państwowej. Organizacja ta w pierwszym rzędzie musi objąć lekarzy. W warunkach katastrofalnego niedoboru lekarzy, jaki mamy w Polsce po wojnie, musi ona objąć wszystkich lekarzy. Społeczna służba zdrowia nakłada na stan lekarski świadczenia na rzecz państwa, które przewyższają świadczenia wielu innych zawodów. Nie wątpię, że polski lekarz ofiarnie spełniać będzie tę służbę. Polskie Wydziały Lekarskie szczególny nacisk kładą na wyrobienie w młodzieży medycznej społecznej postawy wobec obowiązków, jakie ją czekają.

Świadczenia na rzecz społeczeństwa uszczuplają dotychczasową swobodę wolnego wykonywania zawodu lekarskiego. Uszczuplają one równocześnie swobodę wolnego wyboru lekarza przez pacjenta. Uszczuplenie obu tych swobód budzi pewne sprzeciwy, zrozumiałe na tle dotychczasowego tradycyjnego pojmowania zawodu lekarskiego.

Sprzeciw przeciw uszczuplaniu prawa wolnego wyboru lekarza jest pozornie uzasadniony potrzebą ścisłego psychicznego kontaktu chorego z lekarzem, którą niektórzy chorzy bardzo silnie odczuwają. W pewnej mierze kontakt ten jest również pomocny lekarzowi w pracy, gdyż daje mu łatwość w kierowaniu chorym. Medycyna przyjmuje za pewnik, że zdrowie psychiczne i fizyczne wzajemnie się uzupełnia i wspiera. Wzbudzenie w chorym wiary we własne wyzdrowienie jest częścią ordynacji lekarskiej. Niejednokrotnie można słyszeć obawy, że lekarz sprawujący zawód z urzędu, a nie z wyboru pacjenta, stanie się częścią biurokratycznej maszyny państwowej i będzie niezdolny do nawiązania z chorym stosunku nacechowanego zaufaniem i wiarą.

Jednak dzisiejsza wiedza lekarska coraz częściej posługuje się metodami badania i leczenia, które nie są wykonalne w mieszkaniu chorego lub w pokoju przyjęć lekarza, lecz wymagają wyposażenia technicznego i wyspecjalizowanego personelu. Metody te są wykonalne jedynie w szpitalu lub w klinice. Zaniedbanie tych metod często byłoby błędem sztuki lekarskiej. Koszt ich wykonywania bywa tak znaczny, że mało który chory byłby w stanie go pokryć bez finansowego oparcia o instytucję ubezpieczeniową. Postęp wiedzy zatem zmienił formę sprawowania zawodu lekarskiego. W miejsce lekarza, który samodzielnie bada, stawia rozpoznanie i leczy, wkracza zespół specjalistów, który łącznie przeprowadza różnorodne badania. Zabiegi lecznicze wykonuje inny lekarz niż ten, który leczenie przepisał. Atrybuty „lekarza" przechodzą z jednostki na zespół. Odpowiedzialność za stan chorego przechodzi z lekarza na szpital lub klinikę. Postęp nauki kieruje zawód lekarski do „uspołecznienia". Życie zmusza pacjenta do przeniesienia zaufania z lekarza przez siebie wybranego na instytucję publiczną.

Wskutek trudności wojennych i powojennych społeczeństwo mało jeszcze dostrzega, że w naukach lekarskich i w nauce w ogóle nastąpiła zasadnicza zmiana postawy. Do czasów niedawnych postęp nauki był w pierwszym rzędzie wynikiem pracy i wysiłku myśli jednostek odznaczających się szczególnie cennymi walorami duchowymi. W oparciu o dorobek masy przeciętnych pracowników nauki genialne jednostki decydowały o kierunku postępu i narzucały bieg myśli czasem wielu pokoleniom. Chociaż i dzisiaj w pełni doceniamy zasługi indywidualne, jednak coraz częściej zdarza się, że postęp nauki jest przywiązany nie do nazwiska jednostki, lecz do zespołu kilku albo wielu badaczy, którzy zrzeszyli się dla rozwiązania określonego zagadnienia. Praca zespołowa staje się w nauce koniecznością nie tylko dlatego, że coraz trudniej przychodzi jednostce opanować rozległe gałęzie wiedzy, lecz także dlatego, że środki techniczne potrzebne do pchnięcia nauki w przód obecnie często urastają do rozmiarów zakładu przemysłowego. Niezmiernie szybki postęp nauki, dokonujący się w naszych oczach, zawdzięczamy zespołowej metodzie pracy badawczej.

Tendencja do zespołowej pracy naukowej jest dzisiaj tak potężna, że pojawiają się, chociaż na razie jeszcze tylko pojedyncze, publikacje, które nie noszą podpisu jednego lub kilku naukowców, odpowiedzialnych za ich treść, lecz są firmowane przez zakład naukowy, w którym praca została wykonana. Takie anonimowe publikacje są w historii nauki zjawiskiem zupełnie nowym. Dotąd naukowiec uważał swój dorobek myśli i pracy badawczej za swoją niezaprzeczalną i często jedyną własność prywatną. Rozgłos imienia był ambicją naukowca, jego nagrodą za pracę i zaspokojeniem instynktu posiadania. Jeżeli w dawniejszych czasach wydawał dzieło anonimowo lub podpisane pseudonimem, to działo się to z obawy prześladowań przez czynniki stojące poza nauką. Należy przewidywać, że nauka coraz częściej będzie dobrowolnie rezygnowała z ambicji jednostkowych na rzecz ambicji zespołowych. Rezygnacja ta jest następstwem sił tkwiących w mechaniźmie postępu nauki. Jest ona wyższą formą uprawiania nauki.

Louis Aragon

Przełożył Andrzej Jędrkiewicz

JESTEM POTRZEBNY „READERS DIGEST"

Otrzymałem poniższy list:

„Sir!

Pismo „Readers Digest" — którego europejskie wydanie „Selections" z pewnością jest Panu dobrze znane — z wielkim zadowoleniem powitałoby Pański artykuł traktujący już to o najbardziej interesującej ze znanych Panu osobistości, już to o wydarzeniu z życia codziennego. Mister de Witt Wallace, naczelny redaktor, prosił zakomunikować Panu, że będzie szczęściem dla niego uiścić za pański artykuł honorarium w wysokości 2.000 dolarów. Prócz tego, jeśli zechce Pan nadesłać mu konspekt artykułu, natychmiast powiadomi on Pana, czy dany temat interesować będzie jego czytelników.

Jak przekona się Pan z załączonego do listu wzoru, pod słowem „osobistość" rozumie się nie kogoś cieszącego się szeroką popularnością, ale wielkodusznego i hojnego człowieka, który w codziennym życiu daje innym „dobry przykład".

Przydałoby się jak najwięcej szczegółów. Przede wszystkim koniecznym jest przedstawienie konspektu artykułu o rozmiarach jednej stronicy maszynopisu. Po przyjęciu owego konspektu mister Wallace wypłaci Panu à conto 300 dolarów, aby wynagrodzić pańską pracę w wypadku, jeśli ukończony artykuł nie będzie dla niego do przyjęcia.

Gdy tylko artykuł zostanie ostatecznie przyjęty wypłacą Panu 2000 dolarów. Ja — jako agent literacki — reprezentujący także interesy André Maurois i Sommerset Maughem'a, jeśli rzecz Pana będzie wydrukowana, ograniczę się jak zwykle, do 10% za pośrednictwo.

Załączam moje osobiste najlepsze życzenia, szczerze oddany

Jacque Chambrienne".

Załączone do listu „wzory" okazały się szkicem Wincentego Sheen'a „Mój własny syn" z serii „Wydarzenia życia codziennego" i artykułem Pearl Buck „Moje niezapomniane spotkanie", bezspornie odnoszące się do pierwszej z wymienionych przez mister Chambrienne'a kategorii.

Wspomniałem Wincentego Sheen'a. Spotykałem go w Paryżu przed dwudziestu laty. A w 1939 r. w Nowym Jorku siedzieliśmy obok siebie na trybunie w czasie kongresu amerykańskich pisarzy. Missis Buck wszystkim jest dobrze znana, tak, że wątpię, czy mogę o niej powiedzieć coś nowego. Jej wrogość w stosunku do „czerwonych", aż nazbyt energicznie wyrażona w czasie hollywoodskiego procesu organizowanego przez komisję do badania antyamerykańskiej działalności, przyczyniła się ostatnio do zwiększenia jej „popularności".

Muszę dodać, że 300 dolarów równa się 36000 franków (za jedną stroniczkę konspektu w maszynopisie), a 2000 dolarów (za artykuł w rozmiarach od 4 do 10 stronic) wynosi 240 tysięcy franków.

I cóż, oto moje opowiadanie. Najbardziej interesująca ze znanych mi osobistości weszła pewnego razu do mego gabinetu. Byłem wtedy redaktorem wieczornej gazety. W gabinecie moim były białe obicia, białe firanki i metalowe meble obciągnięte skórą... Ale nie w tym rzecz, podobnie jak nie ma znaczenia fakt, że dwa lata temu policja pana Daladier w tymże gabinecie zadała cios „czerwonym" i zagrabiła meble...

O ile pamiętam, interesująca osobistość, o której mowa, pojawiła się przede mną w postaci wysokiego, o wypieszczonych rączkach, dość przystojnego paniczyka z fircykowatymi wąsikami. Widywałem go i wcześniej, pracował wtedy w redakcji jednego z tygodników filmowych. Nie powiedział, co go skłoniło do złożenia mi wizyty, ale bardzo szybko sam się tego domyśliłem, bowiem moja gazeta już od trzech dni prowadziła kampanię przeciw kinematografii faszystowskich Niemiec, a w szczególności przeciwko wytwórni filmowej UFA. Chociaż mój gość z całą pewnością nie był aryjczykiem, oznajmił mi, że pracuje dla UFA, że posiada własne biuro na Polach Elizejskich, i że od czasu do czasu jeździ do Berlina, gdzie przyjmował go sam Doktór Goebbels.

Rozumie się, przyszedł on nie po to, aby mi to opowiedzieć. Dziwi go dlaczego ja nigdy nie piszę dla filmu. Czyżbym nie chciał wypróbować swoich sił w tej dziedzinie? Odpowiedziałem, że to nie leży w moich planach, a poza tym robię tylko to, co umiem. „O! Niech się pan tym nie przejmuje — powiedział — pomogą Panu. Wszystko czego się od Pana żąda, to szkic na trzy, cztery strony maszynopisu, tego akurat wystarczy dla nakreślenia myśli scenariusza. Mamy ludzi, którzy potem rozwiną myśl, napiszą dialog... Płacimy 300 tysięcy franków za temat. Gotów jestem nawet w tej chwili zamówić u pana trzy tematy..."

Nie przyjąłem propozycji i delikatnie wskazałem tej interesującej osobistości drzwi.

Mówiąc prawdę, dopiero w 1945 roku zrozumiałem, jaką interesującą osobistością była ta „interesująca osobistość". W Paryżu wyświetlano film o Ruchu Oporu, chociaż, tuż po wyzwoleniu Francji, wszyscy tak zwani „solidni" ludzie mówili, że żaden z nich nie zaryzykuje realizacji filmu o Ruchu Oporu, bowiem Bóg wie, jaki rząd obejmie władzę w 1945 roku. Ale to był taki film o Ruchu Oporu, który nie odpowiadał żadnemu z powszechnie przyjętych wzorów tego genre'u; bohaterstwo było do czysta wymiecione, brakło scen pokazujących ludzi, którzy w więzieniu, czy pod lufami skierowanych na nich karabinów, śpiewają Marsyliankę... Wszystko to niezbyt interesujące, wszakże interesującym jest to, że autorem scenariusza okazał się mój interesujący gość z 1937 roku. Oto wszystko.

Nie wiem, czy przyjąłby mister de Witt Wallace (za 300 dolarów) wystukaną na maszynie stroniczkę konspektu tego opowiadania z codziennego życia i czy okazałby się ten temat, rozdęty cztero lub pięciokrotnie w stosunku do swego pierwowzoru, godnym tego, by przynieść mister Jacque Chambrienne'owi 200 dolarów za pośrednictwo, a mnie z kolei czystych 1800 dolarów. Ale jestem zupełnie przeświadczony, że pewne podobieństwo między epizodem z 1937 roku i propozycją, uczynioną mi obecnie, między wytwórnią filmową UFA i pismem „Readers Digest", o ile to dotyczy strony moralnej, mogłoby w całości stanowić rzecz nadzwyczaj interesującą dla mister de Witt Wallace'a i do głębi targnęłoby strunami jego serca.

Przyjąwszy propozycję UFA, rzecz jasna, musiałbym zakończyć podjętą przez moją gazetę kampanię przeciwko tej wytwórni. I jeślibym obecnie przyjął propozycję „Readers Digest" trudno byłoby mi podzielać poglądy tych ludzi w moim kraju, którzy zajmują pozycję dostatecznie antyamerykańską do tego, by uważali ich za „czerwonych" nie tylko rozmaici Daladier, ale i komisja Thomas'a — Renkin'a badająca działalność antymerykańską.

Oto dlaczego wydaje mi się, że mój paniczykowaty gość z maleńkim wąsikiem i w czarującym futrze o wiele bardziej pasuje do roli „interesującej osobistości", niż liczni niespokojni ludzie, których znałem i których „głupi" smak pozwalał im śpiewać „Marsyliankę" wtedy, gdy ich współobywatele i ziomkowie działaczy z wytwórni filmowej UFA — strzelali do nich. Był to w istocie człowiek wielkoduszny i hojny (300 tysięcy franków za trzy stroniczki maszynopisu) i bezsprzecznie dawał on „dobry przykład w codziennym życiu" innym ludziom, mówiąc inaczej, mister Jacque Chambrienne'owi, który przedstawił mi się jako przedstawiciel André Maurois i Sommerset'a Maughem'a. Pierwszy z nich jest bardzo dobrze znany ze swego niezmiennie wielkodusznego stosunku do marszałka Petain'a, a drugi — z niemniej pociągającej roli, jaką grał on w stosunku do „czerwonych" w 1917 roku, będąc szpiegiem brytyjskiego Inteligence Service.

Jest tu jednak i różnica, którą należy podkreślić: nie mam żadnych powodów, aby przypuszczać, że Francuz, który odwiedził mnie w 1937 roku, wziąłby tylko 10% od ceny za moją duszę. Mister Jacque Chambrienne, jako prawdziwy Amerykanin, wie, że prawem zagwarantowany dochód, jaki może on otrzymać za moją część — wynosi 200 dolarów.

Pieniądze — wielka i prześliczna rzecz. One stanowią mocną osnowę powszedniej moralności. One pozwalają byle komu kupować pisarza, jego cześć, samą myśl, jaką obdarza on pojęcie wielkoduszności i hojności.

I oto, po tym wszystkim, okazuje się, że najbardziej interesującą osobistością, którą kiedykolwiek spotykałem w życiu codziennym — z wąsikami, czy bez wąsików, w futrze, czy bez futra — są pieniądze. Nie napiszę tego opowiadania. Napiszę inne, ale bez konspektu, o rozmiarach jednej stronicy dla mister de Witt Wallace'a. Maleńkie, „czerwone" opowiadanie, opowiadanie antyamerykańskie.

Krzysztof Sławiński

AMERYKA CZY FIKCJA?

Nie pisałbym o artykule Żagarysty „Henry Miller czyli dno" („Odrodzenie" Nr 39/208), gdyby nie wywołał we mnie głębokiego zdziwienia. Żagarysta pisze o Ameryce. Czy aby tylko o Ameryce realnej, konkretnej, rzeczywiście istniejącej? Czy nie pisze przypadkiem o jakiejś fikcji — dowolnie skonstruowanej przez siebie?

Przytoczę nieco cytat.

„Z łatwości i przypadkowości historyjek miłosnych wyłania się cecha wielkiego miasta, a być może w ogóle Ameryki: potok ludzki, w którym drobiny spotykają się i natychmiast są unoszone w przeciwne strony. W istocie przygody Millera i jego przyjaciół nie są niczym innym niż studium samotności".

Cóż to znaczy? Czy miasto jest rzeczywiście potokiem drobin czy tak przełamuje się tylko w świadomości Millera? W pierwszym wypadku stwierdzenie jest po prostu kłamstwem — bo miasto, to pewien układ gospodarczy, klasowy, zawodowy i — powiedzmy — ludzi luźnych, marginesowych, w każdym bądź razie nie jest lebenowskim tłumem ani żadnym metafizycznym potokiem. A w drugim wypadku — Miller zostaje ujawniony jako przedstawiciel protestu. Ale na jakiej bazie społecznej?

„Kraj (to znaczy Ameryka — przyp. mój) jest zamieszkały przez jednolity typ obywatela. Przede wszystkim nie ma tu inteligencji jako warstwy poszlacheckiej". Znów, łagodnie mówiąc, nieprawda. Jest zróżnicowanie — i to bardzo głębokie. Są klasy, warstwy, grupy. Są monopoliści, średnie mieszczaństwo z całą skalą różnorodności, robotnicy — ba, nawet można spotkać czarnych niewolników. Czy to znaczy — jednolity typ obywatela? A być może zdanie jest przenośnią? Po co więc stawiać przenośnie, które są tylko frazesami. I charakterystyczne. Ameryka jest krajem o jednolitym typie obywatela, bo „przede wszystkim nie ma tu inteligencji jako warstwy poszlacheckiej". Czy nie jest to tylko inteligencki kąt widzenia. Typowo inteligencki — i nijaki.

Dalej Żagarysta pisze: „Podział klasowy z całą drabiną stopniowania (nie ma samochodu, ma samochód, ma stary samochód, ma nowy samochód, ma dwa samochody itp.) odznacza się płynnością u dołu". Kilka zaś wierszy poniżej: „Zamrożenie klasowe postępuje gwałtownie naprzód". Jeszcze dalej konstatuje zaś z całą otwartością: „Słabe więzy stanowe, słabe więzy klasowe, w istocie miliony jednostek, które myślały o sobie i budowały wspólnotę mimo woli... Izolacja człowieka od człowieka (w Ameryce — przyp. mój) całkowita, wieczny problem: ja i świat, nigdy: my i oni".

Więc najprzód — płynność klas, później — zamrożenie klas, w końcu — tylko tłum, kosmiczny zbiór przypadkowo zgromadzonych jednostek. Nie mówiąc już, że o przynależności klasowej, a tymbardziej jej płynności nie można sądzić według ilości posiadanych samochodów (Żagarysta dokonuje tu pomieszania pojęć) — stwierdzenia te zawierają, po pierwsze wewnętrzną niekonsekwencję — by nie powiedzieć sprzeczność — zdanie zaś trzecie przeczy i anuluje całkowicie dwa poprzednie, a przy tym wprowadza w zagadnienie liberalistyczną mistykę. „Kiedy niedawno w New Yorku jakiś stary Jugosłowianin wpadł w szał, zaczął strzelać do tłumu, zabił jednego chłopca wracającego ze szkoły i poranił kilku innych — komentuje Żagarysta atomizację życia społecznego Ameryki — na pytanie dlaczego to zrobił odpowiadał, że „oni zabili mego syna" — ale jacy „oni", nikt nie mógł się dowiedzieć. Czy człowiek może w ogóle żyć bez lokalizowania przeciwnika — to wielkie pytanie". Że jest to pytanie nie ulega wątpliwości, ale że jest to pytanie z kategorii kosmiczno - biologicznych toteż nie ulega wątpliwości. Sprawa nie na tym polega, że człowiek z racji swej ludzkiej wrodzonej natury musi mieć przeciwnika i musi go lokalizować, istotne jest, że dla klas uciśnionych przeciwnik istnieje i jest zlokalizowany. Czy więc członek odpowiedniej klasy czy warstwy, musi lokalizować przedmiot już zlokalizowany? Ale idźmy dalej.

Pisarze intelektualiści, wynurzający się — że sparafrazuję przenośnię Żagarysty — z otchłani jałowego życia amerykańskiego — buntują się. Przeciwko czemu? Oczywiście, przeciw tej bezprzykładnej jałowości. Ale protest — jak stwierdza Żagarysta — wyraża się w ramkach biernych. Dlaczego?

„Jeżeli ktoś zadziera głowę i patrzy w górę na stu-piętrowy drapacz chmur, którego szczytu nie obejmuje wzrokiem, jest przytłoczony ogromem. I na odwrót, ludzie oglądani z dachu drapacza nie przypominają nawet owadów, tylko ruchome punkciki. Samo poczucie człowieka u dołu amerykańskiej piramidy jest takie właśnie. A bezsilność rozkłada". Być może bierność społeczna jest uwarunkowana ciężarem gatunkowym techniki i cywilizacji? Być może bierność społeczna jest wprost proporcjonalna do odległości między szczytami a dołami społecznymi (nie mówiąc już o tym, że ostatnie zdanie Żagarysty jest grubym, sugerowanym masom amerykańskim, psychologizmem). Tylko — czy odległość między carem a proletariatem rosyjskim była większa niż odległość między właścicielami amerykańskich monopoli a amerykańską klasą robotniczą (nie zapominając przy tym, że „kraj jest zamieszkały przez jednolity typ obywatela"). Dlaczego najbardziej rewolucyjnymi okazali się robotnicy Piotrogradu, ci właśnie, których najmocniej uciska zarówno carat jak i rosyjski kapitalizm i którzy bezpośrednio oglądali carski przepych. Tu „sąsiadowały ze sobą" — jak pisze Żagarysta — praca i kapitał, a jednak rewolucja wybuchła i zwyciężyła.

A piramida społeczna w Rosji carskiej na pewno nie była ani niższa, ani mniej elastyczna niż w Ameryce. Rozwiązania problemu trzebaby raczej szukać w pytaniu: czy przypadkiem amerykański proletariat nie jest w jakiś sposób związany z kapitalistycznym systemem wytwórczym (dla przykładu podam, że niektóre monopole sprzedają robotnikom akcje swoich przedsiębiorstw, by ich mocniej podporządkować), jakie przyczyny materialne stępiają ostrze walk klasowych. Paradoksalnym wydaje się jednak rozpoczynanie problemu od wymierzania wysokości piramidy społecznej — i analizy samopoczucia człowieka u stóp tej piramidy — oraz sąsiadowania pracy i kapitału (bo kiedyż kapitał i praca nie sąsiadują ze sobą i kiedyż kapitał nie uciska pracy).



Demonstracja robotników przemysłu lotniczego w Paryżu przeciwko planowi Marshalla.

Taką Amerykę pokazuje Żagarysta. Amerykę „potoku drobin", o płynnej i zamrożonej zarazem strukturze klasowej, a w ostateczności Amerykę niezmierzonych ilości samotnych atomów ludzkich. To wszystko. To ma być rzeczywista Ameryka. A Henry Miller jest tylko tym tragicznym samotnikiem, protestującym przeciw jałowości życia amerykańskiego. Czy nie tak? Miller, który z aplauzem wykrzykuje hasło „poza dobrem i złem" Miller, który głosi wszem wobec: „Ekonomiczna rewolucja nie dokona niczego. Polityczna rewolucja nie dokona niczego". „Nie ma co marzyć o ekonomicznym zbawieniu: walka toczy się nie pomiędzy posiadaczami i wydziedziczonymi, ale pomiędzy Ameryką i resztą świata". A Żagarysta dodaje tylko komentarz od siebie, nic więcej: „Ameryka, według Millera, jest już doskonałym kolektywem i to go przeraża" (dlaczego przeraża — tego pytania Żagarysta niestety już nie stawia, ze szkodą dla zagadnienia). A nieco niżej: „Miller jest obdarzony porywającym piórem, jest śmiały (ile pięknych frazesów!). Wiemy jednak, że w literaturze prawda od fałszu różni się nieraz nie więcej, niż o włos, a tutaj różni się no, dość wyraźnie. Miller jest wyzwolony (z czego?). Nie obchodzą go amerykańscy politycy, ani Ameryka, ani świat. Wierzy w spokój, który osiągali mędrcy wschodu. Kiedy jednak się pomyśli, że to jest klimat duchowy, w którym żyją najbardziej twórcze talenty Ameryki, robi się nieswojo". Czy Żagarysta nie powiedział za dużo, czy nie nazbyt jasno określił postawę klasową Millera? Jeśli dodamy do tego aprioryczne stwierdzenie Żagarysty, że literatura amerykańska jest bardziej ludowa niż literatura polska, zrozumiemy jasno, bez zastrzeżeń wszystko. Literatura amerykańska jest ludowa, Miller pochodzi z ludu, Miller protestuje przeciw jałowości amerykańskiego życia. Tylko jaką klasę reprezentuje Miller i o jaką ideologię? Pachnie on ideologią niezbyt miłą Polsce, ale dlaczego o tym nie mówi Żagarysta? I co to za Ameryka, którą przedstawia? Z księżyca czy z ziemi? Rzeczywistość czy fikacja? Znikła realna Ameryka monopoli i imperializmu, z wyraźną, ostrą walką klasową — narodziła się zaś pod piórem Żagarysty Ameryka potoku drobin i izolowanych atomów ludzkich. Znikła Ameryka, w której monopole wydziedziczają masę drobnych posiadaczy, znikła Ameryka bezustannych strajków. I cóż powstało? Wielkie zero, nic, próżnia, w której obracają się, bez sensu i bez celu tłumy ludzi. Taką jest Ameryka Żagarysty i tylko Żagarysty. Ale ta Ameryka nie ma nic wspólnego z realnie istniejącą Ameryką.

Po co więc snuć baśnie o rzeczach realnych. Czy jest to pożyteczne? Dla kogo?

I dlaczego literat nie może choć trochę myśleć naukowo!

FAKTY i ZDANIA

Po pierwszym plenum Zarządu Głównego ZMP

Na charakterze i przedmiocie obrad pierwszego (jeśli nie liczyć konstytucyjnego we Wrocławiu) rozszerzonego o przedstawicieli ogniw wojewódzkich Plenum Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej, które się odbyło 28 i 29 września br. w Warszawie, zaważyły dwie okoliczności:

1. Należało sprawdzić proces zjednoczeniowy, przedyskutować dotychczasowe, dwumiesięczne doświadczenia i wyciągnąć praktyczne wnioski na przyszłość.

2. Należało rozważyć rolę i zadania ZMP na nowym etapie budowania Polski Ludowej, który polega głównie na socjalistycznej przebudowie wsi.

Toteż w kręgu tych zagadnień obracały się zarówno referaty (Janusza Zarzyckiego — „Wytyczne pracy ideologicznej ZMP, Józefa Ozgi - Michalskiego — „Wytyczne pracy ZMP na wsi“ i Lucjana Motyki — „Wytyczne pracy organizacyjnej“), jak również dyskusja, w której wzięło udział kilkadziesiąt osób.

Ale ZMP uczestnicy Plenum nazwali po imieniu, poraz pierwszy chyba używając naukowej, marksistowskiej terminologii: „ZMP walczy o Polskę socjalistyczną“. Ten poważny krok naprzód, powitać należy z uznaniem. Dokładna świadomość celu jest bowiem podstawowym warunkiem rzetelnego wychowania. A ZMP to przodująca ideowo - wychowawcza organizacja młodego pokolenia.

W związku z wielkimi zadaniami, jakie przed ZMP stanęły na wsi, szczególnie ważne staje się uzbrojenie ideologiczne aktywistów ZMP na tym odcinku. A zwłaszcza znajomość skomplikowanej nadbudowy ideologicznej na wsi, umiejętność jej genetycznego i przyczynowego wyjaśnienia oraz trafnego przezwyciężenia i przekształcenia. Dlatego sądzimy, że każdy aktywista ZMP (i nie tylko ZMP), zwróci się w tym celu do dawnych i bieżących numerów „Wsi“, która właśnie na tym odcinku przede wszystkim już z góry trzy lata pracuje. Ścisły związek wzajemny „Wsi“ i aktywu ZMP (oraz wszystkich tych instytucji, które w przebudowie wsi uczestniczą) — oto wniosek, który z każdym dniem staje się coraz bardziej oczywisty.

Mieczysław Grad

Jeszcze o nauczycielstwie

Na posiedzeniu komitetu obchodu Tygodnia Śląskiej kultury, parę nauczycielek wraz z kierownikiem szkoły, radzą między innymi o inscenizacji na zakończenie roku szkolnego. Kierownik radzi dać dzieciom do deklamacji wiersz o Marszałku Piłsudskim.

Wtrąciłem się za arbitra. Okazało się, że wydźwięk wiersza był nie tylko antydemokratyczny, ale i mistyczny, nie odbiegający treścią od utopijnych kazań magnata, profesora Wincentego Lutosławskiego.

Na zakończenie obchodu Tygodnia Śląskiej Kultury — między innymi występami i atrakcjami (np. wieczór autorski, w którym z kolegą Al. Widerą braliśmy udział), był też występ chóru szkolnego. O ten chór byłem całkiem spokojny, przewidując, że dyrygujący nauczyciel wybierze dobrą piosenkę. I wybrał. Niby dobrą, bo i patriotyczną i antyniemiecką: „Tam od Wisły, tam od Warty“... Niestety, refren: „Niechaj męczy, niech katuje, Bóg się nad nami zlituje“ — był odpowiedni w czasach kwitnących mistycyzmem, w ostateczności za OZN-u, a nie dzisiaj. Czyż można obecnie propagować wśród ludu bierność wobec cierpienia i krzewić wiarę, że Bóg bez naszego udziału wyrwie nas z wrogiej katowni?

Błahy, to, lecz jakże zastanawiający przykład: nauczycielowi wystarcza, że piosenka jest przepojona treścią patriotyczną i antygermańską. No i, że nie jest antydemokratyczna. To wszystko — te trzy walory piosenki decydują o trafności wyboru. I tak jest w każdej sprawie, tak też często bywa i na lekcjach. Nauczyciel wierzy w siebie, bo jest przecież „wykształcony“... i zdaje mu się, że umiejętność wychowywania młodzieży kryje się tylko w znajomości „Dziadów“ i „Irydiona“. A to przecież za mało — siła właśnie polega nie na dokładnej znajomości utworu, a tylko na podejmowaniu jego sensu społecznego.

Bądźmy jednak szczerzy i przyznajmy, że tego dokładnie nie można wymagać od nauczyciela. Natomiast można wymagać, by po skończonej lekcji nauczyciel co nieco czasu poświęcał na uczenie się czytania tygodników społeczno - literackich i obserwację przemian społeczno - politycznych naszego czasu.

Józef Pogan

SPROSTOWANIE

Sz. Panie Redaktorze!

Wiersze moje opublikowane w ostatnim N-rze „Wsi“ pojawiły się z dość znacznymi błędami, pozwalam sobie te błędy sprostować!

Najwięcej zniekształceń druku jest w utworze pt. „Życiorys“. W drugiej linii tego wiersza zamiast „zmarznięte“ ma być **zamarznięte**, w siódmej linii wiersza zamiast „wchodzić“ winno być **uchodzić**, wreszcie w przedostatniej linii zamiast „o dosyć“ ma być **o dożyć!**

Poważny błąd korektorski jest również w utworze pt.: „Przesłanie“, w szóstej linii tego wiersza nie ma być „westchnieniem nowin“, lecz **westchnieniem nowiu.**

Stanisław Piętak.

W OSTATNIM NUMERZE 38—39 (167—168) dnia 19—26 września 1948 r.

Stanisław Śreniowski — Historia ustroju Polski; **Władysław Blachut** — Historia w szkole ludowej; **Stefan Ignar** — Wychowanie do „warstwy chłopskiej“; **Stanisław Piętak** — wiersze — Życiorys — Na pożegnanie wsi rodzinnej; — Do młodego poety — Przesłanie; **Franciszek Kus** — Wspomnienia; **Wincenty Styś** — Zagadnienie mechanizacji rolnictwa; **Lech Budrecki** — Karta z dziejów humanistyki; **Dyzma Gałaj** — 22 spadkobierców; **Piotr Chmura** — Historia, jak cię poznawał lud? **Piotr Wyrobek** — Odpustowi przodownicy i klątwy biskupie; **Adolf Olechnowicz** — Jak chłopi głuchowscy siebie w historii szukają; **Anna Kamieńska** — Pisarz klasy biedniackiej; **Karol Maleczyński** — Jak się Śląsk germanizował; Fakty i zdania; Komunikaty; 11 ilustracji; 12 stron.

Co robi młodzież na wsi

W celu zbierania materiałów na reportaże społeczno-kulturalne dla niektórych katowickich pism, zwiedziłem szereg miejscowości, i kilka gmin w paru powiatach Górnego Śląska interesując się organizacjami młodzieżowymi. Obserwacje nie nastroiły mnie zbyt różowo, nie były pocieszające zarówno pod względem gęstości kół młodzieżowych, liczebności członków i ich tętna kulturalnego. Np. w Wirku koło Bytomia, w osadzie liczącej 23 tysiące mieszkańców (osada ta zatwierdzona już na miasto). — Koło ZWM liczy zaledwie 86 członków, mają własną świetlicę i bibliotekę liczącą... 28 (wyraźnie: dwadzieścia osiem) książek. Z pism i dzienników prenumerują: „Walkę Młodych“, „Trybunę Robotniczą“ i „Trybunę Wolności“. Zaś OMTUR liczy tam 70 członków, nie mają jednak ani świetlicy, ani biblioteki. Abonują zaledwie „Młodzi idą“ i „Walkę Młodych“. „Wici“ z racji środowiska robotniczego nie ma. Jest natomiast koło „Sodalicji Mariańskiej z ilością 300 członków. Ich przedstawienia i różne imprezy mają zazwyczaj liczniejszą frekwencję, niż imprezy ZWM-u czy OMTUR-u. Obserwacje dotyczą oczywiście okresu przed połączeniem się organizacji młodzieżowych. Są jednak aktualne jako stwierdzenie bazy dla ZMP.

Tak jest prawie we wszystkich miejscowościach okręgu przemysłowego, tak też jest na terenach rolniczych. Bo oto w dużej gminie Chudów w powiecie rybnickim zaledwie w jednej wsi, w Gierałtowicach jest koło ZWM, natomiast Wici czy OMTUR-u nie ma w ogóle. Ale zato przy każdej parafii (w 4-ch wsiach) są duże koła Sodalicji Mariańskiej, a „Świętą Spowiedź“, „Genowefę“, „Brylantowy Krzyż“ itp. sztuki prawie co niedzielę wystawiają na scenie.

Czemu tak jest, gdy mogło by być inaczej? — Bo są miejscowości, do których instruktorzy młodzieżowi jeszcze nie zajrzeli, bo są niektóre koła zdane tylko na własne siły, bez poparcia sołtysa, wójta, bez należytej opieki swych wyższych władz zarządu. Zdarzają się też wypadki, że sołtys czy wójt przeszkadzają, utrudniają w różny sposób i organizowanie i rozwój młodzieży. O plebanach i różnych wrogach ludu lepiej już nie mówić.

Z. K.

Dwa katolicyzmy

„Dziś i jutro“, katolicki tygodnik społeczny drukuje w n-rze 37 (146) artykuł Walentego Majdańskiego „Nakręcanie koniunktury moralnej“. Artykuł jest zapowiedzią „Tygodnia Miłosierdzia“: który organizuje w dniach 3—10 października „Caritas“, Pan Majdański rozumuje tak: skoro teren związków zawodowych jest niedostępny, to „wszystkie energie katolicyzmu“ należy umieścić w miłosierdziu i służbie rodzinie, albowiem „miłosierdzie, to idea centralna na czasy dzisiejsze i najbliższe“. Nam się jednak wydaje, że te „energie“ tkwią zupełnie gdzie indziej. Mianowicie, w akcji politycznej — jakiej? wypadki pod Sulejowem wszystkim dobrze to uświadomią.

Okazuje się, że p. Majdański operuje swoistym, znamiennie przez jego obóz pojmowanym pojęciem miłosierdzia, albowiem jak powiada „bez miłosierdzia jako idei panującej w życiu narodów, nie stanie pokoju świata“. Słowa te ucieszyły nas. A może porozumiemy się z naszymi katolikami skoro tak bardzo pragną pokoju? Niestety, radość nasza była złudzeniem: na drodze do porozumienia stanęło właśnie to miłosierdzie.

Gospodarcze i społeczne osiągnięcie Polski Ludowej, są tylko... **sprawiedliwością** — a sprawiedliwość p. Majdańskiego nie zadawala, albowiem nie samym chlebem człowiek żyje: żąda też poezji.

Oczywiste, tej z ambon, która kadzi i tumani prostaczków. W jakim celu? Ach, poeci ambon dobrze wiedzą.

Na światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu przemawiał inny katolik francuski, ksiądz Jean Boulier. Powiedział między innymi „...nie do chrześcijaństwa należy kreślenie planów przyszłego Miasta, w niczym nie powinno się ono przeciwstawiać socjologom, którzy ustalili lepszy plan produkcji i rozdziału dóbr“. „Niech nikt nie mówi, — oświadczył ksiądz Boulier — że miłosierdzie wystarczy na określenie obowiązków chrześcijanina. Sto lat temu w roku 1848 Ozanam propagujący w świecie ruch dobroczynności wobec biedaków, działający pod patronatem św. Wincentego, określił jednocześnie dokładnie jego granice. Miłosierdzie — mówi on — leje oliwę i wino na rany nieszczęśnika ograbionego przez zbójców, lecz rzeczą sprawiedliwości jest zapobiec takim napaściom. Owym nieszczęśnikiem ograbionym przez zbójców był według Oznama **proletariusz,** robotnik z fabryki; w tym samym czasie Karol Marks analizował działanie przemocy, dzięki której robotnik był nieustannie pozbawiony owoców swej pracy w społeczeństwie opartym wyłącznie na zysku tj. opanowanym przez kapitalistów. Chrześcijanin nie czeka, aż ów nieszczęśnik zostanie ograbiony, aby wtedy dopiero miłosiernie chylić się nad nim; **chrześcijanin żąda sprawiedliwości, aby ustał wyzysk i aby nadszedł czas socjalnego postępu**“ — tyle ksiądz Jean Boulier. Oto przykład **uczciwego** stosunku chrześcijanina - katolika do zagadnień dzisiejszej rzeczywistości.

Możeby się p. Majdański wmyślił w słowa ks. Boulier. Wyszłoby mu to na pewno na korzyść. Co społecznie ważniejsze: sprawiedliwość, czy miłosierdzie?

Spiratus - Fiat.

O dzieciach Kazimierza Jagiellończyka, pośle tureckim i uniwersyteckich egzaminach

W skład obowiązujących na polonistyce egzaminów magisterskich wchodzi egzamin z historii Polski. Jest to jeden z najkonieczniejszych i najwięcej dających egzaminów. Nie tylko dlatego, że zmusza studenta, zainteresowanego w przedmiocie specjalnym i dość wąskim, do rozszerzenia swej wiedzy o świecie, lecz także i dlatego, że daje temu studentowi możność wiązania jego świadomości z literatury w całokształt procesów historycznych, warunkujących takie a nie inne przebiegi zjawisk literackich, a to dopiero pozwoli mu rzeczywiście rozumieć i literaturę, i jej historię Bez tego egzaminu wiedza polonisty byłaby mało komu przydatnym katalogiem antykwarycznym i chronologią zachwytów.

Jak taki egzamin i przygotowanie się do niego — praktycznie wyglądało w tych pięknych latach przedwrześniowych, gdym chadzał po Warszawie w białej czapce.

Egzamin z historii Polski miał opinię względnie łatwego, naturalnie dla tych, którzy posiadali niezłą pamięć.

Brało się starego poczciwego Lewickiego (sędziwy Bobrzyński był wtedy na indeksie za heretyczne wycieczki antyklerykalne). Kuło się przez miesiąc, wypisywało na wielu karteczkach, w celu łatwiejszego zapamiętania, matematykę dat oraz personalia historycznych osobistości; chodziło się spać z książką pod poduszką. (Skuteczny ten zabieg zadziwiająco pomagał do adekwatnego usystematyzowania „wiedzy historycznej“). Do tego dochodziła lektura specjalna: najczęściej drobiazgowe studium Askenazego o działalności strategicznej ks. Józefa i jego niedoszłym do skutku planie zwycięskiego przeprowadzenia kampanii moskiewskiej. Brało się jeszcze zazwyczaj któreś dzieło o marszałku Piłsudskim i — nie pamiętam autora— „Życie królowej Jadwigi“.

Pamiętam jak przez mgłę, jak to czekaliśmy w kolejce przed salą egzaminacyjną i wzruszaliśmy pogardliwie ramionami, że jedna z koleżanek w żaden sposób nie mogła w czasie zaimprowizowanego przepytywania po kolei wymienić z datami urodzenia wszystkich synów Kazimierza Jagiellończyka. Było ich rzeczywiście dużo.

Uczonemu mężowi zaimponowałem onego dnia datami wszystkich najazdów tatarskich oraz szczegółowym opisem działalności obu wrogich stron w czasie bitwy pod Legnicą.

Otrzymawszy celujący, wyszedłem z sali w szczęśliwym przekonaniu, że są mi otwarte wszelkie tajnie historii.

Po cóż wspominam o tym?

Zwierzyła mi się onegdaj młoda polonistka z Łódzkiego Uniwersytetu, ucząca już w gimnazjum (m.in. Zagadnień o Polsce współczesnej), z bardzo ciężkiego zmartwienia. Ma zdawać historię Polski. Obkuła już Lewickiego.

— Jak to Lewickiego — przerywam — to nie poszedł jeszcze do lamusa? — rozmówczyni nie bardzo rozumie o co mi chodzi:

— Lewickiego, tak wszyscy robią, profesor zaleca, że dobry. Można i Bobrzyńskiego (rzeczywiście że postęp!), tylko że podobno wyczerpany.

— Tak, proszę pani, od dobrych 40 lat. A co pani wybrała na lekturę? — Rozmówczyni rzekła, że właśnie z lekturą ma największy kłopot, zalecano rozprawę prof. Dudkiewicza: „Polska i Turcja w XVII i XVIII wieku“. Nie może zapamiętać „tych tam wszystkich rzeczy“. Cóż to za „rzeczy“? Wymaga się na egzaminie — nie przesadzam — znajomości nazwisk poszczególnych ekip dyplomatycznych wysyłanych w XVII w. do Konstantynopola, a nawet sum złożonych poszczególnym wezyrom w celu przyśpieszenia audiencji. „Historii gospodarczej“ Kuli, wydawnictw z Instytutu Pamięci Narodowej nie bierze się praktycznie pod uwagę.

Kiedyż władze oświatowe i komisje naukowe odświeżą program i metody studiów uniwersyteckich. W roku pańskim 1948, w 4 lata po oficjalnym pozbyciu się obskurantyzmu myślowego, studenci zamęczają się zbytecznymi drobiazgami i czerpią nadal wiedzę historyczną od syntetyków bardzo starodawnych, choć bez wątpienia zacnych. Jedyną ich bowiem wadą było, że historii... nie rozumieli.

Czas chyba, by egzamin ten zaczął nareszcie spełniać właściwe sobie zadanie.

Zdzisław Sinobrody

Milczenie

W Polsce rozwija się ruch współzawodnictwa pracy. Robotnicy wzmagają wysiłki w celu odbudowy zniszczonego kraju. To jest jedna strona zagadnienia. Jasna i optymistyczna. Ale doba mieści w sobie jeszcze noc. Porównanie jest stare jak świat. Czyż jednak postępki naszego czcigodnego kleru nie mają w sobie czegoś z dawnych wieków? Cóż — pod Sulejowem tłum napadł na grupę studentów i pobił ich. Dlatego tylko, że **badali — w imię nauki** a nie Kościoła — zabytki szutki kościelnej. W XV w. za te same grzechy spalono Giordano Bruna — a Galileusza za to więziono przez kilkadziesiąt lat w lochu. To jest przejaw współzawodnictwa. Tylko — Ciemnogrodu. Głupoty. Zacofania. To jest wyścig wstecz do przeszłości. Po co?

Bici studenci zwrócili się do księdza z prośbą o pomoc. Ksiądz humanitarny wyznawca zasady „miłuj bliźniego jak siebie samego“ — zapytał podburzony przez społeczne męty tłum — zaprawdę, po co bić? i dalej, ze spokojem przyglądał się pogromowi.

Dlaczego ksiądz milczał — i tylko patrzał?

Stanowisko to jest niemal dokładnym powtórzeniem stanowiska kleru w czasie pogromu Żydów w Kielcach z przed dwóch lat. Nie jest ono wcale przypadkowe, wprost przeciwnie: **jest wyrazem konsekwentnego sposobu i stylu walki politycznej, wyrazem „społecznej“ działalności kleru katolickiego w Polsce.**

Kler w Kielcach nie nawoływał do zbrodni, nie podburzał jawnie, ale **milcząc — zbrodnię aprobował** i Żydówki, którym mordowano dzieci napróżno prosiły księży o pomoc. Nie było miłosierdzia, tej idei „centralnej na czasy dzisiejsze i najbliższe“ dla Żydówki, nie było go też dla maltretowanych studentek. Napróżno błagały o ratunek plebana. Pleban... **milczał.**

Wówczas w Kielcach — i dziś — pod Sulejowem — kler zajął to samo stanowisko. Gdy biją — milczę. Oczywiście, gdy biją niewiernych albo zwolenników postępu. Ale milczał również, gdy kilku ojców Albertynów sąd skazał za homoseksualizm. Milczał ze wstydu.

W opinii publicznej milczenie w Sulejewie również klerowi przynosi — wstyd. .

S. F.

KOMUNIKATY

Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych R. P. pragnąc upowszechnić nauczanie analfabetów postanowiło — między innymi — obniżyć cenę rynkową elementarza J. Landy - Brzezińskiej pt. „Czytamy“ ze 100 do 60 zł. Związki, instytucje, organizacje, jak również księgarnie, otrzymują rabat przy nabywaniu większej ilości egzemplarzy elementarza.

Skład Główny elementarza „Czytamy“ — TUL — R.P. Warszawa 22, Reja 9.

*

Jury Konkursu na tekst hymnu Związku Samopomocy Chłopskiej na drugim posiedzeniu w dniu 10 września 1948 r. w składzie: ob. ob. Marszałka Sejmu Władysława Kowalskiego, Dyrektora Hieronima Michalskiego, Dyrektora Jana Maklakiewicza, Aleksandra Maliszewskiego, Prezesa Stanisława Janusza po zapoznaniu się z materiałem orzekło, co następuje:

1) Żaden z tekstów nadesłanych nie nadaje się na Hymn Związku Samopomocy Chłopskiej, ponieważ żaden z nich nie spełnia wymaganych warunków natury politycznej i artystycznej.

2) Wobec powyższego Jury nie przyznało ani jednej z nagród przeznaczonych dla autorów tekstu na Hymn ZSCh.

Jury uważa, że część z tekstów może być wykorzystana jako pieśni społeczne.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000,— zł; 1/2 kolumny 30.000,— zł; 1/4 kolumny 15.000,— zł; 1/8 kolumny 8.000,— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60,— zł, kwartalnie 180,—zł, półrocznie 360,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Łódź, Żwirki 2. D—025581